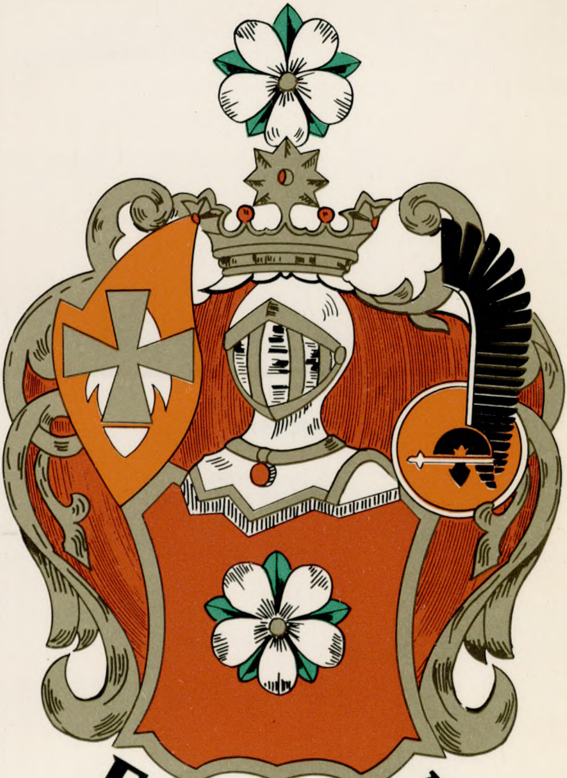

EX LIBRIS



EX LIBRIS

LODA and EDWARD C. ROZANSKI

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA.

NOWE WYDANIE ZUPEŁNE.

TOM TRZECI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1897.

TREŚĆ TOMU TRZECIEGO.

DZIADY.

[1] Część Czwarta poprzedza Część Trzecią, według układu zachowanego przez Autora w ostatniem wydaniu.

P. W.

DZIADY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(FRAGMENTA.)

Fragmenta te, ułożone jeszcze w Kownie, w roku 1810, po raz pierwszy tu są ogłoszone z pierwotnego rękopisu.

P. W

Po prawej stronie teatru Dziewczyna w samotnym pokoju. Książki. fortepiano. Okno z lewej strony w pole; na prawej wielkie zwierciadło Świeca gorejąca na stole i książka rozłożona pod tytułem: Walerja romans pani Krudener.

DZIEWCZYNA, wstaje od stołu.

Świeco niedobra, właśnie pora była zgasnąć!
I nie mogłam doczytać. — Czyż podobna zasnąć? —
Waleryo! Gustawie! anielski Gustawie!
Ach, tak mi często o was śniło się na jawie,
A przez sen — będę z wami Pan Bóg wie dopóki —
Smutne dzieje, jak smutnej są źródłem nauki! —

(Po pauzie, z niesmakiem.)

Po co czytam? Już koniec przezieram z daleka
Takich kochanków tutaj cóż innego czeka?
Waleryo! ty przecie z pomiędzy ziemianek
Zazdrości godna! Ciebie ubóstwiał kochanek,
O którym inna próżno całe życie marzy,
Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy —
I w każdym nowym głosie nadaremnie bada
Tonu, który jej duszy brzmieniem odpowiada!
Ale twarze tchną głazem jak Meduzy głowa! —
Nad słotny deszcz jesienny zimniejsze ich słowa! —

Co dzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń
Wracam do samotności, do książek i marzeń:
Jak podróżny, śród dzikiej wyspy porzucony,
Co rana wzrok i stopę niesie w różne strony,

Ażali gdzie istoty bliźniej nie zobaczy,
I co noc w swą jaskinię powraca w rozpaczy —
Szalony! niech ukocha swe samotne ściany,
I nie targa łańcucha, by nie draźnić rany!

Witajże ma jaskinio! Na wieki zamknięci,
Nauczmy się więźniami stać się z własnej chęci.
Czyż nie znajdziem zatrudnień? — Mędrce dawnych wieków
Zamykali się szukać skarbów albo leków,
Trucizn — a my, niewinni, młodzi czarodzieje,
Szukajmy, jakby otruć własne swe nadzieje;
A jeżeli do grobu wstęp jeszcze zawarty,
Pochowajmy swą duszę za życia w te karty! —
Można pięknie zmartwychwstać i po takim zgonie;
I przez ten grób jest droga na Elizjum błonie;
Zamieszkałym śród cieniów zmyślonego świata
Nudnej rzeczywistości nagrodzi się strata —

Cieniów? — Nigdyż nie było między ziemską bracią
Takich cieniów, śmiertelną więzionych postacią?
Dusze ich wzięłyż bytność z poetów wyroku?
Kształty odlaneż tylko z pięknych słów obłoku? —
Nie mogę przyrodzenia tą myślą obrażać,
Nie mogę bluźnić Twórcy — i siebie znieważać! —

W przyrodzeniu, powszechnej ciał i dusz ojczyznie,
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliźnie:
Każdy promień, głos każdy z podobnym spojony,
Harmonię ogłasza przez farby i tony;
Pyłek, błądzący długo śród istot ogromu,
Padnie w końcu na serce bliźniego atomu:
A tylko serce czule, z dozgonną tęsknotą,
W rodzinie tworów jedną ma zostać sierotą? —
Stwórca mi dał to serce. Choć w codziennym tłumie
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie:
Jest i musi być kędyś, choć na hrańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi wzlata!

O, gdybyśmy dzielące rozerwawszy chmury,
Choć przed zgonem tęsknemi spotkali się pióry,
Lub słowem tylko, wzrokiem! — Dosyć jednej chwili,
Dosyć — by się dowiedzieć tylko — żeśmy żyli!
Wtenczas dusza, co ledwie czucia swe ogarnia,
W której roskosze truje samotna męczarnia,
Z ciemnej, głuchej jaskini stałaby się rajem!
Jakby miło poznawać, zwiedzać ją nawzajem;
I cokolwiek pięknego w myślach zajaśnieje,
Co szlachetnego mają tajne serca dzieje,
Rozświecić przed oczyma kochanej istoty,
Jak wyłamane z piersi kryształów klejnoty! —
Wtenczas przeszłość do życia moglibyśmy wcielić
Wspomnieniem; możnaby się z przyszłości weselić
W przeczuciu — a obecnem chwil lubych użyciem
Łącząc wszystko, żyć całem i zupełnem życiem! —
Bylibyśmy jak lotne tchnienia, co je rosa
Wiosennym zionie rankiem, dążące w niebiosa,
Lekkie i niewidome — lecz kiedy się zlecą:
Spłoną i nową iskrę pośród gwiazd rozświecą! —

(Lewa strona teatru. Wchodzi Starzec i Dziecię.)

DZIECIĘ.

Wróćmy lepiej do chaty Coś tam od kościoła
Błysnęło: ja się boję; coś po lesie woła.
Jutro pójdziem na smętarz: ty swoim zwyczajem
Dumać, ja zdobić krzyże kwiatami i majem.
Mówią, że dzisiaj w nocy umarłych spotkamy.
Ja ich nie znam, ja własnej nie pamiętam mamy;
Ty oczy w dzień masz słabe; pragnąłbyś daremnie
Dawno widzianych ludzi rozeznać po ciemnie:
I słuch masz słaby. Pomnisz, dwie temu niedziele,
Zebrało się i krewnych i sąsiadów wiele

Urodziny twe święcić: tyś w milczeniu siedział,
Nic nic słyszał, nikomu nic nie odpowiedział;
Zapytałeś nakoniec: po co ta gromada
Zeszła się w dzień powszedni i czy mrok już pada?
A my przyszli winszować i od kilku godzin
Słońce zaszło i był to dzień twoich urodzin —

STARZEC.

Od tego dnia, ach jakżem daleko odpłynął!
Wszystkiem znajome lądy i wyspy ominął,
Wszystkie dziedziczne skarby znikły w czasu toniach:
Cóż mi po waszych twarzach i głosach, i dłoniach? —
Twarze, którem z dzieciństwa ukochać przywykał:
Dłonie, co mię pieściły, głos, co mię przenikał:
Gdzież są? — Zgasły, przebrzmiały, zmieniły się, starły! —
Nie wiem, czym pośród trupów, czylim sam umarły:
Ale inny świat rzucam, aniżelim zastał —
Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał! —
I twój jeszcze głos wnuku, ostatnia pociecho,
Jak po umarłej pieśni niemowlęce echo,
Tuła się i głos matki powtarzany kwili —
Lecz i ty mnie porzucasz, jak inni rzucili.

Pójdę sam. Kto w dzień błądzi i żywych nie słyszy,
Widzi w nocy, zna język grobowych zaciszy.
Nie zabłądzę. Wszak co rok chodziłem tą drogą:
Zrazu, jak ty mój synu, z niemowlęcą trwogą;
Potem, jak chłopiec pełen ciekawej ochoty;
Potem z tęsknotą; teraz nawet bez tęsknoty,
Bez żalu — Cóż mię wiedzie? — Jakiś zapęd nowy,
Ciemne przeczucie — może to instynkt grobowy!
Znajdę smętarz i coś mi w głębi duszy wróży,
Że nazad już nie będę potrzebował stróży —
Ale nim się rozłączym, twe służby dziecięce
Nagrodzę. Pójdź mój synu, uklęknij, złóż ręce:

Boże! coś mi rozkazał spełnić kielich życia,
I zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia!

Jeśli względów twojego miłosierdzia godna
Cierpliwość, z którą gorycz wychyliłem do dna,
Jedynej, lecz największej śmiem żądać nagrody;
Pobłogosław wnukowi, niechaj umrze młody!

Bądź zdrów! — Stój i raz jeszcze ściśnij dziada rękę;
Daj mi twój głos usłyszeć; zaśpiewaj piosenkę
Ulubioną i tyle powtarzaną razy
O zaklętym młodzieńcu, przemienionym w głazy.

DZIECIĘ, śpiewa.

Wyłamawszy zamku bramy,
  Twardowski błądził śród gmachów,
Biegł na wieże, schodził w jamy:
  Co tam czarów, co tam strachów!

W jednem sklepisku zapadłem
  Jak dziwny rodzaj pokuty:
Na łańcuchu, przed zwierciadłem
  Stoi młodzieniec okuty.

Stoi, a z ludzkiej postaci,
  Mocą czarownych omamień,
Coraz jakąś cząstkę traci
  I powoli wrasta w kamień.

Aż do piersi już był głazem;
  A jeszcze mu błyszczą lica
Męstwa i siły wyrazem,
  Czułością świeci źrenica.

«Kto jesteś, zaklęty rzecze,
  Coś te gmachy zdobył śmiało
Gdzie tak mnogie pękły miecze,
  Tylu wolność postradało?»

«Kto jestem? O, drży świat cały
  Przed mą szablą, na me słowa
Wielkiej mocy, większej chwały:
  Jestem rycerzem z Twardowa.»

«Twardowa? — Za moich czasów
  Nie słyszałem o nazwisku,
Ni śród wojennych zapasów,
  Ni na rycerskiem igrzysku.

Nie zgadnę, jak długie lata
  Mogłem w więzieniu przesiedzieć;
Ty świeżo wracasz ze świata:
  Musisz mi o nim powiedzieć.

Czy dotąd Olgierda ramię,
  Naszą Litwę wiodąc w pole,
Po dawnemu Niemcy łamie,
  Tratuje stepy mogole?»

«Olgierd? Ach, już przeminęło
  Dwieście lat po stracie męża;
Lecz z jego wnuków Jagiełło
  Teraz walczy i zwycięża.»

«Co słyszę? — Jeszcze dwa słowa:
  Mów! w twoich błędnych obiegach
Byłeś, rycerzu z Twardowa,
  Na Świtezi naszej brzegach?

Czy tam ludzie nie mówili
  O Poraju silnej ręki,
I o nadobnej Maryli,
  Której on ubóstwiał wdzięki?»

«Młodzieńcze, nigdzie w tym kraju,
  Od Niemna po Dniepru krańce,
Nie słyszałem o Poraju
  Ani o jego kochance.

Po co pytać? Czasu strata!
  Gdy cię wyrwę z tej opoki,
Wszystkie ciekawości świata
  Własnemi odwiedzisz kroki.

Znam czarodziejską naukę,
 Wiem dzielność tego zwierciadła:
Wraz go na drobiazgi stłukę,
 By z ciebie ta larwa spadła.»

To mówiąc, nagłym zamachem
 Dobył miecza i przymierza;
Ale młodzieniec z przestrachem
 «Stój!» zawołał na rycerza:

«Weźmij zwierciadło ze ściany
 I podaj je w moje ręce;
Niech sam skruszę me kajdany
 I uczynię koniec męce.»

Wziął i westchnął; lice zbladło
 I zalał się łez strumieniem,
I pocałował zwierciadło —
 I cały stał się kamieniem.

GUŚLARZ.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.
Z czujnym słuchem, z bacznem okiem
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie,
Z cichem pieniem, wolnym krokiem.
Wszak nie nucim po kolędzie?
Nucimy piosnkę żałoby:
Nie do dworu z nowym rokiem,
Ze łzami idziem na groby.

CHÓR.

Póki ciemno, głucho wszędzie,
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie.

GUŚLARZ.

Śpieszmy cicho i powoli
Po za cerkwią, po za dworem:

Bo ksiądz gusłów nie dozwoli,
Pan się zbudzi nocnym chórem.
Zmarli tylko wedle woli
Śpieszą, gdzie ich Guślarz woła:
Żywi są na pańskiej roli,
Smętarz pod władzą kościoła.

CHÓR.

Póki ciemno, głucho wszędzie,
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW, do Dziewczyny.

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,
Nie płacz: i oczek i dłoni szkoda.
Te oczy innym źrenicom błysną,
Te rączki inną prawicę scisną.

Od lasu para gołąbków leci,
Para gołąbków, a orlik trzeci:
Uszłaś gołąbko, spojrzyj do góry,
Czy jest za tobą mąż srebrno-pióry?
Nie płacz, nie wzdychaj w próżnej żałobie,
Nowy małżonek grucha ku tobie:
Nóżki z ostrogą, szyję mu wieńczy
Wstążka błękitna w kolorach tęczy.

Róża z fijałkiem, na letniej łące,
Podają sobie dłonie pachnące:
Pieszy robotnik kosi dąbrowę,
Zranił małżonka, zostawił wdowę.
Płaczesz i wzdychasz w próżnej żałobie;
Wysmukły narcyz kłania się tobie
Jasną źrenicą, śród polnych dzieci.
Już księżyc między gwiazdami świeci.

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,
Nie płacz — i rączek i oczu szkoda.
Ten, po kim płaczesz, ręki nie ściśnie,
Okiem ku tobie wzajem nie błyśnie.

Ciemny on krzyżyk w prawicy trzyma,
A miejsca w niebie szuka oczyma.
Dla niego na mszę daj młoda wdowo,
A dla nas żywych piękne daj słowo.

(Do Starca.)

Nie tęknij starcze, prosimy młodzi:
Tęsknota sercu i myślom szkodzi;
W tem sercu dla nas żyją przykłady,
W tych myślach dla nas jest skarbiec rady.

Stary dąb zrzuca powiewne szaty,
O cień go proszą trawy i kwiaty:
Nie znam was, dzieci nowego rodu,
Czyliście warte cienia i chłodu,
Nie takie rosły, dawnemi laty,
Pod mą zasłoną trawy i kwiaty

Przestań narzekać w niesłusznym gniewie!
Jak było dawniej, nikt o tem nie wie.
Uwiędną jedni; powschodzą inni;
Chociaż mniej piękni, cóż temu winni?
Strzeż naszej barwy, ciesz się z okrasy,
A z nas dawniejsze wspominaj czasy.

Nie wzdychaj starcze w próżnej tęsknocie!
Wielu straciłeś, zostały krocie·
Nie całe twoje szczęście jest w grobie,
Nie tam są wszyscy znajomi tobie:
Weź trochę szczęścia od nas szczęśliwych,
Szukaj umarłych pośród nas żywych.

GUŚLARZ.

Kto błądząc po życia kraju
Chciał pilnować prostej drogi,
Choć mu los wedle zwyczaju
Wszędzie siał ciernie i głogi,

Nareszcie, po latach wielu,
W licznych troskach, w ciężkich nudach,
Zapomniał o drogi celu,
Aby znaleść wczas po trudach;
Kto z ziemi patrzył ku słońcu,
Myślą z orły szedł w przeloty,
I nie znał ziemi, aż w końcu
Kiedy wpadł w otchłań ciemnoty —
Kto żalem pragnął wydźwignąć
Co znikło w przeszłości łonie;
Kto żądzą pragnął doścignąć,
Co ma przyszłość w tajnem łonie;
Kto poznał błąd swój niewcześnie,
O gorszej myśląc poprawie —
Mruży oczy, by żyć we śnie
Z tem, czego szukał na jawie;
Kto marzeń tknięty chorobą,
Sam własnej sprawcą katuszy,
Darmo chciał znaleść przed sobą,
Co miał tylko w swojej duszy:
Kto wspominasz dawne chwile,
Komu się o przyszłych marzy:

Idź ze świata ku mogile,
Idź od mędrców do guślarzy.
Mrok tajemnic nas otacza,
Pieśń i wiara przewodniczy!
Dalej z nami, kto rozpacza,
Kto wspomina i kto życzy!

CHÓR MŁODZIEŻY.

Tu guślarz kazał młodzieży
Stanąć na drogi połowie:
Tam na wzgórku wioska leży
A tam mogilnik w dąbrowie.

Między kolebką i groby
Młody nasz wiek w środku stoi:
Śród wesela i żałoby
Stójmyż w środku, bracia moi.

Nie godzi się do wsi wracać,
Nie godzi się biedz w ich ślady;
Tu będziemy święcić Dziady,
I piosnkami noc ukracać.

Będziemy idących witać,
I powracających pytać,
Szczęśliwym rozpędzać trwogę,
Błędnym pokazywać drogę.

Zaszło słońce, biegną dzieci,
Idą starce, płaczą, nucą;
Lecz znowu słońce zaświeci,
Wrócą dzieci, starce wrócą.

Nim dojdzie siwizny dziecię,
Nim starego dzwon powoła,
Jeszcze ich spotka na świecie
Nie jedna chwilka wesoła.

Ale kto z nas w młode lata
Nie działa rzeźwem ramieniem,
Ale sercem i myśleniem:
Taki zgubiony dla świata.

Kto jak zwierz pustyni szuka,
Jak puhacz po nocy lata,
Jak upiór do trumny puka:
Taki zgubiony dla świata.

Kto w młodości pieśń żałoby
Raz zanucił, wiecznie nuci;
Kto raz zabłądził na groby,
Już z nich na świat nie powróci.

Niech więc dzieci i ojcowie
Idą w kościół z prośbą, z chlebem:
Młodzi, na drogi połowie,
Zostaniem pod czystem niebem.

GUSTAW, śpiewa.

Śród wzgórzów i jarów
I dolin i lasów;
Śród pienia ogarów
I trąby hałasów;

Na koniu, co lotem
Sokoły zadumi,
I z bronią, co grzmotem
Pioruny zatłumi;

Wesoły jak dziecko,
Jak rycerz krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy,

Witajcież rycerza
Pagórki i niwy!
Król lasów, pan zwierza,
Niech żyje myśliwy!

Czy w niebo grot zmierza,
Czy w knieje i smugi:
Stąd leci grad pierza,
Stąd płyną krwi strugi.

Kto w puszczy dojedzie
Odyńca bez trwogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Czyj dowcip gnał rojem
  Lataczów do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
  Sztandary ich skrzydeł!

Witajcież rycerza,
  Pagórki i niwy!
Król lasów, pan zwierza,
  Niech żyje myśliwy!

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
Z tropu w trop, dalejże, dalejże!
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
Z tropu w trop, hop! hop!

Spolowałem piosenkę! Nie będą się gniewać
Myśliwi, że do domu wracam bez zwierzyny!
Jak tylko wrócę, zaraz muszę im zaśpiewać.

Lecz gdzież zaszedłem? — Nigdzie śladu ni drożyny —
Hola! — Jak w kniei głucho: ni trąby, ni strzału —
Zbłądziłem. Otóż skutek wieszczego zapału!
Goniąc Muzę, wyszedłem z obławy. Mróz ciśnie.
Trzeba ogień nałożyć; gdy światło zabłyśnie —
Może jaki towarzysz z myśliwej czeladzi
Błądzi jak ja: ten ogień razem nas sprowadzi,
Łacniej drogę znajdziemy.

O mój przyjacielu!
Takich, jak ty, myśliwych nie znalazłbyś wielu.
Oni z lasu nie zwykli spoglądać w obłoki,
Oczami na jesienne polować widoki:
Z jednym zawsze zamiarem i jedyną żądzą,
Na ziemi tropią zdobycz! tem lepiej — nie błądzą.
Pewnie już z rzeźwem sercem i z spoconem czołem
Dzienną zabawę kończą za biesiadnym stołem:
Każdy chlubi się z przeszłych lub przysłych zdobyczy,
Każdy swe trafne strzały, cudze pudła liczy;

Żartują z siebie głośno, lub szepcą do ucha,
Wszyscy mówią, a jeden stary ojciec słucha
A jeśli się nakoniec uprzykrzyły łowy,
Natenczas do sąsiadek uśmiechy, rozmowy:
Czasem strzelecka miłość, wędrowna ptaszyna,
Serce przelotem zwiedzi. — Tak mija godzina
I tydzień i rok cały. Tak bywało wczora,
Tak jest dzisiaj i będzie każdego wieczora.
Szczęśliwi! —

A ja — czemu nie jestem jak oni?
Wyjechaliśmy razem, cóż mię w pole goni?
Ach! nie zabawy ścigam: uciekam od nudy;
Nie roskosze myśliwskie lubię, ale trudy.
Że się myśli, przynajmniej, że się miejsca zmienia,
I że tu nikt mojego nie śledzi marzenia,
Łez pustych, które nie wiem skąd w oczach zaświecą,
Westchnień bez celu, które nie wiem kędy lecą —
Nie do sąsiadek pewnie — na wiatry, na gaje —
Ku marzeniom —

Myśl dziwna! Zawsze mi się zdaje,
Że ktoś łzy moje widzi i słyszy westchnienia,
I wiecznie około mnie krąży nakształt cienia —

Ileż razy, w dzień cichy szeleszczą na łące,
Jakoby nimfy jakiejś stopki latające:
Spojrzę — chwieją się kwiaty i podnoszą głowy
Jakby zlekka trącone. — Nieraz śród alkowy
Samotny, książkę czytam; książka z rąk wypadła:
Spojrzałem — i mignęła naprzeciw zwierciadła
Lekka postać; szepnęła jej powietrzna szata.
Nieraz dumałem w nocy; gdy się myśl rozlata
Wzdycham: i coś westchnieniom dawało znak życia,
Serce było i czułem drugie serca bicie —
Okrzyczano mię wszędzie, żem dziwak nieczuły;
I któż, jeśli nie one z czucia mię wyzuły? —

Pomnę, gdy każda piękność młodzieńczemu oku
Jak duch senny jaśniała w marzenia obłoku;
Gdym pod zewnętrznym blaskiem zgadywać był gotów
Miliony tajemnych wdzięków i przymiotów:
Z trwogą do cudownego śpieszyłem obrazu;
Przyszedłem, przemówiłem: dość było wyrazu,
Ażeby postać, godna równać się z niebiany,
Zamieniła się w posąg z lodu uciosany! —
Ileż razy, gdy dusza ku ustom wylata,
Chcę odkryć tajnie mego wewnętrznego świata,
Kiedy źrenicą w oczach dno myśli się śledzi,
Mowa serca serdecznej czeka odpowiedzi:
Natenczas, nieme bóstwo oczu mych się boi,
Słow mych nie słyszy, bo jej słyszeć nie przystoi —
Lub ich końce powtarza tylko naształt echa,
I albo się rumieni albo się uśmiecha;
I chce mnie znowu ściągnąć w rozmowy potoczne,
Wczorajsze, zawczorajsze i zaprzeszło-roczne! —
A niechajże ją krewni, poradą i władzą
Zalotnemu kupcowi ślubem zaprzedadzą:
Niewinna, nieznająca, niewidząca, głucha,
Jaką będzie? — Wstyd mówić, choć mię nikt nie słucha!

O dusze miałkie, raczej bezduszne szkielety!
Czerpające moralność całą z etykiety;
Których żale, radości, zapały i chłody
Stosują się do nowych kalendarzów mody;
Grzeczności i rozmowy najlepszego tonu,
Jak cukierki obwite w wierszyki salonu;
Słowo nawet częstokroć, niewyraźnie, głucho,
Jak przelot nocnej muszki, pogłaska mi ucho! —

Zasnąłem we mgle jasnej. Z góry i z daleka
Coś błyszczy, choć widocznych kształtów nie obleka;
I czuję promień oczu i uśmiech oblicza! —
Gdzież jesteś, samotności córo tajemnicza? —

Niechaj się twój duch uwieńczy
Choćby marnem, nikłem ciałem;
Okryj się choć rąbkiem tęczy,
Lub jasnym źródła kryształem.

Niechaj twojej blask obsłony
Długo, długo w oczach stoi;
Niech twych ust rajskiemi tony
Długo, długo słuch się poi.

Świeć mi słońce! Niech źrenica
Olśnie blaskiem twego lica;
Piej Syreno! W lubych głosach
Usnę, marząc o niebiosach —

Ach, gdzie cię szukuć? — Od ludzi ucieknę;
Ach, bądź ty ze mną, świata się wyrzeknę!

MYŚLIWY CZARNY, na stronie śpiewa.

Latasz mój ptaszku, za wysoko latasz!
A czy znasz dzielność swoich skrzydełek? —
Spojrzyj na ziemię którą pomiatasz;
Co tam wabików, co tam sidełek! —

GUSTAW.

Hola! słychać śpiewania — Hej! wszelki duch żywy!
Ozwij się, bracie, kto jesteś? —

MYŚLIWY.

Myśliwy,
Równej jak ty ochoty, większej trochę mocy.
Obadwa polujemy: chociaż ty w poranki
Jedziesz na świat, ja łowy rozpoczynam w nocy;
Ty czyhasz na zwierzęta, a ja na kochanki.

GUSTAW.

Nie wiem, czy dobre miejsce wybrałeś na łowy;
Ale nie chcę przeszkadzać: więc szczęśliwej drogi

MYŚLIWY.

Hola, kolego! Nie bądź taki raptusowy.
Jest że to grubijaństwo, albo skutek trwogi?
Pierwej mię sam zawołał, a teaz ucieka —

GUSTAW.

Ja miałbym ciebie wołać? —

MYŚLIWY.

Słyszałem zdaleka
Żeś wołał — kogo, na co? nie wiem doskonale:
Dosyć, że posłyszałem westchnienia i żale.
Jestem, jak ty, myśliwcem; byłem kiedyś młody:
Znam więc twego rzemiosła i wieku przygody;
Musisz coś mieć na sercu, rozmówmy się szczerze!
Pewnie się zabłąkało w kniei jakie zwierzę?
Bracie, ja sam błądziłem: znam zwierzęta różne,
Skrzydlate i piechotne, czworo i dwu-nożne.
A jeśli nic nie gonisz, pewnie radbyś gonił?
Ej! czy cię widok pustej torby nie zapłonił?
Wstyd młodemu niczego dotąd nie zastrzelić?
Przyznaj się — ja ci mogę w potrzebie udzielić.

GUSTAW.

Dzięki. — Od nieznajomych nie żądam pomocy,
Nie zabieram przyjaźni tak rychło, i w nocy;
I nie rozumiem, co twe słowa mają znaczyć?

MYŚLIWY.

Jeżeliś niepojętny, będę się tłómaczyć;
Jeżeliś mi nie ufał, będę szczerszy z tobą —
Wiedz naprzód: iż gdzie stąpisz, jest wszędzie nad tobą
Pewna istota, która z oczu cię nie traci,
I że chce ciebie w ludzkiej nawiedzić postaci,
Jeżeli to, coś przyrzekł, zachowasz niezłomnie —

GUSTAW.

Przebóg! co to ma znaczyć? — Nie zbliżaj się do mnie!

— — — — — — — — —

— — — — — — —

DZIADY.

CZĘŚĆ DRUGA.

There are more things in heaven and earth,
Than are dreamt of in your philosophy.
SHAKESPEARE.

UPIOR.

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły;
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata:
Cóż to za człowiek? Umarły! —

Patrz! duch nadziei życie mu nadaje,
Gwiazda pamięci promyków użycza;
Umarły wraca na młodości kraje,
Szukać lubego oblicza.

Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,
Usta i oczy stanęły otworem;
Na świecie znowu, ale nie dla świata:
Czemże ten człowiek? — Upiorem.

Ci, którzy bliżej smętarza mieszkali,
Wiedzą, iż upior ten co rok się budzi;
Na dzień zaduszny mogiłę odwali,
I dąży pomiędzy ludzi.

Aż gdy zadzwonią na niedzielę czwartą,
Wraca się nocą, opadły na sile;
Z piersią skrwawioną, jakby dziś rozdartą,
Usypia znowu w mogile.

Pełno jest wieści o nocnym człowieku:
Żyją, co byli na jego pogrzebie,
Słychać, że zginął w młodocianym wieku:
Podobno zabił sam siebie.

Teraz zapewne wieczne cierpi kary,
Bo smutnie jęczał i płomieniem buchał —
Niedawno jeden zakrystyan stary
Obaczył go i podsłuchał.

Mówi, iż upior, skoro wyszedł z ziemi,
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił:
Załamał ręce, i usty chłodnemi
Takową skargę wyrzucił:

«Duchu przeklęty! po co śród parowu
Nieczułej ziemi ogień życia wzniecasz?
Blasku przeklęty! zagasłeś, i znowu —
Po co mi znowu przyświecasz?

«O, sprawiedliwy, lecz straszny wyroku!
Ujrzeć ją znowu, poznać się, rozłączyć,
I com ucierpiał, to cierpieć co roku,
I jakem skończył, zakończyć! —

«Żebym cię znalazł, muszę między zgrają
Błądzić, z długiego wyszedłszy ukrycia —
Lecz nie dbam, jak mię ludzie powitają:
Wszystkiegom doznał za życia.

«Kiedyś patrzyła, musiałem jak zbrodzień
Odwracać oczy; słyszałem twe słowa —
Słyszałem co dzień, i musiałem co dzień
Milczeć jak deska grobowa.

«Śmieli się niegdyś przyjaciele młodzi,
Zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą;
Starszy ramieniem ściska i odchodzi,
Lub mądrą nudzi mię radą.

«Śmieszków i radców zarówno słuchałem,
Choć i sam może nie lepszy od drugich:
Sambym się gorszył zbytecznym zapałem,
Lub śmiał się z żalów zbyt długich.

«Ktoś inny myślał, że — obrażam ciebie,
Uwłaczam jego rodowitej dumie —
Przecież ulegał grzeczności potrzebie,
Udawał, że nie rozumie.

«Lecz i ja dumny, żem go równie zbadał,
Choć mię nie pyta, chociaż milczeć umiem:
Mówiłem gwałtem — a gdy odpowiadał,
Udałem, że nie rozumiem.

«Ale kto nie mógł darować mi grzechu,
Ledwie obelgę na ustach przytrzyma,
Niechętne lica gwałci do uśmiechu,
I litość kłamie oczyma:

«Takiemu tylko nigdym nie przebaczył! —
Wszakże, skargami nigdym ust nie zmazał,
Anim pogardy wymówić nie raczył,
Kiedym mu uśmiech okazał —

«Tegoż dziś doznam, jeśli dziką postać
Cudzemu światu ukażę z pod cieni:
Jedni mię będą egzorcyzmem chłostać,
Drudzy uciekną zdziwieni.

«Ten dumą śmieszy, ten litością nudzi,
Inny szyderskie oczy zechce krzywić —
Do jednej idąc, za cóż tyle ludzi
Muszę obrażać, lub dziwić?

«Cóżkolwiek będzie, dawnym pójdę torem:
Szydercom litość, śmiech litościwemu! —
Tylko, o luba, tylko ty z upiorem
Powitaj się po dawnemu —

«Spojrzyj i przemów! Daruj małą winę,
Że śmiem do ciebie raz jeszcze powrócić:
Mara przeszłości, na jedną godzinę
Obecne szczęście zakłócić.

«Wzrok twój nawykły do świata i słońca,
Może się trupiej nie ulęknie głowy;
I może raczysz cierpliwie do końca
Grobowej dosłuchać mowy —

«I ścigać myśli, po przeszłych obrazach
Błądzące, jako pasożytne ziele,
Które śród gmachu starego po głazach
Rozpierzchłe gałąski ściele.»

DZIADY.

Jest to nazwisko uroczystości, obchodzonej dotąd między pospólstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandji, na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Uroczystość ta początkiem swoim zasięga czasów pogańskich i zwała się niegdyś ucztą kozła, na której przewodniczył Koźlarz, Huślar, Guślarz, razem kapłan i poeta (gęślarz). W teraźniejszych czasach [ponieważ światłe duchowieństwo i właściciele usiłowali wykorzenić zwyczaj, połączony z zabobonnemi praktykami i zbytkiem częstokroć nagannym[1]] pospólstwo święci Dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach, niedaleko smętarza. Zastawia się tam pospolicie uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców, i wywołują się dusze nieboszczyków. Godna uwagi, iż zwyczaj częstowania umarłych zdaje się być wspólny wszystkim ludom pogańskim: w dawej Grecji za czasów homerycznych, w Skandynawji, na Wschodzie i dotąd po wyspach nowego świata. Dziady nasze mają to szczególnie, iż obrzędy pogańskie pomięszane są z wyobrażeniami religji chrześciańskiej; zwłaszcza, iż dzień zaduszny przypada około czasu tej uroczystości. Pospólstwo rozumie, iż potrawami, napojem i śpiewami przynosi ulgę duszom czyszcowym. Cel tak poważny święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne, przemawiały niegdyś silnie do mojej imaginacji; słuchałem bajek, powieści

[1] Ustęp ten [ ]; z pierwszego wydania, we wszystkich późniejszych opuszczony.

i pieśni o nieboszczykach powracających z prośbami lub przestrogami; a we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzedz pewne dążenie moralne i pewne nauki, gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane. Poema niniejsze przedstawi obrazy w podobnym duchu; śpiewy zaś obrzędowe, gusła i inkantacje, są po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie z gminnej poezji wzięte.

Kaplica — wieczór — GUŚLARZ — STARZEC PIERWSZY Z CHÓRU — CHÓR WIEŚNIAKÓW I WIEŚNIACZEK.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co do będzie?

GUŚLARZ.

Zamknijcie drzwi od kaplicy,
I stańcie do koła truny —
Żadnej lampy, żadnej świecy,
W oknach zawieście całuny:
Niech księżyca jasność blada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC.

Jak kazałeś, tak się stało.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Czyszcowe duszeczki!
W jakiejkolwiek świata stronie:
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli, dla dotkliwszej kary,
W surowem wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy i płacze rzewnie:
Każda śpieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierz

Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie i napitek.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Podajcie mi garść kądzieli.
Zapalam ją; wy z pośpiechem,
Skoro płomyk w górę strzeli.
Pędźcie go lekkim oddechem.
O tak, o tak, dalej, dalej,
Niech się na powietrzu spali.

CHOR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Naprzód wy z lekkiemi duchy,
Coście śród tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mozołu,
Zabłysnęli i spłonęli,
Jako ta garstka kądzieli;
Kto z was wietrznym błądzi szlakiem,
W niebieskie nie wzleciał bramy,
Tego lekkim, jasnym znakiem,
Przyzywamy, zaklinamy.

CHÓR.

Mówcie komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GUŚLARZ.

Patrzcie, ach patrzcie do góry,
Cóż tam pod sklepieniem świeci?
Oto, złocistemi pióry
Trzepiocze się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;

Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

GUŚLARZ I STARZEC.

Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem,
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

ANIOŁEK, do jednej z wieśniaczek.

Do mamy lecim, do mamy.
Cóż to mamo, nie znasz Józia?
Ja to Józio, ja ten samy,
A to siostra moja Rózia.
My teraz w raju latamy,
Tam nam lepiej, niż u mamy.
Patrz, jakie główki w promieniu,
Ubiór z jutrzenki światełka,
A na obojem ramieniu
Jak u motylków skrzydełka.
W raju wszystkiego dostatek,
Co dzień, to inna zabawka:
Gdzie stąpim, wypływa trawka,
Gdzie dotkniem, rozkwita kwiatek.
  Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga:
Ach mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

CHÓR.

  Lecz choć wszystkiego dostatek,
  Dręczy ich nuda i trwoga:
  Ach mamo, dla twoich dziatek
  Zamknięta do nieba droga!

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmaczek słodzi?
Są tu pączki, ciasto, mleczko,
I owoce i jagodki.

Czego potrzebujecz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

ANIOŁEK.

Nic nam, nic nam nie potrzeba.
Zbytkiem słodyczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwemi.
Ach, ja w mojem życiu całem
Nic gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole,
A co zrobię wszystko caca,
Śpiewać, skakać, wybiedz w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki:
Oto była moja praca;
A jej praca stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady,
Nie dla modłów i biesiady;
Nie potrzebna msza ofiarna;
Nie o pączki, mleczka, chrósty,
Prosim gorczycy dwa ziarna: [1]
A ta usługa tak marna
Stanie za wszystkie odpusty.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego roskazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego roskazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

GUŚLARZ.

Aniołku! duszeczko!
To ziarneczko, to ziarneczko —
Teraz z Bogiem idźcie sobie.
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!

[1] W pierwszem wydaniu wiersz brzmi:
Prosim o pieprzu dwa ziarna.

Widzicie pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju:
Zostawcież nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju:
Zostawcież nas w pokoju:
A kysz, a kysz!

(Widmo znika.)

GUŚLARZ.

Już straszna północ przybywa.
Zamykajcie drzwi na kłódki:
Weźcie smolny pęk łuczywa,
Stawcie w śródku kocioł wódki:
A gdy laską skinę z dala,
Niechaj się wódka zapala.
Tylko żwawo, tylko śmiało.

STARZEC.

Jużem gotów.

GUŚLARZ.

Daję hasło.

STARZEC.

Buchnęło, zwarzało,
I zgasło.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Dalej wy z najcięższym duchem,
Coście do tego padołu
Przykuci zbrodni łańcuchem
Z ciałem i duszą pospołu:
Choć zgon lepiankę roskruszy,
Choć was anioł śmierci woła:
Żywot z cielesnej katuszy,

Dotąd wydrzeć się nie zdoła.
Jeżeli karę tak srogą
Ludzie nieco zwolnić mogą,
I zbawić z piekielnej jamy,
Której jesteście tak blisko:
Was wzywamy, zaklinamy
Przez żywioł wasz, przez ognisko!

CHÓR.

Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GŁOS za oknem.

Hej, kruki, sowy, orlice!
O wy przeklęte żarłoki!
Puśccie mnie tu pod kaplicę,
Puśćcie mnie choć na dwa kroki

GUŚLARZ.

Wszelki duch! jakaż potwora!
Widzicie w oknie upiora?
Jak kość na polu, wybladły;
Patrzcie, patrzcie, jakie lice!
W gębie dym i błyskawice!
Oczy na głowę wysiadły:
Świecą jak węgle w popiele;
Włos rozczochrany na czele;
A jak suchy snop cierniowy
Płonąc, miotłę ognia ciska:
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

GUŚLARZ I STARZEC.

A jak suchy snop cierniowy
Płonąć, miotłę ognia ciska:
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

WIDMO z za okna.

Dzieci! nie znacież mnie, dzieci?
Przypatrzcie się tylko zbliska,
Przypomnijcie tylko sobie:
Ja nieboszczyk, pan wasz, dzieci!

Wszak to moja była wioska!
Dziś ledwo rok mija trzeci,
Jak mnie złożyliście w grobie.
Ach, zbyt ciężka ręka boska!
Jestem w złego ducha mocy,
Okropne cierpię męczarnie:
Kędy noc ziemię ogarnie,
Tam idę szukając nocy;
A uciekając od słońca —
Tak pędzę żywot tułaczy,
A nie znajdę błędom końca.
Wiecznych głodów jestem pastwą;
A któż mię nakarmić raczy?
Szarpie mię żarłoczne ptastwo;
A któż będzie mój obrońca?
Nie masz, nie masz mękom końca!

CHÓR.

Szarpie go żarłoczne ptastwo:
A któż mu będzie obrońca?
Nie masz, nie masz mękom końca!

GUŚLARZ.

Czegoż potrzeba dla duszy,
Aby uniknąć katuszy?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czy o poświęcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody.
Mów, czego trzeba dla duszy,
Aby się dostać do nieba?

WIDMO.

Do nieba? — Bluźnisz daremnie!
O nie, ja nie chcę do nieba:
Ja tylko chcę żeby ze mnie
Prędzej się dusza wywlekła,
Stokroć wolę pójść do piekła,
Wszystkie męki zniosę snadnie:
Wolę jęczeć w piekle na dnie,

Niż z duchami nieczystemi
Błąkać się wiecznie po ziemi,
Widzieć dawnych uciech ślady,
Pamiątki dawnej szkarady;
Od wschodu aż do zachodu,
Od zachodu aż do wschodu,
Umierać z pragnienia, z głodu,
I karmić drapieżne ptaki.
Lecz niestety! wyrok taki:
Że dopóty w ciele muszę
Potępioną włóczyć duszę,
Nim kto z was, poddani moi,
Pożywi mię i napoi.
Ach, jak mnie pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyście mnie podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR.

Ach, jak go pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyśmy mu podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR PTAKÓW NOCNYCH.

Darmo żebrze, darmo płacze!
My tu czarnym korowodem,
Sowy, kruki i puhacze,
Niegdyś, panku, sługi twoje,
Któreś ty pomorzył głodem,
Zjemy pokarmy, wypijem napoje.
Hej, sowy, puhacze, kruki!
Szporami, krzywemi dzioby
Szarpajmy jadło na sztuki!
Chociażbyś trzymał już w gębie,
I tam ja szponę zagłębię,
Dostanę aż do wątroby.
Nie znałeś litości panie! —
Hej, sowy, puhacze; kruki!

I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości.

KRUK.

Nie lubisz umierać z głodu? —
A pomnisz, jak raz w jesieni
Wszedłem do twego ogrodu? —
Gruszka dojrzewa, jabłko się czerwieni:
Trzy dnie nic nie miałem w ustach,
Ostrząsnąłem jabłek kilka.
Lecz ogrodnik, skryty w chrustach,
Zaraz narobił hałasu,
I poszczuł psami jak wilka.
Nie przeskoczyłem tarasu,
Dopędziła mię obława;
Przed panem toczy się sprawa —
O co? o owoce z lasu,
Które na wspólną wygodę
Bóg dał, jak ogień i wodę.
Ale pan gniewny zawoła:
«Potrzeba dać przykład grozy.»
Zbiegł się lud z całego sioła.
Przywiązano mię do sochy,
Zbito dziesięć pęków łozy;
Każdą kość, jak z kłosa żyto,
Jak od suchych strąków grochy,
Od skóry mojej odbito —
Nie znałeś litości, panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki;
A kiedy jadła nie stanie,
Szaparjmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

SOWA.

Nie lubisz umierać z głodu? --
Pomnisz, jak w kucyą samą,
Pośród najtęższego chłodu,
Stałam z dziecięciem pod bramą?
Panie wołałam ze łzami,
Zlituj się nad sierotami! —
Mąż mój już na tamtym świecie.
Córkę zabrałeś do dwora,
Matka w chacie leży chora,
Przy piersiach maleńkie dziecię:
Panie! daj nam zapomogę,
Bo dalej wyżyć nie mogę!
Ale ty panie bez duszy!
Hulając w pjanej ochocie,
Przewalając się po złocie,
Hajdukowi rzekłeś zcicha:
«Kto tam gościom trąbi w uszy?
Wypędź żebraczkę do licha.»
Posłuchał hajduk niecnota:
Za włosy wywlekł za wrota,
Wepchnął mię z dzieckiem do śniegu!
Zbita i przeziębła srodze,
Nie mogłam znaleść noclegu;
Zmarzłam z dziecięciem na drodze —
Nie znałeś litości panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

WIDMO.

Nie ma, nie ma dla mnie rady!
Darmo podajesz talerze:

Co dasz, to ptastwo zabierze.
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!
Tak muszę dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

CHÓR.

Tak, musisz dręczyć się wiek wiekiem:
Sprawiedliwe zrządzenia Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

GUŚLARZ.

Gdy nic tobie nie pomoże,
Idźże sobie precz, nieboże!
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

(Widmo znika.)

GUŚLARZ.

Podajcie mi, przyjaciele,
Ten wianek na koniec laski.
Zapalam święcone ziele:
W górę dymy, w górę blaski!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie;
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Teraz wy, pośrednie duchy,
Co to u tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy —
Żyłyście z ludźmi pospołu;
Lecz od ludzkiej wolne skazy,
Żyłyście nie nam, nie światu
Jako te cząbry i ślazy:
Ni z nich owocu, kwiatu;
Ani się ukarmi zwierzę;
Ani się człowiek ubierze;
Lecz w wonne skręcone wianki
Na ścianie wiszą wysoko:
Tak wysoko, o ziemianki,
Była wasza pierś i oko!
   Która dotąd czystem skrzydłem
Niebieskiej nie przeszła bramy:
Was tem światłem i kadzidłem
Zapraszamy, zaklinamy.

CHÓR.

   Mówcie, komu czego braknie,
   Kto z was pragnie, kto z was łaknie.

GUŚLARZ.

A tóż, czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza,
By z jeziora wody dostać:
Tak ona świeci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

GUŚLARZ I STARZEC.

Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

DUO.

GUŚLARZ I DZIEWCZYNA.

GUŚLARZ.

Na głowie ma kraśny wianek.
W ręku zielony badylek;
A przed nią bieży baranek,
A nad nią leci motylek.
Na baranku bez ustanku,
Woła: — baś, baś, mój baranku:
Baranek zawsze z daleka;
Motylka rózeczką goni,
I już, już trzyma go w dłoni:
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

Na głowie mam kraśny wianek,
W ręku zielony badylek;
Przedemną bieży baranek,
Nademną leci motylek.
Na baranka bez ustanku
Wołam: baś baś, mój baranku —
Baranek zawsze zdaleka;
Motylka rózeczką gonię,
I już, już chwytam go w dłonie:
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

ARJA.

Tu niegdyś, w wiosny poranki,
Najpiękniejsza z tego sioła,
Zosia, pasając baranki,
Skacze i śpiewa wesoła.
La la la la.

Oleś za gołąbków parę
Chciał raz pocałować w usta:
Lecz i prośbę i ofiarę
Wyśmiała dziewczyna pusta.
La la la la.

Józio dał wstążkę pasterce,
Antoś oddał swoje serce:
Lecz i z Józia i z Antosia
Śmieje się pierzchliwa Zosia.
La la la la. [1]

RECITATIVO.

Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski;
Imię moje u was głośne:
Że chociaż piękna nie chciałam zamężcia,
I dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,
Umarłam nie znając troski,
Ani prawdziwego szczęścia.
Żyłam na świecie, lecz ach, nie dla świata!
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni,
Za lekkim zefirkiem goni,
Za muszką, za kraśnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem:
Ale nigdy za kochankiem.
Pieśni i fletów słuchałam rada;
Często, kiedy sama pasę,
Do tych pasterzy goniłam stada,
Którzy mą wielbili krasę;
Lecz żadnegno nie kochałam —
Za to, po śmierci, nie wiem co się ze mną dzieje:
Nieznajomym ogniem pałam! —
Choć sobie igram do woli,
Latam, gdzie wietrzyk zawieje,
Nic mię nie smuci, nic mię nie boli.
Jakie chcę wyrabiam cuda,
Przędę sobie z tęczy rąbki,
Z przeźroczystych łez poranku
Tworzę motylki, gołąbki:
Przecież nie wiem, skąd ta nuda!
Wyglądam kogoś za każdym szelestem,
Ach, i zawsze sama jestem!

[1] Z Goethego.

Przykro mi, że bez ustanku
Wiatr mną, jak piórkiem pomiata;
Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata.
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali!
Pędzi w górę, w dół, z ukosa:
Tak pośród pierzchliwej fali
Wieczną przelatując drogę;
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani ziemi dotknąć mogę. —

CHÓR.

Tak, pośród pierzchliwej fali
Przez wieczne lecąc bezdroże,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani dotknąć ziemi może.

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga,
Czy o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko
I owoce i jagodki.
Częgo potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

DZIEWCZYNA.

Nic mnie, nic mnie nie potrzeba!
Niechaj podbiegą młodzieńce,
Niech mię pochwycą za ręce,
Niechaj przyciągną do ziemi,
Niech poigram chwilkę z nimi! —
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego roskazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według bożego roskazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

GUŚLARZ, do kilku wieśniaków.

Darmo bieżycie: to są marne cienie;
Darmo rączki ściąga biedna:
Wraz ją spędzi wiatru tchnienie.
Lecz nie płacz, piękna dziewico!
Oto przed moją źrenicą
Odkryto przyszłe wyroki:
Jeszcze musisz sama jedna
Latać z wiatrem przez dwa roki,
A potem staniesz za niebieskim progiem.
Dziś modlitwa nic nie zjedna:
Leć że sobie z Panem Bogiem.
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałaś jadła napoju:
Zostawże nas w pokoju.
A kysz, a kysz!

(Dziewczyna znika.)

GUŚLARZ.

Teraz wszystkie dusze razem,
Wszystkie i każdą z osobna,
Ostatnim wołam roskazem!
Dla was ta biesiada drobna:
Garście maku, soczewicy
Rzucam w każdy róg kaplicy.

CHÓR.

Bierzcie, czego której braknie,
Która pragnie, która łaknie.

GUŚLARZ.

Czas odemknąć drzwi kaplicy;
Zapalcie lampy i świece.

Przeszła północ, kogut pieje,
Skończona straszna ofiara,
Czas przypomnieć ojców dzieje —
Stójcie —

CHÓR.

Cóż to?

GUŚLARZ.

Jeszcze mara!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ, do jednej z wieśniaczek.

Pasterko, ot tam w żałobie —
Wstań: bo czy mi się wydaje
Czy ty usiadłaś na grobie?
Dziatki! patrzajcie, dla Boga!
Wszak to zapada podłoga,
I blade widmo powstaje —
Zwraca stopy ku pasterce,
Białe lice i obsłony,
Jako śnieg po nowym roku;
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie, ach patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak jakby pąsowa wstęga,
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga?
Co to jest, nie zgadnę wcale!
Pokazał ręką na serce:
Lecz nic nie mówi pasterce.

CHÓR.

Co to jest, nie zgadniem wcale.
Pokazał ręką na serce:
Lecz nic nie mówi pasterce.

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz, duchu młody?
Czy prosisz o chwałę nieba?

Czyli o święcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody:
Czego potrzebujesz, duchu młody,
Żeby się dostać do nieba?

(Widmo milczy.)

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Odpowiadaj, maro blada!
Cóż to — nic nie odpowiada?

CHÓR.

Cóż to, nic nie odpowiada?

GUŚLARZ.

Gdy gardzisz mszą i pierogiem:
Idź że sobie z Panem Bogiem!
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

(Widmo stoi.)

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju:
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz:

GUŚLARZ.

Przebóg! cóż to za szkarada?
Nie odchodzi i nie gada!

CHÓR.

Nie odchodzi i nie gada!

GUŚLARZ.

Duszo przeklęta, czy błoga,
Opuszczaj święte obrzędy!

Oto roztwarta podłoga:
Kędy wszedłeś, wychodź tędy,
Bo cię przeklnę w imię Boga.

(Po pauzie.)

Precz stąd na lasy, na rzeki,
I zgiń, przepadnij na wieki!

(Widmo stoi.)

Przebóg! cóż to za szkarada?
I milczy i nie przepada!

CHÓR.

I milczy i nie przepada!

GUŚLARZ.

Darmo proszę, darmo gromię:
On się przekleństwa nie boi.
Dajcie kropidło z ołtarza —
Nie pomaga i kropidło!!
Bo utrapione, straszydło
Jak stanęło, tak i stoi:
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród smętarza.

CHÓR.

Bo utrapione straszydło
Jak stanęło tak i stoi: .
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród smętarza.
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

To jest nad rozum człowieczy!
Pasterko! znasz tę osobę?
W tem są jakieś straszne rzeczy —
Po kim ty nosisz żałobę?
Wszak mąż i rodzina zdrowa?
Cóż to, nie mówisz i słowa?
Spojrzyj, odezwij się przecię!
Czyś ty martwa, moje dziecię?
Czegóż uśmiechasz się, czego?
Co w nim widzisz wesołego?

CHÓI

Czegóż uśmiechasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego?

GUŚLARZ.

Daj mi stułę i gromnicę:
Zapalę, jeszcze poświęcę —
Próżno palę, próżno święcę:
Nie znika przeklęta dusza!!
Weźcie pasterkę pod ręce,
Wyprowadźcie za kaplicę.
Czegóż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

CHÓR.

Czegóż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?

GUŚLARZ.

Przebóg, widmo kroku rusza! —
Gdzie my z nią, on za nią wszędzie —
Co to będzie, co to będzie?

CHÓR.

Gdzie my z nią, on za nią wszędzic:
Co to będzie, co to będzie?

DZIADY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Ich hob alle mürben Leichenschleier auf, die in Särgen lagen; ich entfernte den erhabenen Trost der Ergebung, bloss um mir immerfort zu sagen: «ach, so war es ja nicht! tausend Freuden sind auf ewig nachgeworfen in Grüfte und du stehst allein hier und überrechnest sie!» Dürftiger! Dürftiger! Schlage nicht das ganze zerrissene Buch der Vergangenheit auf! — Bist du noch nicht traurig genug?

JEAN PAUL.

Mieszkanie księdza. — Stół nakryty, tylko co po wieczerzy. — Dwie świece na stole. — Lampa przed obrazem Najświętszej Panni Marji. — Na ścianie zegar bijący. — KSIĄDZ. — PUSTELNIK. — DZIECI.

KSIĄDZ.

Dzieci, wstawajmy od stoła!
Teraz, po powszednim chlebie,
Klęknijcie przy mnie do koła:
Podziękujmy ojcu w niebie.
Dzień dzisiejszy Kościół święci
Za tych spółchrześcian dusze,
Którzy, z pomiędzy nas wzięci,
Czyszczowe cierpią katusze.
Za nich ofiarujmy Bogu.

(Rozkłada książkę.)

Oto stosowna nauka.

DZIECI, czytają.

«Onego czasu» —

KSIĄDZ.

Kto tam? kto tam stuka?

PUSTELNIK.

(Wchodzi ubrany dziwacznie.)

DZIECI.

Jezus, Marja!

KSIĄDZ.

Któż to jest na progu?

(Zmięszany.)

Ktoś ty taki? — po co? — na co?

DZIECI.

Ach, trup! trup! upior, ladaco
W imię Ojca! — zgiń, przepadaj! —

KSIĄDZ.

Ktoś ty, bracie? odpowiadaj.

PUSTELNIK.

(Powolnie i smutnie.)

Trup — trup — tak jest moje dziecię.

DZIECI.

Trup — trup — ach! ach! nie bierz tata!

PUSTELNIK.

Umarły? — O, nie! tylko umarły dla świata!
Jestem pustelnik, czy mię rozumiecie?

KSIĄDZ.

Skąd przychodzisz tak nierano?
Kto jesteś? jakie twe miano?
Kiedy się tobie przypatruję zbliska,
Zdaje się, że cię kiedyś widziałem w tej stronie —
Powiedz, mój bracie, jakiegoś ty rodu?

PUSTELNIK.

O tak! tak, byłem tutaj — o dawno! za młodu!
Przed śmiercią! — będzie trzy lata!
Lecz — co tobie do mego rodu i nazwiska?
Gdy dzwonią po umarłym, dziad stoi przy dzwonie,

(Udając dziada.)

«A na co ta ciekawość? zmów tylko pacierze!»
Otóż, ja także umarły dla świata:
Na co tobie ciekawość? zmów tylko pacierze!
Nazwiska — jeszcze rano: powiedzieć nie mogę;
Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju,
I dążę do tegoż kraju. —
Mój księże pokaż, jeśli wiesz, drogę!

KSIĄDZ, łagodnie z uśmiechem.

Dróg śmierci pokazywać nie chciałbym nikomu.

(Poufale.)

My księża tylko błędne prostujemy ścieżki.

PUSTELNIK, z żalem.

Inni błądzą: ksiądz w małym, ale własnym domu,
Czy to na wielkim świecie pokój lub zamieszki,
Czy gdzie naród upada, czy kochanek ginie,
O nic nie dbasz, usiadłszy z dziećmi przy kominie.

A ja się męczę, w słotnej, ciemnej porze!
Słyszysz, jaki szturm na dworze?
Czy widzisz łyskanie gromu?

(Ogląda się.)

Błogosławione życie, w małym własnym domu!

(Śpiewa.)

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy [1];
Noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy
W cichym własnym domu!

Z pałaców, sterczących dumnie [2],
Znijdź piękna do mojej chatki;
Znajdziesz u mnie świeże kwiatki,
Czułe serce znajdziesz u mnie.

Widzisz ptasząt zalecanki?
Słyszysz srebrny szmer strumyka?
Dla kochanka i kochanki
Dosyć domku pustelnika!

KSIĄDZ.

Kiedy tak chwalisz mój dom i kominek:
Patrz, oto ogień służąca nakłada,
Siądź i pogrzej się; tobie potrzebny spoczynek.

PUSTELNIK.

Pogrzej się! — dobry księże, arcy przednia rada!

(Śpiewa, pokazując na piersi.)

Nie wiesz, jaki tu żar płonie:
Mimo deszczu, mimo chłodu,
Zawsze płonie!
Nieraz chwytam śniegu, lodu,
Na gorącem cisnę łonie:
I śnieg tonie, i lód tonie,
Z piersi moich para bucha:
Ogień płonie!
Stopiłby kruszcze i głazy,

(Pokazując kominek.)

[1] Pieśń gminna.
[2] Z Szyllera.

Gorszy niż ten tysiąc razy,
Miljon razy! —
I śnieg tonie i lód tonie,
Z piersi moich para bucha:
Ogień płonie!

KSIĄDZ, na stronie.

Ja swoje, a on swoje; nie widzi, nie słucha.

(Do Pustelnika.)

Jednak do nitki przemoczony wszystek,
Zbladłeś, przesiąbłeś strasznie, drżysz jak listek.
Ktokolwiek jesteś, długą przejść musiałeś drogę.

PUSTELNIK.

Kt ojestem? — jeszcze rano: powiedzieć nie mogę;
Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju.
A dążę do tegoż kraju —
Tymczasem małą dam tobie przestrogę.

KSIĄDZ, na stronie.

Trzeba z nim widzę innego sposobu.

PUSTELNIK.

Pokaż — wszak dobrze wiesz do śmierci drogę?

KSIĄDZ.

Dobrze, gotowym na wszelkie usługi:
Lecz od twojego wieku aż do grobu
Gościniec jest arcy-długi.

PUSTELNIK, z pomięszaniem i smutnie sam do siebie.

Ach, tak prędko przebiegłem gościniec tak długi!

KSIĄDZ.

Dla tego jesteś znużony i chory.
Posil się; wraz przyniosę jadło i napoje.

PUSTELNIK, z obłąkaniem.

A potem pójdziem?

KSIĄDZ, z uśmiechem.

Zróbmy na drogę przybory.
Czy dobrze?

PUSTELNIK, z roztargnieniem i nieuwagą.

Dobrze.

KSIĄDZ.

Chodźcie, dzieci moje!
Oto mamy w domu gościa;
Nim ja powrócę, bawcie jegomościa.

(Odchodzi.)

DZIECIE, oglądając.

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?
Jak strach, albo rozbójnik, co to mówią w bajce:
Z różnych kawałków sukmany,
Na skroniach trawa i liście,
Wytarte płótno, przy pięknej kitajce?

(Postrzega sztylet, Pustelnik chowa.)

Jaka to na sznurku blacha?
Różne paciorki, wstążek okrajce?
Cha cha cha cha!
Dalibóg, waspan wyglądasz na stracha!
Cha cha cha cha!

PUSTELNIK, zrywa się, i jakby przypomina się.

O dziatki, wy się ze mnie śmiać nie powinniście!
Słuchajcie: znałem pewną kobietę za młodu —
Tak jak ja nieszczęśliwą, z takiego powodu —
Miała takąż sukienkę i na głowie liście —
Gdy weszła do wsi, cała wieś nawałem,
Urągając się z jej biedy,
Pędzi, śmieje się, wykrzyka,
Podrzeźnia, palcem wytyka;
Ja się raz tylko, raz tylko zaśmiałem! —
Kto wie, jeśli nie za to? — Słuszne sądy Boże!
Lecz któż mógł przewidzieć wtedy,
Że ja podobną sukienkę włożę?
Ja byłem taki szczęśliwy! —

(Śpiewa.)

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy;
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.

(Ksiądz przychodzi z winem i talerzem.)

PUSTELNIK, z wymuszoną wesołością.

Księże, a lubisz ty smutne piosenki?

KSIĄDZ.

Nasłuchałem się ich w życiu dosyć, Bogu dzięki!
Lecz nie traćmy nadziei: po smutkach wesele.

PUSTELNIK, śpiewa.

A odjechać od niej nudno,
A przyjechać do niej trudno! [1]
Prosta piosenka, ale dobrą myśl zawiera!

KSIĄDZ.

Na potem o tem; a teraz zajrzyjmy do misy.

PUSTELNIK.

Prosta pieśń — o, w romansach znajdziesz lepszych wiele!
(Z uśmiechem, biorąc książki z szafy.)
Księże, a znasz ty żywot Heloizy?
Znasz ogień i łzy Wertera?
(Śpiewa.)
Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem [2],
Chyba śmiercią bole się ukoją;
Jeślim płochym obraził zapałem,
Tę obrazę krwią okupię moją.
(Dobywa sztylet.)

KSIĄDZ, wstrzymuje.

Co to ma znaczyć? — Szalony! czy można?
Odbierzcie mu żelazo, rozdejmijcie pięście.
Jesteś ty chrześcijanin, taka myśl bezbożna!
Znasz ty Ewangelię?

PUSTELNIK.

A znasz ty nieszczęście?
(Chowa sztylet.)
Ale dobrze! nie trzeba chwytać się przed porą:
(Patrzy na zegar.)
Skazówka na dziewiątej i trzy świece gorą —
(Śpiewa.)
Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,
Chyba śmiercią bole się ukoją;
Jeślim płochym obraził zapałem,
Tę obrazę krwią okupię moją.

[1] Z pieśni i gminnej.
[2] Z Goethego.

Za coś, dla mnie tyle ulubiona,
Za com z twojem spotkał się wejrzeniem?
Jednąm wybrał z tylu dziewcząt grona:
I ta cudzym przykuta pierścieniem!

Ach, jeśli ty Goethego znasz w oryginale —
Gdyby przytem tej głosek i dźwięk fortepianu! —
Ale cóż? ty o boskiej tylko myślisz chwale,
Oddany twego tylko powinnościom stanu.
(Przerzucając książkę.)
Wszakże lubisz książki świeckie?
Ach, te to są książki zbojeckie!
(Ciska książkę.)
Młodości mojej niebo i tortury!
One zwichnęły osadę mych skrzydeł
I wyłamały do góry,
Że już nie mogłem na dół skręcić lotu.
Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,
Gardzący istotami powszedniej natury,
Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki —
Której na podsłonecznym nie bywało świecie,
Którą tylko na falach wyobraźnej pianki
Wydęło tchnienie zapału,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie. —
Lecz, gdy w czasach tych zimnych nie ma ideału,
Przez teraźniejszość w złote odleciałem wieki:
Bujałem po zmyślonem od poetów niebie,
Goniąc i błądząc, w błędach nieznużony goniec —
Wreszcie, napróżno zbiegłszy kraj daleki,
Spadam i już się rzucam w brudne uciech rzeki:
Nim rzucę się, raz jeszcze spojrzę koło siebie —
I znalazłem ją nakoniec!
Znalazłem ją blisko siebie,
Znalazłem ją — ażebym utracił na wieki!

KSIĄDZ.

Podzielam twoją boleść, nieszczęśliwy bracie!
Lecz może jest nadzieja? są różne sposoby — —
Słuchaj, czy już od dawna doświadczasz choroby?

PUSTELNIK.

Choroby?

KSIĄDZ.

Czy już dawno płaczesz po twej stracie?

PUSTELNIK.

Jak dawno? — dałem słowo, powiedzieć nie mogę.
Kto inny powie tobie. Mam ja towarzysza,
Zawżdy z nim razem odbywamy drogę. —

(Ogląda się.)

Ach, tu tak ciepło, wygodna zacisza,
A na podwórzu wicher, gromy, burza sroga:
Mój towarzysz zapewne biedny drży u proga!
Gdy nas razem wyroki nielitośne pędzą,
Dobry księże, i jego przyjmij na gospodę.

KSIĄDZ.

Nigdy nie zamykałem drzwi moich przed nędzą.

PUSTELNIK.

Ale stój, stój mój bracie, ja sam go przywiodę.

(Odchodzi.)

DZIECIĘ.

Cha cha cha, tato, co się jemu dzieje?
Biega i gada ani to, ani owo.
Jakie dziwaczne ubiory!

KSIĄDZ.

Dzieci, będzie ten płakał, kto się z płaczu śmieje!
Nie śmiejcie się! to człowiek bardzo biedny, chory.

DZIECIĘ.

Chory? a on tak biega, wygląda tak zdrowo!

KSIĄDZ.

Zdrów na twarzy, lecz w sercu głębokie ma rany.

PUSTELNIK, ciągnąc gałąź jedliny.

Chodź, bracie, chodź tu! —

KSIĄDZ, do dzieci.

On ma rozum pomieszany.

PUSTELNIK, do jodły.

Chodź, bracie, nie lękaj się dobrego księżyny.

DZIECIĘ.

Tato! ach patrzaj, co on w ręku niesie:
Jak zbójca z wielką gałęzią jedliny.

PUSTELNIK, do księdza ukazując gałąź.

Pustelnik przyjaciela znajdzie chyba w lesie;
Może cię zdziwia jego postać?

KSIĄDZ.

Czyja?

PUSTELNIK.

Mojego przyjaciela.

KSIĄDZ.

Jakto? tego kija?

PUSTELNIK.

Niezgrabny, jak mówiłem, wychowany w lesie.
Przywitaj się!

(Podnosi gałąź.)

DZIECIĘ.

Co robisz? co robisz? ach zbójca?
Pójdź-że precz, rozbójniku, nie zabij nam ojca!

PUSTELNIK.

O prawda, moje dziatki, jest to wielki zbójca!
Ale on tylko sam siebie rozbija —

KSIĄDZ.

Upamiętaj się, bracie; do czego ta jodła?

PUSTELNIK.

Jodła? — A, ksiądz uczony! O, głowo ty, głowo!
Przypatrz się lepiej: poznaj gałąź cyprysową;
To pamiątki rozstania, mego losu godła.

(Bierze książki.)

Weź księgę, i odczytaj dzieje zeszłych wieków:
Dwie były poświęcone krzewiny u Greków;
Kto kochał, od swej lubej ukochany wzajem,
Błogie włosy mirtowym przyozdabiał majem.

(Po pauzie.)

Jej ręką ułamana gałąź cyprysowa
Zawsze mi przypomina ostatnie «bądź zdrowa!»
Przyjąłem ją, schowałem, dotąd wiernie służy!
Nieczuła, lepsza od tych niby czułych ludzi.
Jej płacz mój nie rozśmiesza i skarga nie nudzi;
Jedna mi pozostała z przyjaciół tak wielu!
Wszystkie tajniki serca mojego posiada!

Jeśli chcesz o mnie wiedzieć, pytaj, przyjacielu:
Zostawię was sam na sam, niech resztę wygada
(Do gałęzi.)
Powiedz, jak dawno płaczę lubej straty —
Dawno to być musiało! przed dawnemi laty!
Pamiętam, kiedy cyprys przyjąłem z jej ręki,
Był to listeczek taki, ot taki maleńki;
Zaniosłem, posadziłem na piasku, daleko,
I gorącą łez moich polewałem rzeką:
Patrz, jaka z liścia gałąska urosła,
Jaka gęsta i wyniosła!
Kiedy mię boleść ostatnia dotłoczy,
Nie chcąc na zagniewane poglądać niebiosa,
Okryłem mój grobowiec cieniem tych warkoczy.
(Z łagodnym uśmiechem.)
Ach, taki właśnie był kolor jej włosa,
Jak te cyprysu gałąski! —
Chcesz? pokażę.
(Szuka i ciągnie od piersi.)
Nie mogę odpiąć tej zawiąski.
(Coraz z większem sileniem się.)
Zawiąska miękka — z warkocza dziewicy —
Lecz skorom tylko położył na łonie,
Opasała mię wkoło nakształt włosiennicy:
Pierś przejada, w ciało tonie,
Tonie, tonie, i wkrótce przetnie mi oddechy! —
Wiele cierpię! — ach, bo też wielkie moje grzechy!

KSIĄDZ.

Uspokój się, uspokój! przyjm słowo pociechy;
Ach, tak okropne bole, moje dziecię,
Za twe na ziemi jakieżkolwiek grzechy,
Przyjmie w rachunku Bóg na tamtym świecie!

PUSTELNIK.

Grzechy? — i proszę, jakież moje grzechy?
Czyliż niewinna miłość wiecznej godna męki?
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki!
On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki z sobą!

Wprzód nim je wyjął ze światłości stoku,
Nim je stworzył i okrył cielesną żałobą,
Wprzódy je powiązał z sobą!
Teraz — kiedy złych ludzi odłącza nas ręka:
Rozciąga się ten łańcuch — ale się nie pęka.
Czucia nasze, dzielącej uległe przeszkodzie,
Chociaż nigdy nie mogą napotkać się zbliska:
Przeciez zawżdy po jednym biegają obwodzie,
Łańcuchem od jednego skreślone ogniska.

KSIĄDZ.

Jeżeli Pan Bóg złączył, ludzie nie rozłączą!
Może się troski wasze pomyślnie zakończą.

PUSTELNIK.

Chyba tam! gdy nad podłem wzbijemy się ciałem,
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje:
Bo tutaj wszelkie dla nas umarły nadzieje;
Tutaj ja się z mą lubą na wieki rozstałem!

(Po pauzie.)

Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi.
Pamiętam: śród jesieni, przy wieczornym chłodzie,
— Jutro miałem wyjechać — błądzę po ogrodzie.
W rozmyślaniu, w modlitwach szukałem tej zbroi,
Którąbym odział serce miękkie z przyrodzenia,
I wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia! —
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą,
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy;
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.
Spojrzę: jak raz nademną świeci gwiazdka wschodnia;
O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!
Spojrzę na dół, na szpaler — patrz, tam przy altanie,
    Ujrzałem ją niespodzianie!
Suknią między ciemnemi bielejąca drzewy,
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.

Potem biegła, jak lekkie zefiru powiewy,
Oczy zwrócone w ziemię — nie spojrzała ku mnie!
A lica jej bardzo blade —
Nachylam się, zajrzę z boku:
I dojrzałem łeskę w oku! —
Jutro, rzekłem, jutro jadę!
Bądź zdrów! odpowie z cicha — ledwie posłyszałem, —
Zapomnij — Ja zapomnę? — O, roskazać snadno!
Roskaż luba twym cieniom, niechaj wraz przepadną,
I niech zapomną biegać za twem ciałem! —
Roskazać snadno! —
Zapomnij!!

(Śpiewa.)

Przestań płakać, przestań szlochać,
Idźmy każdy w swoją drogę:
Ja cię wiecznie będę —

(Urywa śpiewanie.)

Wspominać, —

(Kiwa głową. Śpiewa.)

Ale twoją być nie mogę!

Wspominać tylko? — jutro, jutro! jadę!
Chwytam za rączki i na piersi kładę.

(Śpiewa.)

Najpiękniejsza, jak aniołek raju [1],
Najpiękniejsza ze wszystkich dziewica;
Wzrok niebieski, jako słońce w maju
Odstrzelone od modrych wód lica!

Pocałunek jej, ach, nektar boski!
Jako płomień chwyta się z płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,
Harmonijnem ożenione brzmieniem.

Serce z sercem zbiega, zlatuje się, ściska,
Lica, usta łączą się — drżą, palą,
Dusza wionie w duszę — niebo, ziemia pryska
Rostopioną do koła nas falą!

[1] Z Szyllera.

Księże! — O, nie! ty tego nie czujesz obrazu!
Ty cukrowych ust lubej nie tknąłeś ni razu!
Niech ludzie świeccy bluźnią, szaleją młokosy:
Serce twe skamieniałe na natury głosy. —
O, luba! zginąłem w niebie,
Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!

(Śpiewa.)

Pocałunek jej, ach, nektar boski!
Jako płomień chwyta się z płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,
Harmonijnem ożenione brzmieniem.

(Chwyta dziecię i chce pocałować; dziecię ucieka.)

KSIĄDZ.

Czegóż boisz się sobie równego człowieka?

PUSTELNIK.

Przed nieszczęśliwym, ach, wszystko ucieka:
Jakby przed straszydłem z piekła —
Ach, tak! i ona przedemną uciekła!
— Bądź zdrów! — i w długiej ulicy,
Niknie nakształt błyskawicy.

(Do dzieci.)

I czegóż ona przedemną uciekła?
Czylim ją śmiałem przeraził wejrzeniem?
Czyli słówkiem, lub skinieniem?
Muszę przypomnieć —

(Przypomina.)

Tak się w głowie kręci! —
Nie! nie! ja wszystko widzę, jak na dłoni,
Nie zgubiłem żadnego wyrazu z pamięci:
Dwa tylko słowa powiedziałem do niej.

(Z żalem.)

Księże, dwa tylko słowa:
Jutro! bądź zdrowa!
— Bądź zdrów! — Gałąskę odrywa, podaje:
Oto jest, rzekła, co nam tu (na ziemię pokazuje) zostaje!
Bądź zdrów! — i w długiej ulicy,
Niknie nakształt błyskawicy!

KSIĄDZ.

Młodzieńcze, ja głęboko czuję, co cię boli!
Lecz słuchaj, są tysiące biedniejszych od ciebie.
Ja sam już nie na jednym płakałem pogrzebie:
Po ojcu i po matce już mówię pacierze,
Dwoje małych dziateczek aniołkami w niebie,
Ach, i moja wspólniczka szczęścia i niedoli,
Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze! —
Ale cóż robić? Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze!
Niechaj się dzieje według jego świętej woli.

PUSTELNIK, mocno.

Żona?

KSIĄDZ.

Ach, to wspomnienie serce mi rozdarło!

PUSTELNIK.

Jak to? gdzie się obrócę, wszyscy płaczą żony!
Lecz ja nie winien, twojej nie widziałem żony —

(Spostrzega się.)

Słuchaj! przyjmij pociechę, małżonku strapiony:
Żona twoja przed śmiercią już była umarła.

KSIĄDZ.

Jakto?

PUSTELNIK, mocniej.

Gdy na dziewczynę zawołają: żono,
Już ją żywcem pogrzebiono!
Wyrzeka się przyjaciół! ojca, matki, brata,
Nawet — słowem: całego wyrzeka się świata,
Skoro stanęła na cudzym progu!

KSIĄDZ.

Chociaż wyznania twoje mgła żalu pokrywa,
Wszakże ta, której płaczesz, jest podobno żywa?

PUSTELNIK, z ironją.

Żywa? — Właśnie jest za co podziękować Bogu!
Żywa! Jako? nie wierzysz? Cóż się tobie zdaje?
Poprzysięgnę, uklęknę, palce na krzyż złożę:
Ona umarła i ożyć nie może! —

(Po pauzie zwolna.)

Ależ, bo różne są śmierci rodzaje —
Jedna śmierć jest pospolita:

Śmiercią tą starzec, kobieta,
Dziecię, masz słowem tysiące
Ludzi umiera co chwila —
I taką śmiercią Maryla,
Którą widziałem na łące.

(Śpiewa.)

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Jaki to sterczy kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi —

(Przestaje śpiewać.)

Ach, i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem! —
Patrz, patrz! blada na pościeli:
Jak na obłoczkach mglisty poranek.
Z płaczem do koła stanęli,
I smutny ksiądz u łóżka,
I smutniejsza czeladka,
I smutniejsza od niej drużka,
I smutniejsza od nich matka,
I najsmutniejszy kochanek
Patrz: uchodzi z lica krasa;
Wzrok zapada i zagasa,
Ale jeszcze, jeszcze świeci;
Usta, gdzie się róża kwieci,
Więdną, gubią blask szkarłatu,
I jak z piwonii kwiatu
Wycięty wąski listeczek,
Taka siność jej usteczek,
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma —
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka;
Ręce stygną: a serduszko
Bije z cicha, bije z rzadka,

Już stanęło, już jej nie ma;
Oko to: niegdyś podobne słonku —
Czy widzisz Księże pierścienie?
— Smutna pamiątka została! —
Jak w pierścionku
Brylant pała,
Takie jaśniały w oczach płomienie:
Lecz iskra duszy już się nie pali!
Błyszczą one, jak rdzeni spróchniałej światełka,
Jak na gałąskach wody perełka,
Kiedy ją wicher skrysztali —
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma;
Głowa upada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną; a serduszko
Bije zcicha, bije zrzadka,
Już stanęło — już jej nie ma!

DZIECIĘ.

Umarła! ach jaka szkoda!
Słuchając, płakałem szczerze.
Czy to znajoma twoja, czy siostrzyczka młoda?
Ale nie płacz, niechaj jej wieczny pokój świeci,
Będziemy za nią co dzień mówili pacierze.

PUSTELNIK.

To jedna śmierć, moje dzieci.
Ale jest straszniejsza druga:
Bo nie umarza od razu.
Powolna, bolesna, długa,
Śmierć ta dwie społem osoby ugodzi --
Lecz moje tylko zabija nadzieje,
Drugiej — bynajmniej nie szkodzi.
Ona żyje, ona chodzi;
Kilka drobnych łez wyleje;
Potem w niej czucie rdzewieje,
I została nakształt głazu.
Ach, dwie osoby uderza od razu!
Lecz moje tylko zabiła nadzieje,

A jej bynajmniej nie szkodzi:
Kwitnie życiem, kwitnie zdrowiem!
Taką śmiercią umarła — kto? O, nie — nie powiem!
Nie prawdaż dzieci? straszniejsza daleko,
Gdy trup z rozwartą, ot tak, powieką.

(Dzieci uciekają.)

Jednak umarła! — Kiedy płaczę, ręce łamię,
Zbiegli się ludzie do koła,
Wyciągają długie szyje;
Jeden mówi, że ja kłamię;
Drugi potrząsa i woła:
Patrz, szaleńcze, ona żyje!

(Do Księdza.)

Nie wierz, choćby ci szyderce
Po tysiąc razy mówili;
Słuchaj, co mówi to serce:
Nie masz, nie masz Maryli!

(Po pauzie.)

Jeszcze rodzaj śmierci trzeci:
Śmierć wieczna, jak pismo mówi.
Biada, biada człowiekowi,
Którego ta śmierć zabierze!
Tą śmiercią może ja umrę, dzieci —
Ciężkie, ciężkie moje grzechy!

(KSIĄDZ.)

Przeciwko światu i przeciwko sobie,
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu grzechy,
Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy,
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.
Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie:
Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata;
Ta myśl wielka pomniejsze zapały przystudzi.
Sługa Boży pracuje do późnego lata;
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

(PUSTELNIK zdziwiony.)

Księże? — A to są czary? sztuka niepojęta!

(Na stronie.)

Musi posiadać czarodziejskie sztuki;
Albo też nas posłuchał i wszystko pamięta.
(Do księdza.)
Wszak ja od niej słyszałem też same nauki! —
Cała rzecz słowo w słowo, jak z ust jej wyjęta,
Przy owem pożegnaniu, owego wieczora —
(Z ironją.)
Właśnie, właśnie to była do kazania pora!!
Słyszałem od niej słówek piękno-brzmiących wiele:
Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele!
Lecz teraz groch ten całkiem od ściany odpada;
Ja sobie spokojnie drzemię.
Kiedyś — duch mój przy wieszczym zapalał się rymie,
Kiedyś, budził mię ze snu tryumf Milcyada.
(Śpiewa.)

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Już tchnienie jej rozwiało te kształty olbrzymie!» —
Został się lekki cienik, mara blada,
Drobniuchne źdźbła odłamki,
Które lada motyl spasa,
Któreby ona mogła wciągnąć z odetchnieniem:
A ona chce budować na tym proszku zamki!!
Zrobiwszy mnie komarem, chce zmienić w Atlasa,
Dźwigającego nieba kamiennem ramieniem!!
Napróżno! — Jedna tylko iskra jest w człowieku,
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku —
Czasem ją oddech Minerwy roznieci:
Wtenczas nad ciemne plemiona
Powstaje mędrzec, i gwiazda Platona
W długie wieki wieków świeci.
Iskrę tę jeśli duma rozżary w pochodnie:
Wtenczas zagrzmi bohater, pnie się do szkarłatu
Przez wielkie cnoty i przez wielkie zbrodnie,[1]

[1] W pierwszem wydaniu:
Przez wielkie cnoty i przez większe zbrodnie.

I z pasztuszego kija robi berło światu,
Albo skinieniem oka stare trony wali.

(Po pauzie, zwolna.)

Czasem tę iskrę, oko niebianki zapali —
Wtenczas — trawi się w sobie, świeci sama sobie,
Jako lampa w rzymskim grobie — —

KSIĄDZ.

O, nieszczęśliwy zapaleńcze młody!
W żalach, które tak mocno zraniona pierś jąka,
Że nie jesteś zbrodniarzem, odkrywam dowody,
I że piękność, za którą twój się rozum błąka,
Nie z samej tylko powabna urody.
Jak z zapałem kochałeś, tak naśladuj godnie
Myślenia i uczucia niebieskiej istoty.
Zrodniarz ją kochający wróciłby do cnoty:
A ty, niby cnotliwy, puszczasz się na zbrodnie!
Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi:
Idą ku sobie gwiazdy; choć je mgły zaciemią,
Mgła znikie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi.
Łańcuchy tu wiążące prysną razem z ziemią,
A tam, nad ziemią, znowu poznają się swoi,
I namiętność, choć zbytnią, Pan Bóg wam przebaczy.

PUSTELNIK.

Jako? ty wiesz o wszystkiem? Co to wszystko znaczy?

(Udaje głos księdza.)

Jej serce, równie święte, jak powabne lice!
Łańcuch, który tu wiąże, nad ziemią opadnie! —

Ty wiesz o wszystkiem, ty nas podsłuchałeś zdradnie!
Wyłudziłeś tajemnicę,
Ukrywaną w sercu na dnie,
O której przyjaciele nie wiedzą najszczersi:
Bo jedną rękę na cypresu drzewie,
A drugą kładąc na piersi,
Zaprzysięgliśmy milczeć, i nikt o tem nie wie.

Ale tak, przypominam — tak, jednego razu
Kiedy przez czarodziejski pędzla wynalazek

Odkradzione jej wdzięki przeniosłem w obrazek,
Przyjaciołom okazać chciałem cud obrazu.
Lecz to, co mnie unosi, ich nawet nie ruszy;
Czułość dla nich zabawą, która nam potrzebą:
Nie mają oka duszy, nie przejrzą do duszy!
Zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności zalety:
Jak wilk, lub jak astronom patrzają na niebo:
Inny jest wzrok pasterza, kochanka, poety. —

Ach, ja tak ją na martwym ubóstwiam obrasku,
Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek,
I gdy dobranoc daję przy księżyca blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię! —
A moi przyjaciele! — Żałuję pośpiechu —
Jeden, gdy ubóstwienie w oku mojem czyta,
Ledwie zgryzioną wargą nie upuścił śmiechu,
I rzekł ziewając: at sobie kobieta!
Drugi przydał: jesteś dziecko! —
Ach, ten to starzec, z swoim przeklętym rozumem,
Pewnie wydał nas zdradziecko!

(Coraz z większem pomięszaniem.)

Opowiedział na rynku, przed dziećmi, przed tłumem:
A ktoś z tych dziatek, albo z gawiedzi,
Przyszedł i księdzu wyznał na spowiedzi. —

(Z największem obłąkaniem.)

Możeś ty mnie podstępnie badał na spowiedzi?

KSIĄDZ.

I na cóż nam te zdrady, spowiedź i podstępy?
Chociaż się dziwnym kłębkiem twoja żałość gmatwa:
Lecz czyj wzrok na bieg czucia nie jest całkiem tępy,
Temu do wywikłania łatwa.

PUSTELNIK.

Prawda! Lecz to są ludzkiej własności narowy,
Że, co dzień cały w sercu tkwi boleśnie,
Na noc przychodzi do głowy:
Wtenczas człowiek sam nie wie, co rozplecie w śnie.

Dawno, dawno — raz miałem przypadek ten samy.
Po pierwszem z nią widzieniu, wróciwszy do domu
Poszedłem spać, ni słówka nie mówiąc nikomu.
Nazajutrz, gdy dzień dobry przyniosłem dla mamy:
Co to jest, mówi do mnie, żeś taki pobożny?
Modlisz się przez noc całą, wzdychasz nieustannie,
I litanię mówisz o najświętszej Pannie? —
Zrozumiałem, i na noc zamknąłem podwoje.
Ale teraz nie mogę być równie ostrożny:
Nie mam domu; gdzie przyjdę tam posłanie moje;
A często przez sen gadam — w myślach jak na fali,
Ustawna burza, zawieja,
Błyśnie i zmierzchnie;
Mnóstwo się zarysów skleja,
W jakieś tworzydło ocali,
I znowu pierzchnie. —
Jeden tylko obrazek na zawsze wyryty:
Czy rzucam się na piasek i patrzę w głąb ziemną,
Błyszczy jak księżyc w wodzie odbity —
Nie mogę dostać, lecz błyszczy przedemną;
Czyli wzrokiem od ziemi strzelę na błękity,
Za moim wzrokiem do koła
Płynie i postać anioła,
Aż na górne nieba szczyty;
Potem, jak orlik na żaglach pierza:
(Patrząc w górę.)
Stanie w chmurze, i z wysoka,
Nim sam upadnie na zwierza,
Już go zabił strzałą oka;
Nie wzrusza się; i zlekka w jednem miejscu chwieje,
Jakby upłątany w sidło,
Albo do nieba przybity za skrzydło:
Tak właśnie ona nademną jaśnieje!
(Śpiewa.)

Czyli słońce światu płonie,
  Czy noc wciąga szatę ciemną:
Jej wyglądam, za nią gonię,
  Zawsze przy mnie, lecz nie ze mną!

Otóż — gdy ona stanie przed memi oczyma,
A sam jestem na polu, albo w gajów cieniu,
Napróżno każę milczeć: język nie dotrzyma,
Przemówię do niej słówko, nazwę po imieniu:
A zły człowiek podsłucha! — Tak właśnie dziś rano
Zdradliwie mię podsłuchano.
Ranek był — wraz opiszę. Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;
W dolinach tuman, nakształt pruszącego śniegu,
A na łąkach zaranna połyska się rosa;
Gwiazdy w błękit tonęły po nocnym obiegu:
Jedna tylko nademną świeci gwiazda wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia
Tam, przy altanie. —

(Spostrzega się.)

Cha! cha pobiegłem z ukosa!. —
To nie o tym poranku! — Ha! szał romansowy!
Przeklęty zawrocie głowy! —

(Po pauzie, przypomina.)

Był ranek: kiedy dumam, narzekam i jęczę,
Deszcz lał jak z wiadra, tęgi wicher dmuchał,
Utuliłem głowę w krzaczek:

(Z łagodnym uśmiechem.)

Ten ladaco mnie podsłuchał. —
Lecz nie wiem, czy tylko jęki,
Czy nawet imię podsłuchał:
Bo bardzo blisko był krzaczek.

KSIĄDZ.

O biedny, biedny młodzieńcze!
Co mówisz? kto cię podsłuchał?

PUSTELNIK, poważnie.

Kto? — Oto pewny robaczek maleńki,
Który pełzał tuż przy głowie.
Świętojański to robaczek,
Ach, jakie ludzkie stworzenie!
Przypełznął do mnie i powie: —

Zapewnie mię chciał pocieszyć —
Biedny człowieku, po co to jęczenie?
Ej, dosyć rozpaczą grzeszyć!
Kto temu winien, że piękna dziewczyna;
Żeś czuły? Nie twoja wina!
Patrz, mówił dalej robaczek,
Na iskrę, bo ze mnie strzela
I cały objaśnia krzaczek:
Zrazu szukałem z niej chluby;
Teraz widzę, że będzie przyczyną mej zguby,
I zwabi nieprzyjaciela.
Iluż to braci moich złe jaszczurki spasły!
Kląłem więc ozdobę własną,
Która na mnie śmierć sprowadza;
Chcę, żeby te iskry zgasły:
Ale cóż robić? nie moja w tem władza,
I póki żyję, te iskry nie zgasną.

(Po pauzie, pokazując na serce.)

Tak póki żyję, te iskry nie zgasną!

DZIECI.

A posłuchajcie — a jaki cud, jaki!
Tato, słyszałeś o cudzie?

(Ksiądz odchodzi, ściskając ramionami.)

Czy można, żeby robaki
Rozmawiały tak, jak ludzie?

PUSTELNIK.

Czemuż nie? Chodź tu, malcze, pod kantorek:
Nachyl się i przyłóż uszko:
Tu biedna duszka prosi o troje paciorek.
Aha, słyszysz jak kołata?

DZIECKO.

Tak tak, tak tak — tata, tata! —
A dalibóg że kołata,
Jak zegarek pod poduszką.
Co to jest? — tata, tak, ta tak!

PUSTELNIK.

Mały robaczek, kołatek,
A niegdyś wielki lichwiarz!

(Do kołatka.)

Czego żądasz duszko?

(Udaje głos.)

Proszę o troje paciorek —
A tuś mi, panie sknero! Znałem się z tym dziadem,
Był moim bliskim sąsiadem.
Zakopawszy chatę drągiem,
Nie dbał, że w progu jęczy wdowa i sierota,
Nikogo nie obdarzył chlebem, ni szelągiem.
Za życia, dusza jego przy pieniędzy worku
Leżała na dnie w kantorku:
Za to i teraz po śmierci,
Nim słuszną karę odbierze w piekle,
Słyszycie, jak gryzie wściekle,
Jak świdruje i jak wierci? —
Przecież, jeśli łaska czyja,
Mówcie trzy zdrowaś Marya.

(Ksiądz wchodzi z szklanką wody.)

PUSTELNIK, coraz mocniej pomięszany.

A co, słyszałeś pisk złego ducha?

KSIĄDZ.

Przebóg! co się tobie plecie?

(Ogląda się.)

Nic nie ma, wszędzie noc głucha!

PUSTELNIK.

Nadstaw tylko lepiej ucha.

(Do dziecięcia.)

Chodź tu, chodź tu, moje dziecię!
Czy słyszałeś?

DZIECKO.

Prawda, tato,
Coś tam gada.

PUSTELNIK.

Cóż ty na to?

KSIĄDZ.

Pójdźcie spać dzieci; co się wam marzy?
Nic ani szaśnie, cicho w około.

PUSTELNIK, do dzieci z uśmiechem.

Nie dziw, głosu natury nie dosłyszą starzy!

KSIĄDZ.

Mój bracie, weź wody w dłonie,
I zmyj trochę twoje czoło;
Może ten zapał gwałtowny ochłonie.

PUSTELNIK, bierze i myje.

(Tymczasem zegar zaczyna bić; po kilku uderzeniach PUSTELNIK upuszcza wodę i patrzy nieporuszony, poważnie i ponuro.)

Oto dziesiąta wybija.

(Kur pieje.)

I kur pierwsze daje hasło;
Czas ucieka, życie mija,

(Świeca jedna na stoliku gaśnie.)

I pierwsze światło zagasło.
Jeszcze, jeszcze dwie godziny,

(Zaczyna drżeć.)

Jak mi zimno!

(Ksiądz tymczasem patrzy zdziwiony nieco na świecę.)

Wiatr zimny świszcze przez szczeliny:
Jak tu zimno!

(Idzie do pieca.)

Gdzież jestem? —

KSIĄDZ.

W przyjaciela domu.

PUSTELNIK, przytomniej.

Pewnie cię nastraszyłem o niezwykłej porze,
Do nieznanego miejsca, w dziwacznym ubiorze?
Musiałem wiele gadać? Ach, nie mów nikomu!
Jestem biedny podróżny, z dalekich stron jadę.

(Ogląda się, i przytomniej.)

W młodości jeszcze, na środku gościńca,
Napadł, odarł mię całkiem (z uśmiechem) skrzydlaty złoczyńca.
Nie mam sukien: co znajdę to na siebie kładę.

(Obrywa liście i szaty poprawia z żalem.)

Ach, odarł mię, odebrał wszystkie skarby świata,
Została jedna przy mnie niewinności szata!

KSIĄDZ, który ciągle patrzał na świecę, do Pustelnika.
Uspokój się, dla Boga!
(Do dzieci.)
Kto to zgasił świecę?

PUSTELNIK.
Każdy cud chcesz tłomaczyć; biegaj do rozumu —
Lecz natura, jak człowiek, ma swe tajemnice,
Które nietylko chowa przed oczyma tłumu,
(Z zapałem.)
Ale żadnemu księdzu i mędrcom nie wyzna!

KSIĄDZ, bierze za rękę.
Synu mój!

PUSTELNIK, poruszony i zdziwiony.
Synu! — Głos ten, jakby blaskiem gromu,
Rozum mój z mroczącego wydobywa cienia!
(Wpatrując się.)
Tak — poznaję gdzie jestem — w czyim jestem domu —
Tak, tyś mój drogi ojciec, to moja ojczyzna?
Poznaję luby domek! — Jak się wszystko zmienia!
Dziatki urosły, ciebie przyprusza siwizna!

KSIĄDZ, pomięszany bierze świecę, wpatruje się.
Jak to? znasz mię? — To on! — nie — tak — nie, być nie może!

PUSTELNIK.
Gustaw!

KSIĄDZ, upuszcza świecę. Dzieci podejmują, zapalają i stawią na stole.
Gustaw! ty Gustaw! (ściska) Gustaw! wielki Boże!
Uczeń mój! syn mój!

GUSTAW, ściska, patrząc na zegar.
Ojcze, jeszcze ściskać mogę!
Bo potem — wkrótce — zaraz pójdę w kraj daleki!
Ach, i ty będziesz musiał wybrać się w tę drogę —
Uściśniemy się wtenczas, ale już na wieki!

KSIĄDZ.
Gustaw! skąd, kędyś? Przebóg, tak długa wędrówka!
Gdzieś to bywał dotychczas, przyjacielu młody?
Nie wiedzieć kędyś zniknął, jakbyś wpadł do wody;
Litery nie napisać, nie nakazać słówka?
Wszak to lat tyle! — Gustaw! cóż się z tobą dzieje?
Ty, niegdyś w mojej szkole ozdoba młodzieży,

Na tobie najpiękniejszem zakładał nadzieje:
Czy można tak się zgubić? — W jakiejże odzieży? —

GUSTAW, z gniewem.

Starcze! A gdy ja zacznę oskarżać nawzajem,
Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać?
Ty mnie zabiłeś: ty mnie nauczyłeś czytać! —
W pięknych księgach i pięknem przyrodzeniu czytać!
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś. —

(Z żalem i uśmiechem.)

I rajem!

(Mocniej i ze wzgardą.)

A to jest tylko ziemia!

KSIĄDZ.

Co słyszę? o Chryste!
Ja ciebie chciałem zgubić? — Mam sumienie czyste:
Kochałem cię jak syna!

GUSTAW.

I dla tego właśnie
Daruję ci!

KSIĄDZ.

Ach, o nic nie prosiłem Boga,
Jak abym cię raz jeszcze przy życiu obaczył!

GUSTAW, ściska.

Uściśnijmy się jeszcze,

(Patrzy na świecę.)

Nim druga zagaśnie.
Pan Bóg do twojej prośby przychylić się raczył.
Lecz już późno —

(Patrzy na zegar.)

A długa do przebycia droga!

KSIĄDZ.

Chociaż mocno ciekawy słyszeć twe przygody:
Lecz teraz potrzebujesz spoczynku i wczasu;
Jutro

GUSTAW.

Dziekuję; przyjąć nie mogę gospody:
Bo już mi na zapłatę nie staje zapasu.

KSIĄDZ.

Jakto?

GUSTAW.

O, tak przeklęci, którzy nic nie płacą!
Za wszyztko trzeba płacić: lub wzajemną pracą,
Albo wdzięcznem uczuciem, datkiem jednej łeski,
Za którą znowu ojciec odpłaci niebieski —
Ale ja, przebłądziwszy te kraje pamiątek,
Gdzie tyle łez zabiera każdy znany kątek,
I resztę uczuć i łzy wylałem ostatnie,
A nowych długów nie chcę zaciągać bezpłatnie.

(Po pauzie.)

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki —
Ledwie go poznać mogłem: już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie;
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła;
Jak na smętarzu w północ, milczenie do koła!
O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy!
Po krótkiem oddaleniu, gdym wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka;
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka;
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali.
Gustaw! Gustawl wołają, pojazd zatrzymali,
Lecą nazad gościńcem, wziąwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu.
Wrzask spółuczniów, przyjaciół, lewie nie zagłuszy. —
Teraz — pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku:
Ach, tyż to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
Kruku mój! pójdź tu Kruku! — Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i — pada bez ducha!
Ujrzałem światło w oknach; wschodzę: cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojej matki,

Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły:
Schwyciłem, zgniotłem, oczy na łeb mu wybiegły!
Siadam na ziemi płacząc; w przedporannym mroku,
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku:
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła.
Bardziej do czyscowego podobna widziadła.
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
Żegnając się i krzycząc słania się z przestrachu.
Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś moja kochana?
Czego po domu pustym błąkasz się tak zrana?
«Jestem biedna uboga, ze łzami odpowie,
W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie:
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci:
Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije,
O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje.»
Krwią mi serce zabiegło, wsparłem się u proga:
Ach, więc wszystko minęło? —

KSIĄDZ.

Prócz duszy i Boga!
Wszystko minie na ziemi, szczęście i niedole.

GUSTAW.

Ileż znowu pamiątek w twoim domku, w szkole!
Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasze w tamtem biegaliśmy lasek,
Kąpielą była rzeczka u okien ciekąca,
Po błoniach z studentami graliśmy w zająca.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przededniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
Wnet zwoływam spółuczniów, szykuję pod lasem:
Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożonych następują roty;
Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
Wpadam; a za mną szabel polskich błyskawice!
Przerzadzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
Gradem lecą turbany i obcięte szyje —

Janczarów zgraja pierzchła, lub do piasku wbita,
Zrąbaną z koni jazdę rozniosły kopyta,
Aż pod wał trzebim drogę — ten wzgórek był wałem!

Tam — ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci;
Tam, gdy ją przy chorągwi Proroka ujrzałem,
Natychmiast umarł we mnie Godfred i Jan Trzeci.
Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli panią,
Ach, odtąd dla niej tylko, o niej, przez nią, za nią!
Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice:
Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
Tutaj, na wzgórku, Russa czytaliśmy razem;
Altankę jej pod temi uwiązałem chłody:
Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
Z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiała wędką
Srebrno-piórego karpia, pstrąga z krasną cętką:
A dziś! —

(Płacze.)

KSIĄDZ.

Płacz; lecz niestety, boleść przypomnienia
Nas samych trawi, a nic w koło nas nie zmienia!

GUSTAW.

Dzisiaj po latach tylu, po takiej przemianie,
Na miejscach najszczęśliwszych — w najsmutniejszym stanie! —

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy zdaleka,
Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś, jak dziecko igrał przy piastunie;
Dziś, dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie:
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła —
Księże, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!

KSIĄDZ.

O! łza ta nie jest gorzka, gdy w obecne troski
Przypomnianego szczęścia między nektar boski;
Czułość ją u ludzkości wylewa ołtarza:
Gorzką truciznę sączą tylko łzy zbrodniarza.

GUSTAW.

Słuchaj, powiem coś jeszcze. — Byłem i w ogrodzie,
Pod tęż porę, w jesieni, przy wieczornym chłodzie.
Też same cieniowane chmurami niebiosa,
Tenże bladawy księżyc i kroplista rosa,
I tuman nakształt zlekka pruszącego śniegu —
I gwiazdy toną w błękit po nocnym obiegu,
I taż sama nademną świeci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia.
W tychże miejscach toż samo uczucie paliło:
Wszystko było jak dawniej — tylko jej nie było!
Podchodzę ku altance; jakiś szmer u wnijścia:
To ona? — Nie! to wietrzyk zżółkłe strząsał liścia.
Altano, mego szczęścia kolebko i grobie!
Tum poznał, tu pożegnał — ach, com uczuł w tobie!
To miejsce może wczoraj było jej siedzeniem,
Ona wczoraj tem samem oddychała tchnieniem! —
Słucham, oglądam wkoło: próżno wzrok się błąka;
Małegom tylko ujrzał nad sobą pająka.
Z listka wisząc, u słabej kołysał się nici:
Ja i on, równie słabo do świata przybici!
Oparłem się o drzewo. Wtem, na końcu ławki,
Widzę bukiety, trawkę, listek pośród trawki:
Tenże sam listek, listka mojego połowa.

(Dobywa listek.)

Który mi przypomina, ostatnie: bądź zdrowa! —
To mój dawny przyjaciel! Czulem go powitał,
Długo z nim rozmawiałem i o wszystkom pytał:
Jak ona rano wstaje? czem się bawi zrana?
Jaką psionkę najczęściej gra u fortepiana?
Do jakiego wybiega na przechadzkę zdroju?
W jakim najczęściej lubi bawić się pokoju?
Czy na moje wspomnienie rumieni się skromnie?
Czy sama czasem, nie chcąc, nie wspomina o mnie? —
Lecz co słyszę! — O straszna ciekawości karo;

(Ze złością uderza się w czoło.)

Kobieta!

(Śpiewa.)

Najprzód —

(Urywa i do dzieci.)

Dzieci, znacie piosnkę starą?

(Śpiewa.)

Najprzód ciebie wspomina,
Co chwila, co godzina.

CHÓR DZIECI.

Jakże kocha dziewczyna,
Co chwilę przypomina!

GUSTAW.

Potem po razu co dnia,
A potem, co tygodnia.

CHÓR DZIECI.

Jakże czuła dziewczyna,
Co tydzień przypomina!

GUSTAW.

A potem co miesiąca
Z początku, albo z końca.

CHÓR DZIECI.

Jakże dobra dziewczyna
Co miesiąc przypomina!

GUSTAW.

Biegą wody potoku,
  Pamięć nie w naszej mocy:
Już tylko raz co roku
  Około Wielkiejnocy.

CHÓR DZIECI.

Jaka grzeczna dziewczyna,
Jeszcze co rok wspomina!

GUSTAW.

Więc (pokazując listek) ostatni przeszłości odrzuciła szczątek!
Więc już jej moich nosić nie wolno pamiątek! —
Wychodziłem z ogrodu; krok mię własny zdradza,
Pod pałac niewidoma ciągnęła mię władza.
Tysiąc ogniów północne rozpędza ciemnoty,
Słychać wrzaski pojezdnych i karet turkoty.
Już jestem blisko ściany; skradam się pomału,
Wciskam oczy ciekawe w podwoje z kryształu:

Wszystkie stoły nakryto, wszystkie drzwi przemknięto,
Muzyka, śpiewy — jakieś obchodzono święto!
Toast! — słyszałem imię — ach, nie powiem czyje!
Jakiś głos nieznajomy, wykrzyknął; niech żyje!
Niech żyje! z ust tysiąca zabrzmiały te słowa;
Tak, niech żyje! — i z cicha przydałem: bądź zdrowa!
Wtem — o, gdy mię wspomnienia same nie zabiją! —
Ksiądz wyrzekł drugie imię i krzyknął: niech żyją!

(Wpatruje się jakby we drzwi.)

Ktoś dziękuje z uśmiechem — znam głos — pewnie ona.
Nie wiem pewnie — nie mogę widzieć za zwierciadłem.
Wściekłość mię oślepiła, podparłem ramiona,
Chciałem szyby rozsadzić — i bez duszy padłem —

(Po pauzie.)

Myślałem, że bez duszy — tylko bez rozumu!

KSIĄDZ.

Nieszczęsny! dobrowolnych szukałeś męczarni.

GUSTAW.

Jak trup samotny, obok weselnego tłumu,
Leżałem na zroszonej gorzkim płaczem darni:
Sprzeczność ostatnich w świecie pieszczot i męczarni!
Przebudzony, ujrzałem krwawy promyk wschodu.
Czekam chwilę: już nigdzie blasku, ani szumu.
Ach, ta chwila jak piorun, a jak wieczność długa!
Na strasznym chyba sądzie taka będzie druga!

(Po pauzie zwolna.)

Wtem — Anioł śmierci wywiódł z rajskiego ogrodu!

KSIĄDZ.

I na cóż ból rozdrażniać w przygojonej ranie?
Synu mój, jest to dawna, lecz słuszna przestroga:
Że kiedy co się stało i już nie odstanie,
Potrzeba w tem uznawać wolę Pana Boga.

GUSTAW, z żalem.

O, nie! Nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu:
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem,
Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,

Ten sam powab we wszystkiem, toż samo niechcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie —
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła:
Bóg osnuł przyszłe węzły, (z żalem największym) a tyś je rostrzygła!

(Mocniej, gniewny.)

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli:
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli —
Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto,
I honorów świecąca bańka wewnątrz pusta!
Bodaj! — Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto;
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto! —
Ja, gdybym równie był panem wyboru,
I najcudniejsza postać dziewicza,
Jakiej Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza niśli aniołów oblicza,
Niśli sny moje, niśli poetów zmyślenia,
Niśli ty nawet — oddam ją za ciebie,
Za słodycz twego jednego spojrzenia!
Ach i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,
Gdyby królestwo w niebie:
Oddałbym ją za ciebie! —
Najmniejszych względów nie zyska odemnie,
Gdyby za tyle piękności i złota —
Prosiła tylko, ażeby jej luby
Poświęcił małą cząstkę żywota,
Którą dla ciebie całkiem poświęca daremnie!
Gdyby prosiła o rok, o pół roka,
Gdyby jedna z nią pieszczota,
Gdyby jedno mgnienie oka:
Nie chcę! nie! i na takie nie zezwolę śluby!

(Surowo.)

A ty — sercem oziębłem, obojętną twarzą,
Wyrzekłaś słowo mej zguby!

I zapaliłaś niecne ogniska,
Któremi łańcuch, wiążący nas, pryska —
Które się wiecznem piekłem między nami żarzą,
Na moje wieczne męczarnie!
Zabiłaś mię zwodnico! Nieba cię ukarzą!
Sam ją — nie puszczę bezkarnie —
Idę — zadrżyjcie odmieńce!

(Dobywa sztylet i ze wściekłą ironją.)

Błyskotkę niosę dla jasnych panów!
Ot — tem wina utoczę na ślubne toasty —
Ha! wyrodku niewiasty!
Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojej wieńce!
Idę jak moją własność do piekła zagrabić,
Idę — (wstrzymuje się i zamyśla). O nie, nie — nie! Żeby ją zabić,
Trzeba być trochę więcej, niż pierwszym z szatanów! —
Precz to żelazo! (chowa) Niech ją własna pamięć goni.

(Ksiądz odchodzi.)

Niech ją sumienia sztylety ranią!
Pójdę, lecz pójdę bez broni,
Pójdę tylko spojrzeć na nią.
W salach, gdzie te od złota świecące pijaki
Przy godowym huczą stole,
Ja w tej rozdartej sukni, z tym liściem na czole,
Wnijdę i stanę przy stole. —
Zdziwiona zgraja od stołu powstała,
Przepijają do mnie zdrowiem,
Proszą mię siedzieć: ja stoję jak skała,
Ani słowa nie odpowiem.
Plączą się skoczne kręgi przy śpiewach i brzęku,
Prosi mię w taniec drużba godowa:
A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugiem ręku,
Nie odpowiem ani słowa! —
Wtem, ona z swoim anielskiem urokiem:
Gościu mój, rzecze, pozwól, niech się dowiem,
Skąd przychodzisz, kto jesteś? — Ja nic nie odpowiem;
Tylko na nią cisnę okiem,
Ha! okiem! okiem jadowitej żmije:

Całe piekło z mych piersi przywołam do oka;
Niech będzie ślepą, martwą jak opoka:
Na wskroś okiem przebije! —
Wgryzę się jak piekielny dym pod jej powieki,
I w głowie utkwię na wieki;
Będę jej myśli czyste przez cały dzień brudził,
I w nocy ją ze snu budził.

(Powolniej, z czułością.)

A ona tak jest czuła, tak łacno dotkliwa,
Jako na trawce wiosenne puchy,
Które lada zefiru zwiewają podmuchy,
I lada rosa obrywa. —
Każde wzruszenie moje natychmiast ją wzruszy,
Każdy przyostry wyraz zadraśnie;
Od cienia smutku mego jej wesołość gaśnie. —
Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnej duszy:
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.
Całą istnością połączeni ściśle,
Spojrzawszy tylko na twarzy zwierciadło,
Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jej serca przenika,
I na powrót błyszczy w oku. —
Ach tak! tak ją kochałem —

Pójdęż teraz trwożyć,
I na kochanka larwę potępieńca włożyć? —
Po co? czego chcę od niej? — O, zazdrości podła!
I jakież są jej grzechy?
Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?
Czy wabiącemi łowiła uśmiechy,
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi, jakie obietnice?
Miałem-że od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! nie! Sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawiłem jady, od których szaleję!

Po cóż ta wściekłość? jakie do niej prawa?
Co za moją wzgardzoną przemawia osobą?
Gdzie wielkie cnoty? świetne czyny? sława?
Nic! nic! — ach, jednę miłość mam za sobą! —
Znam to: nigdym śmiałemi nie zgrzeszył zapędy;
Nie prosiłem, ażeby była mi wzajemną;
Prosiłem tylko o maleńkie względy,
Tylko żeby była ze mną —
Choćby, jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka z bratem:
Bóg świadkiem, przestałbym na tem!
Gdybym mówił: widzę ją, widziałem ją wczora
I jutro widzieć będę:
Z nią z rana, w dzień koło niej, koło niej z wieczora,
Oddam pierwszy dzień dobry, u stołu z nią siędę:
Ach jak byłbym szczęśliwy!

(Po pauzie.)

Zapędzam się marnie:
Ty pod zazdrosnych oczu, chytrych żądeł strażą —
Ani obaczyć nie wolno bezkarnie!
Pożegnać, porzucić każą —
Umrzeć! —

(Z żalem.)

Kamienni ludzie! wy nie wiecie,
Jak ciężka śmierć pustelnika!
Konając, patrzy na świat, sam jeden na świecie:
Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka,
Żałobne grono łoża nie otoczy,
Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,
Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,
Zapłakać nie masz komu!

O, gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie!
Gdybyś, na mojej pamiątkę męki,
Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żałobie,
Przypięła jednę czarną wstążkę do sukienki! —
Może spojrzysz ukradkiem — i łeską boleści —
I pomyślisz westchnąwszy: ach, on mię tak kochał! —

(Z dziką ironją.)

Stój, stój, żałosne piskle! precz wrzasku niewieści!
Będęż, jak dziecko szczęścia, umierając szlochał?
Wszystko mi, wszystko niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!
Żywy, o nic przed nikim nie umiałem żebrać:
Żebrać litości nie będę umarły!

(Z determinacją.)

Rób co chcesz: jesteś woli swojej panią,
Zapomnij! ja zapomnę! (pomięszany) wszak już zapomniałem? —

(Zamyślony.)

Jej rysy — co raz ciemniej — tak już się zatarły!
Już ogarniony wieczności otchłanią,
Doczesnym pogardzam szałem. —

(Pauza.)

Ach, wzdycham. — Czegóż wzdycham? Ha, westchnąłem za nią —
Nie, nie mogę zapomnieć o niej i umarły! —
Wszakże ją widzę, wszak tu — o tu stoi —
Płacze nademną — jaka łeska szczera!

(Z żalem.)

Płacz, moja luba, twój Gustaw umiera!

(Z determinacją.)

No, dalej, śmiało Gustawie;

(Podnosi sztylet. Z żalem.)

Nie bój się luba, on się nic nie boi!
Czego żałujesz? On nic z sobą nie zabiera!
Tak! Wszystko, wszystko tobie zostawię,
Zostawię życie i świat i roskosze,

(Z wściekłością.)

I twego! — wszystko — o nic ani łzy nie proszę!

(Do księdza, który wchodzi ze służącymi.)

Słuchaj ty. — Jeśli kiedy obaczy. —

(Z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością.)

Pewna nadludzka dziewica — kobieta,
I jeśli ciebie zapyta,
Z czego umarłem? — Nie mów, że z rozpaczy;
Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoły,
Żem ani wspominał nigdy o kochance,
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjacioły —
Że ta pijatyka — tańce — —

Że mi się w tańcu — ot (uderza nogą) skręciła noga —
Z tego umarłem. —

(Przebija się.)

KSIĄDZ.

Jezus, Marya! bój się Boga!

(Chwyta za rękę. Gustaw stoi; zegar zaczyna bić.)

GUSTAW, pasując się ze śmiercią, patrzy na zegar.)

Łańcuch szeleści. — Jednasta wybija! —

KSIĄDZ.

Gustawie!

(Kur pieje drugi raz.)

GUSTAW.

To drugie hasło!
Czas ucieka, życie mija —

(Zegar kończy bić, świeca druga gaśnie.)

I drugie światło zagasło:
Koniec boleści! —

(Dobywa sztylet i chowa.)

KSIĄDZ.

Ratujcie przebóg, może jaka rada!
Ach! już, już kona, wbił do rękojeści,
Padł ofiarą szaleństwa!

GUSTAW, z zimnym uśmiechem.

Przecież nie upada!

KSIĄDZ, chwyta za rękę.

O zbrodnio! Boże odpuść. — Gustawie! Gustawie!

GUSTAW.

Zbrodnia taka nie może popełniać się co dzień —
Daj pokój próżnej obawie:
Stało się — osądzono. — Tylko dla nauki,
Scenę boleści powtórzył zbrodzień.

KSIĄDZ.

Jak to? co to jest?

GUSTAW.

Czary, omamienie, sztuki.

KSIĄDZ.

Ach! włosy mi się jeżą, drżą podemną nogi —
W imię Ojca i Syna! co to wszystko znaczy?

GUSTAW, patrząc na zegar.

Wybiło dwie godziny: miłości, rozpaczy;
A teraz następuje godzina przestrogi.

KSIĄDZ, chce go sadzić.

Usiądź, połóż się, oddaj zabójcze narzędzie,
Pozwól rany opatrzyć. —

GUSTAW.

Daję tobie słowo,
Że aż do dnia sądnego sztylet w pochwach będzie.
O ranach próżna troska: wszak wyglądam zdrowo?

KSIĄDZ.

Jak Bóg na niebie, nie wiem co to —

GUSTAW.

Skutki szału.
Albo może kuglarstwo? — Są kosztowne bronie,
Których ostrze przenika i aż w duszy tonie:
Przecież widomie nie uszkodzą ciału.
Taką bronią po dwakroć zostałem przebity. —

(Po pauzie, z uśmiechem.)

Taką bronią, za życia, są oczy kobiety,

(Ponuro.)

A po śmierci, grzesznika cierpiącego skrucha!

KSIĄDZ.

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha!
Czego stoisz jak martwy? zaglądasz na stronę?
Ach, oczy! — przebóg, jakby bielmem powleczone;
Puls ustał — ręce twoje zimne, jak żelazo!
Co to wszystko ma znaczyć?

GUSTAW.

O tem inną razą —
Słuchaj, jakie mię na świat zamiary przywiodły!
Kiedy wchodząc do ciebie stanąłem u progu,
Pamiętam, że z dziatkami odprawiałeś modły,
Któreś za dusze zmarłe ofiarował Bogu,

KSIĄDZ, chwyta krucyfix.

Prawda, zaraz dokończym.

(Ciągnie dzieci do siebie.)

GUSTAW.

No, przyznaj się szczerze,
Czy wierzysz w piekło, w czyściec? —

KSIĄDZ.

Ja we wszystko wierzę,
Cokolwiek w piśmie świętem Chrystus nam ogłasza,
I w co zaleca wierzyć kościół, matka nasza.

GUSTAW.

I w co twoje pobożne wierzyły pradziady? —
Ach! najpiękniejsze święto, bo święto pamiątek,
Za cóż zniosłeś dotychczas obchodzone Dziady?

KSIĄDZ.

Ta uroczystość ciągnie z pogaństwa początek.
Kościoł mi roskazuje i nadaje władzę,
Oświecać lud, wytępiać reszty zabobonu.

GUSTAW, pokazując na ziemię.

Jednak proszą przezemnie i ja szczerze radzę:
Przywróć nam Dziady. Tam, u Wszechmocnego tronu,
Kędy nasz żywot ścisłe odważają szale,
Tam, większym jest ciężarem łza jednego sługi,
Którą szczerze wyleje nad tobą u zgonu —
Niż kłamliwe po drukach rozgłaszane żale,
Płatny orszak i kirem powleczone cugi
Jeśli, żałując śmierci dobrego dziedzica,
Lud zakupioną świecę stawia mu na grobie:
W cieniach wieczności jaśniej błyszczy się ta świeca,
Niż tysiąc lamp w niechętnej palonych żałobie.
Jeśli przyniesie miodu plastr i skromne mleko,
I garścią mąki grobowiec posypie:
Lepiej posili duszę, o! lepiej daleko,
Niż krewni modnym balem, wydanym na stypie.

KSIĄDZ.

Ani słowa. Lecz Dziady, te północne schadzki
Po cerkwiach, pustkach, lub ciemnych pieczarach,
Pełen guślarstwa obrzęd świętokradzki,
Pospólstwo nasze w grubej utwierdza ciemnocie;
Stąd dziwaczne powieści, zabobonów krocie,
O nocnych duchach, upiorach i czarach.

GUSTAW.

Więc żadnych nie ma duchów? (z ironją) Świat ten jest bez duszy?
Żyje: lecz żyje tylko jak kościotrup nagi,
Który lekarz tajemną sprężyną rozruszy?
Albo jest to coś nakształt wielkiego zegaru,
Który obiega popędem ciężaru?

(Z uśmiechem.)

Tylko nie wiecie, kto zawiesił wagi? —
O kołach, o sprężynach rozum was naucza:
Lecz nie widzicie ręki i klucza.
Gdyby z twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,
Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie,
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu!

(Do dzieci, które wchodzą.)

Dzieci, chodźcie pod kantorek.

(Do kantorka.)

Czego potrzebujesz duchu?

GŁOS Z KANTORKA.

Proszę o troje paciorek.

KSIĄDZ, przerażony.

W imię Ojca — niech biega — Altarystę zbudzi,
Słowo stało się ciałem! — zawołajcie ludzi! —

GUSTAW.

Wstydź się, wstydź się mój ojcze! Gdzie rozum? gdzie wiara?
Krzyż jest mocniejszy, niśli wszyscy ludzie twoi,
A kto się Boga boi, ten się nic nie boi.

KSIĄDZ.

Mów, czego potrzebujesz — ach, to upiór! mara!

GUSTAW.

Ja! nic nie potrzebuje — jest potrzebnych tylu! —

(Łowi koło świecy motyla.)

A tuś mi panie motylu!

(Do księdza pokazując motyla.)

Ten migający w koło oćmy rój skrzydlaty
Za życia gasił każdy promyczek oświaty:
Za to po strasznym sądzie ciemność ich zagarnie. —
Tymczasem, z potępioną błąkając się duszą,
Chociaż nie lubią światła, w światło lecieć muszą:
To są dla ciemnych duchów najsroższe męczarnie!

Patrzaj, ów motyl strojny barwionemi szaty,
Był jakiś królik, albo pan bogaty,
I wielkim skrzydeł roztworem
Zaciemniał miasta, powiaty.
Ten drugi mniejszy, czarny i pękaty,
Był książek głupim cenzorem,
I przelatując sztuk nadobne kwiaty:
Oczerniał każdą piękność, którą tylko zoczył,
Każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem,
Albo przebijał do ziemi środka,
I nauk ziarna z samego zarodka
Gadziny zębem roztoczył.
Ci znowu, w licznym snujący się gwarze,
Są dumnych pochlebnisie, czernideł pisarze:
Na jakie pan ich gniewał się zagony —
Tam przeklęta chmura leci,
I czy ledwie wschodząca, czy dojrzałe plony,
Jako szarańcza wybija. —
Za tych wszystkich, moje dzieci,
Nie warto zmówić i Zdrowaś Marya. —
Są inne, słuszniej godne litości istoty,
A między niemi twoi przyjaciele, ucznie,
Których ty wyobraźnią w górne pchnąłeś loty,
Których wrodzony ogień podniecałeś sztucznie. —
Jaką żyjąc pokutę mieli za swe winy,
Oznajmiłem, wieczności przestąpiwszy progi:
Życie moje ścisnąłem w krótkie trzy godziny,
I znowu wycierpiałem dla twojej przestrogi. —
Im więc nieś ulgę prośbą i mszalną ofiarą!
Dla mnie, oprócz wspomnienia, nic więcej nie proszę.
Za grzech mój życie było dostateczną karą:
A dziś, nie wiem, nagrodę czy pokutę znoszę,
Bo kto na ziemi rajskie doznawał pieszczoty,
Kto znalazł drugą swojej połowę istoty,
Kto, nad świeckiego życia wylatując krańce,
Duszą i sercem gubi się w kochance,
Jej tylko myślą myśli, jej oddycha tchnieniem:
Ten i po śmierci również własną bytność traci,

I przyczepiony do lubej postaci,
Jej tylko staje się cieniem.
Jeśli, żyjąc, świętemu był uległy panu,
Niebieską z nim chwałę dzieli;
Albo, ze złym do wiecznej strącony topieli,
Jest bolesnego wspólnikiem stanu.
Na szczęście, Bóg mię zrobił poddanym anioła:
Dla niej i dla mnie przyszłość śmieje się wesoła. —
Tymczasem, jak cień błądząc przy kochanych wdziękach,
Bywam albo w niebiosach, albo w piekła mękach.
Gdy ona wspomni, westchnie i łeskę wyleje:
Zbliżam się do usteczek, biały włos rozwieje,
Zmięszam się z odetchnieniem i przeniknę siebie,
I jestem w niebie!
Lecz kiedy — o, czujecie, wy coście kochali,
Jakim zawiść ogniem pali! —
Długo jeszcze po świecie błąkać się potrzeba,
Aż ją Bóg w swoje objęcie powoła;
Natenczas, śladem lubego anioła,
Cień mój błędny wkradnie się do nieba.

(Zegar zaczyna bić. Śpiewa.)

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego roskazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

(Zegar kończy bić, kur pieje, lampa przed obrazem gaśnie, Gustaw znika.)

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego roskazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

(Do str. 80.)

Pan Jan Prusinowski z Żytomierza ogłosił w N°. 42 Gazety Codziennej roku 1860, pierwotny z autografu Mickiewicza wypisany, warjant tego ustępu, któren brzmi:

GUSTAW.

O nie, księże, ty tego nie czujesz obrazu!
Ty cukrowych ust lubej nie tknąłeś ni razu,
Dla ciebie trzeba innego wywodu:
Słuchaj. — Czy byłeś pobożnym za młodu?
Czy ty na skrzydłach modłów latałeś do nieba?

KSIĄDZ.

Modlitwa zawsze jedne ma dla mnie powaby,
Prawda: jednakże pomału.
Wiek tępi ostrze zbytniego zapału.

GUSTAW.

Pamiętasz — kiedy miałeś dziewięć, dziesięć latek,
I po raz pierwszy, w uniesieniu ducha
Nabożnie kląkłeś u kratek?
Kolana zgięła ci skrucha,
Usteczka do stulonych przycisnąłeś dłoni,
Łze pokuty oko roni!
A w tem się na ołtarzu rozdarły obłonki,
Błysnął kielich, dzwonią dzwonki,
I kapłan na twych ustach złożył Pańskie Ciało! —

KSIĄDZ.

Ach wówczas! wówczas mi się zdało
Że dusza moja ze mną się rozstanie!

GUSTAW.

A co! pamiętasz kapłanie? —

O luba! zginąłem w niebie
Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie.

DZIADY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

A strzeżcie się ludzi, albowiem was będą wydawać do siedzącej rady, i w bożnicach swoich was biczować będą.
I do Starostów i do Królów będziecie wodzeni na świadectwo im i poganom.
I będziecie w nienawiści u wszystkich dla imienia mego. Ale kto wytrwa aż do końca, ten będzie zbawion.

Mat., X, 17, 18, 22.

Warjanty tej części wypisane z autografu, darowanego przez autora ś. p. Klaudji Potockiej, a przechowanego w zbiorze Jana hr. Działyńskiego. P. W.

PRZEDMOWA.

UMIESZCZONA NA CZELE WYDANIA PIERWSZEGO TEGO POEMATU, W ROKU 1833.

Polska od pół-wieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego i niezbłaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporczywej wytrwałości, jakich nie było przykładu od czasu prześladowania chrześciaństwa. Zdaje się, że królowie mają przeczucie Herodowe o zjawieniu się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychwstanie.

Dzieje męczeńskiej Polski obejmują wiele pokoleń i niezliczone mnóstwo ofiar; krwawe sceny toczą się po wszystkich stronach ziemi naszej i po obcych krajach. Poema, które dziś ogłaszamy, zawiera kilka drobnych rysów tego ogromnego obrazu, kilka wypadków z czasu prześladowania, podniesionego przez Imperatora Aleksandra.

Około roku 1822 polityka Imperatora Aleksandra przeciwna wszelkiej wolności, zaczęła się wyjaśniać, gruntować i pewny brać kierunek. W ten czas podniesiono na cały ród polski prześladowanie powszechne, które coraz stawało się gwałtowniejsze i krwawsze. Wystąpił na scenę pamiętny w naszych dziejach Nowosilcow. On pierwszy instynktową i zwierzęcą nienawiść rządu rossyjskiego ku Polakom wyrozumował jako zbawienną i polityczną, wziął ja za podstawę swych działań, a za cel położył zniszczenie polskiej narodowości. W ten czas całą przestrzeń ziemi od Prosny aż do

do Dniepru i od Galicji do Baltyckiego morza zamknięto i urządzono jako ogromne więzienie. Całą administrację nakręcono jako jednę wielką Polaków torturę, której koło obracali carewicz Konstanty i senator Nowosilcow. Systematyczny Nowosilcow wziął naprzód na męki dzieci i młodzież, aby nadzieje przyszłych pokoleń w zarodzie samym wytępić. Założył główną kwaterę katowstwa w Wilnie, w stolicy naukowej prowincji litewsko-ruskich. Były wówczas między młodzieżą uniwersytetu różne towarzystwa literackie, mające na celu utrzymanie języka i narodowości polskiej, Kongresem Wiedeńskim i przywilejami Imperatora zostawione Polakom. Towarzystwa te, widząc wzmagające się podejrzenia rządu, rozwiązały się wprzód jeszcze, nim ukaz zabronił ich bytu. Ale Nowosilcow, chociaż w rok po rozwiązaniu się towarzystw przybył do Wilna, udał przed Imperatorem, że je znalazł działające; ich literackie zatrudnienia wystawił jako wyraźny bunt przeciwko rządowi, uwięził kilkuset młodzieży i ustanowił pod swoim wpływem trybunały wojenne na sądzenie studentów. W tajemnej procedurze rossyjskiej oskarżeni nie mają sposobu bronienia się: bo często nie wiedzą o co ich powołano; bo zeznania nawet komissja według woli swojej jedne przyjmuje i w raporcie umieszcza, drugie uchyla. Nowosilcow, z władzą nieograniczoną od carewicza Konstantego zesłany, był oskarżycielem, sędzią i katem. Skasował kilka szkół w Litwie, z nakazem, aby młodzież do nich uczęszczającą uważano za cywilnie umarłą, aby jej do żadnych posług obywatelskich, na żadne urzędy nie przyjmowano, i aby jej nie dozwolono ani w publicznych, ani w prywatnych zakładach kończyć nauk. Taki ukaz, zabraniający uczyć się, nie ma przykładu w dziejach i jest oryginalnym, rossyjskim wymysłem. Obok zamknienia szkół, skazano kilkudziesięciu studentów do min sybirskich, do taczek, do garnizonów azjatyckich: w liczbie ich byli małoletni, należący do znakomitych rodzin litewskich. Dwudziestu kilku, już nauczycieli, już uczniów uniwersytetu, wysłano na wieczne wygnanie w głąb' Rossji, jako podejrzanych o polską narodowość. Z tylu wygnańców, jednemu tylko dotąd udało się wydobyć z Rossji.

Wszyscy pisarze, którzy uczynili wzmiankę o prześladowaniu ówczesnem Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży; religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów; kara boża sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami, zdarzeń; a opisane, zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.

Kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, nic nie dodając i nigdzie nie przesadzając. I pocóż by miał dodawać albo przesadzać? Czy dla ożywienia w sercu rodaków nienawiści ku wrogom? czy dla obudzenia litości w Europie? — Czemże są wszystkie ówczesne okrucieństwa, w porównaniu tego, co naród polski teraz cierpi i na co Europa teraz obojętnie patrzy! Autor chciał tylko zachować narodowi wierną pamiątkę z historji litewskiej lat kilkunastu: nie potrzebował ohydzać rodakom wrogów, których znają od wieków; a do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską, jak niedołężne niewiasty Jeruzalemskie nad Chrystusem, naród nasz przemawiać tylko będzie słowami Zbawiciela: «Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale nad samemi sobą.» —

ŚWIĘTEJ. PAMIĘCI.

JANOWI. SOBOLEWSKIEMU.

CYPRJANOWI. DASZKIEWICZOWI.

FELIKSOWI. KÓŁAKOWSKIEMU.

SPÓŁUCZNIOM. SPÓŁWIĘZNIOM. SPÓŁWYGNAŃCOM.

ZA. MIŁOŚĆ. KU. OJCZYNIE, PRZEŚLADOWANYM.

Z. TĘSKNOTY. KU. OJCZYŹNIE. ZMARŁYM.

W. ARCHANGELU. W. MOSKWIE. W. PETERSBURGU.

NARODOWEJ. SPRAWY

MĘCZENNIKOM.

POŚWIĘCA.

AUTOR.

PROLOG.

Litwa. W Wilnie, przy ulicy Ostrobramskiej, w klasztore XX. Bazyljanów przerobionym na więzienie stanu. Cela więźnia.

(Więzień wsparty na oknie, śni.)

ANIOŁ STRÓŻ.

Niedobre, nieczułe dziecię!
Ziemskie matki twej zasługi,
Prośby jej na tamtym świecie
Strzegły długo wiek twój młody,
Od pokusy i przygody:
Jako róża, anioł sadów,
We dnie kwitnie, w noc, jej wonie
Bronią senne dziecka skronie
Od zarazy i owadów.

Nie raz ja, na prośbę matki
I za pozwoleniem bożem,
Zstępowałem do twej chatki,
Cichy, w cichej nocy cieniu;
Zstępowałem na promieniu
I stawałem nad twem łożem.

Gdy cię noc ukołysała,
Ja nad marzeniem namiętnem
Stałem; jak lilia biała,
Schylona nad źródłem mętnem.
Nie raz dusza mi twa zbrzydła:
Alem w złych myśli nacisku
Szukał dobrej, jak w mrowisku
Szukają ziarnek kadzidła.

Ledwie dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę,
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,
I śpiewałem jej piosenkę,
Którą rzadko ziemskie dzieci
Słyszą, rzadko i w uśpieniu,
A zapomną w odecknieniu.
Jam ci przyszłe szczęście głosił,
Na mych rękach w niebo nosił:
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jako pjanych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,
Przybierałem wtenczas postać
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać:
Tyś przyjmował chłostę Boga,
Jak dziki męczarnie wroga;
I dusza twa w niepokoju,
Ale z dumą się budziła:
Jakby w niepamięci zdroju
Przez noc całą męty piła;
I pamiątki wyższych światów
W głąb ciągnąłeś: jak kaskada,
Gdy w podziemną przepaść wpada,
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,
Oblicze tuląc w me dłonie;
Chciałem, i długo nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie:
Bym nie spotkał twojej matki —
Spyta się, jaka nowina
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki,
Jaki sen był mego syna? —

WIĘZIEŃ.

(Budzi się strudzony i patrzy w okno. Ranek.)

Nocy cicha! Gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,
Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta?
Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży:
Ale dla czego zaszło, nikt nie odpowiada;
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,
Lecz dla czego śpią ludzie, żaden z nich nie bada —
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali.
Nie dziwi słońca dziwna lecz codzienna głowa,
Zmienia się blask i ciemność jako straż pułkowa:
Ale gdzież są wodzowie, co jej roskazali? —

A sen? — Ach, ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,
Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi?
Któż jedno miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy!
Trwoży się człowiek śpiący, śmieje się gdy zbudzi:
Mędrcy mówią, że sen jest tylko przypomnienie —
Mędrcy przeklęci!
Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?
Chyba mi wmówią, że moje więzienie
Jest tylko wspomnienie! —

Mówią, że senne czucie roskoszy i kaźni
Jest tylko grą wyobraźni:
Głupi, zaledwie z wieści wyobraźnią znają,
I nam wieszczom o niej bają?
Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie,
I wiem, że leży za jej granicą — marzenie.
Prędzej dzień będzie nocą, roskosz będzie kaźnią,
Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.

(Kladzie się i wstaje znowu; idzie do okna.)

Nie mogę spocząć: te sny to straszą, to łudzą;
Jak te sny mię trudzą!

(Drzemie.)

DUCHY NOCNE.

Puch czarny, puch miękki pod głowę podłóżmy;
Śpiewajmy, a cicho: nie trwóżmy, nie trwóżmy.

DUCH Z LEWEJ STRONY.

Noc smutna w więzieniu: tam, w mieście, wesele,
U stołów tam muzyki huczą,
Przy pełnych kielichach śpiewają minstrele,
Tam nocą komety się włóczą,
Komety z oczkami i z jasnym warkoczem —
(Więzień usypia.)
Kto po nich kieruje łódź w biegu,
Ten zaśnie na fali w marzeniu uroczem;
Na naszym przebudzi się brzegu.

ANIOŁ.

My uprosiliśmy Boga,
By cię oddał w ręce wroga.
Samotność, mędrców mistrzyni:
I ty, w samotnem więzieniu,
Jako prorok na pustyni,
Dumaj o twem przeznaczeniu.

CHÓR DUCHÓW NOCNYCH.

W dzień Bóg nam dokucza: lecz w nocy wesele,
W noc późną próżniaki się tuczą!
I w nocy swobodnej śpiewają minstrele,
Szatany piosenek ich uczą.
Kto ranną myśl świętą przyniesie z kościoła,
Kto rozmów poczciwych smak czuje:
Noc-pjawka wyciągnie pobożną myśl z czoła,
Noc-wąż w ustach smaki zatruje.
Śpiewajmy nad sennym, my nocy synowie,
Usłużmy, aż będzie nam sługą;
Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie,
Nasz będzie — ach, gdyby spał długo!

ANIOŁ.

Modlono się za tobą na ziemi i w niebie;
Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

WIĘZIEŃ, budzi się i myśli.

Ty, co bliźnich katujesz, więzisz i wyrzynasz,
I uśmiechasz się we dnie i w wieczór ucztujesz:

Czy ty zrana choć jeden sen twój przypominasz?
A jeśliś go przypomniał, czy ty go pojmujesz?
(Drzemie.)

ANIOŁ.

Ty będziesz znowu wolny: my oznajmić przyszli.

WIĘZIEŃ, budzi się.

Będę wolny? — Pamiętam, ktoś mi wczoraj prawił —
Nie — Skądże to? Czy we śnie, czy Bóg mi objawił?
(Zasypia.)

ANIOŁOWIE.

Pilnujmy tylko, ach pilnujmy myśli:
Między myślami bitwa już stoczona:

DUCH Z LEWEJ STRONY.

Podwójmy napaść!

DUCH Z PRAWEJ.

My podwójmy straże!
Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona:
Jutro się w mowach i w dziełach pokaże;
I jedna chwila tej bitwy wyrzeka
Na całe życie o losach człowieka.

WIĘZIEŃ.

Mam być wolny! — Tak! nie wiem, skąd przyszła nowina:
Lecz ja znam, co być wolnym z łaski Moskwicina.
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,
Ale wtłoczą na duszę: ja będę wygnany!
Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół tłumie,
Ja śpiewak: i nikt mojej pieśni nie zrozumie
Nic, oprócz niekształtnego i marnego dźwięku —
Łotry, tej jednej broni z rąk mi nie wydarły:
Ale mi ją zepsuto, przełamano w ręku;
Żywy — zostanę dla mej ojczyzny umarły,
I myśl legnie zamknięta w duszy mojej cieniu,
Jako dyament w brudnym zawarty kamieniu.
(Wstaje i pisze węglem z jednej strony.)

D. O. M.

GUSTAVUS
OBIIT M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.

(Z drugiej strony.)

HIC NATUS EST
CONRADUS.
M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.

(Wspiera się na oknie; usypia.)

DUCH.

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
I tworzy deszcz rodzajny, lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że ledwie jednę myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebie zaświecisz;
A ty, jak obłok górny, ale błędny pałasz,
I sam nie wiesz gdzie lecisz, sam nie wiesz co działasz —
Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony!

AKT I.

SCENA I.

Korytarz. Straż z karabinami opodal. Kilku więźniów młodych ze świecami wychodzą z cel swoich. Północ.

JAKÓB.

Czy można? obaczym się?

ADOLF.

Straż gorzałkę pije;

Kapral nasz —

JAKÓB.

Która biła?

ADOLF.

Północ niedaleko.

JAKÓB.

Ale jak nas ront złowi, kaprala zasieką.

ADOLF.

Tylko zgaś świecę! Widzisz, ogień w okna bije —

(Gaszą świecę.)

Ront, dzieciń若stwo! Ront musi do wrót długo pukać,
Dać hasło i odebrać, musi kluczów szukać;
Potem, długi kurytarz — Nim nas ront zacapi,
Rozbieżym się, drzwi zamkną, każdy padł i chrapi.

(Inni więźnie wywołani z celi wychodzą.)

ŻEGOTA.

Dobry wieczór.

KONRAD.

I ty tu!

KS. LWOWICZ.

I wy tu?

SOBOLEWSKI.

I ja tu.

FREJEND.

A wiecie co, Żegoto, idziem do twej celi!
Świeży więzień dziś wstąpił do nowicjatu,
I ma komin: tam dobry ogień będziem mieli;
A przytem nowość: dobrze widzieć nowe ściany.

SOBOLEWSKI.

Żegoto! — A jak się masz? — I ty tu kochany!

ŻEGOTA.

U mnie cela trzy kroki; was taka gromada —

FREJEND.

Wiecie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada.
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;
Nie słychać stamtąd, choć kto śpiewa albo woła.
Myślę dziś głośno i chcę śpiewać wiele;
W mieście pomyślą, że to śpiewają w kościele:
Jutro jest Narodzenie Boże. — Eh, koledzy,
Mam i kilka butelek —

JAKÓB.

Bez kaprala wiedzy?

FREJEND.

Kapral poczciwy, i sam z butelek skorzysta.
Przytem jest Polak, dawny nasz legionista,
Którego Car przerobił gwałtem na Moskala.
Kapral dobry katolik, i więźniom pozwala
Przepędzić wieczor świętej Wigilii razem.

JAKÓB.

Gdyby się dowiedzieli, nie uszłoby płazem.

(Wchodzą do celi Konrada, nakładają ogień w kominie i zapalaj świecę. — Cela Konrada jak w prologu.)

KS. LWOWICZ.

I skądże się tu wziąłeś, Żegoto kochany,
Kiedy?

ŻEGOTA.

Dziś mię porwali, z domu, ze stodoły —

KS. LWOWICZ.

I ty byłeś gospodarz?

ŻEGOTA.

Jaki zawołany.
Żebyś ty widział moje merynosy, woły!
Ja, co pierwej nie znałem co owies, co słoma,[1]
Mam sławę najlepszego w Litwie ekonoma,

JAKÓB.

Wzięto cię niespodzianie?

ŻEGOTA.

Od dawna słyszałem
O jakiemś w Wilnie śledztwie; dom mój blisko drogi;
Widać było kibitki latające cwałem,
I co noc nas przerażał poczty dźwięk złowrogi.
Nieraz, gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli,
I ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem.
Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,
Myśląc, że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.
Lecz nie wiedziałem, kogo szukają i za co,
Nie należałem dotąd do żadnego spisku;
Sądzę, że rząd to śledztwo wynalazł dla zysku,
Że się więźniowie nasi porządnie opłacą,
I powrócą do domu. —

TOMASZ.

Taką masz nadzieję?

ŻEGOTA.

Jużci przecież bez winy w Sybir nas nie wyślą:
A jakąż winę naszą znajdą lub wymyślą?
Milczycie — wytłumaczcież, co się tutaj dzieje,
O co nas oskarżono, jaki powód sprawy?

TOMASZ.

Powód — że Nowosilcow przybył tu z Warszawy.
Znasz zapewne charakter Pana Senatora —

[1] Ja, co pierwej nie znałem, co owies, co słoma:
Jak znałem się na wszystkiem, jakem umiał zrzędzić!

JAKÓB.

Słyszałem, że przyjąłeś z Niemiec ekonoma.

ŻEGOTA, śmiejąc się.

Prawda. Właśnie go miałem obić i wypędzić:
Popsuł mi całe żniwo — Oj, to łotr wierutny! —
I nie dali mi czasu — i dla tegom smutny.

Wiesz, że już był w niełasce u Imperatora,
Że zysk dawniejszych łupiestw przepił i roztrwonił,
Stracił u kupców kredyt i ostatkiem gonił:
Bo pomimo największych starań i zabiegów,
Nie może w Polsce spisku żadnego wyśledzić:
Więc postanowił świeży kraj, Litwę nawiedzić,
I tu przeniósł się z całym głównym sztabem szpiegów.
Żeby zaś mógł bezkarnie po Litwie plądrować,
I na nowo się w łaskę samodzierżcy wkręcić,
Musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować
I nowych wiele ofiar Carowi poświęcić.

ŻEGOTA.

Lecz my się uniewinnim —

TOMASZ.

Bronić się daremnie:
I śledztwo i sąd cały toczy się tajemnie,
Nikomu nie powiedzą, za co oskarżony,
Ten co nas skarży, naszej ma słuchać obrony;
On gwałtem chce nas karać: nie unikniem kary —
Został nam jeszcze środek smutny — lecz jedyny:
Kilku z nas poświęcimy wrogom na ofiary,
I ci na siebie muszą przyjąć wszystkich winy.
Ja stałem na waszego towarzystwa czele,
Mam obowiązek cierpieć za was przyjaciele;
Dodajcie mi wybranych jeszcze kilku braci,
Z takich, co to sieroty, starsi, nie żonaci,
Których zguba nie wiele serc w Litwie zakrwawi,
A młodszych, potrzebniejszych z rąk wroga wybawi.

ŻEGOTA.

Więc aż do tego przyszło?

JAKÓB.

Patrz, jak się zasmucił.
Nie wiedział, że dom może na zawsze porzucił.

FREJEND.

Nasz Jacek musiał żonę zostawić w połogu,
A nie płacze —

FELIKS KOŁAKOWSKI.

Ma płakać? Owszem chwała Bogu!
Jeśli powije syna, przyszłość mu wywieszczę.
Daj mi rękę; jestem trochę chiromanta,
Wywróżę tobie przyszłość twojego infanta.

(Patrząc na rękę.)

Jeśli będzie poczciwy, pod moskiewskim rządem,
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem;
A kto wie, może wszystkich nas znajdzie tu jeszcze —
Lubię synów, to nasi przyszli towarzysze.

ŻEGOTA.

Wy tu długo siedzicie?

FREJEND.

Skądże datę wiedzieć?
Kalendarza nie mamy, nikt listów nie pisze;
To gorsza; że nie wiemy, póki mamy siedzieć.

SUZIN.

Ja mam u okna parę drewnianych firanek,
I nie wiem nawet, kiedy mrok a kiedy ranek.

FREJEND.

Ale pytaj Tomasza, patryarchę biedy;
Największy szczupak, on też pierwszy wpadł do matni,
On nas tu wszystkich przyjął i wyjdzie ostatni,
Wie o wszystkich, kto przybył, skąd przybył i kiedy.

SUZIN.

To Pan Tomasz! ja poznać nie mogłem Tomasza.
Daj mi rękę. Znałeś mię krótko i nie wiele.
Wtenczas tak była droga wszystkiem przyjaźń wasza,
Otaczali was liczni blizsi przyjaciele:
Nie dojrzałeś mię w tłumie; lecz ja ciebie znałem,
Wiem coś zrobił, coś cierpiał, żebyś nas ocalił,
Odtąd będę się z twojej znajomości chwalił,
I w dzień zgonu przypomnę: z Tomaszem płakałem —

FREJEND.

Ale, dla Boga, po co te łzy, płacze zgroza!
Patrz: Tomasz, gdy był wolny, miał na swojem czole
Wypisane wielkiemi literami «koza»:
Dziś w więzieniu jak w domu, jak w soim żywiole.

On był na świecie, jako grzyby kryptogamy:
Więdniał i schnął od słońca — wsadzony do lochu,
Kiedy my, słoneczniki, bledniejem, zdychamy,
On rozwija się, kwitnie i tyje po trochu —
Ale też, wziął Pan Tomasz kuracyę modną,
Sławną teraz na świecie kuracyę głodną.[1]

ŻEGOTA, do Tomasza.

Głodem ciebie morzono?

FREJEND.

Dodawano strawy;
Ale gdybyś ją widział! Widok to ciekawy:
Dość było taką strawą w pokoju zakadzić,
Ażeby myszy wytruć i świerszcze wygładzić.

ŻEGOTA.

I jakże ty jeść mogłeś!

TOMASZ, spokojnie.

Tydzień nic nie jadłem;
Potem jeść próbowałem, potem z sił opadłem;
Potem, jak po truciznie, czułem bole, kłucia,
Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.
Nie wiem ile i jakiem choroby przebywał,
Bo nie było doktora, coby je nazywał.
Wreszcie jam wstał, jadł znowu i do sił przychodził,
I zdaje mi się żem się do tej strawy zrodził.[2]

FREJEND, z wymuszoną wesołością.

Wierzcie mi, tam za kozą same urojenia;
Kto tu był, sekret kuchni i mieszkań przeniknął:

[1] Jeżeli wskrzesim Polskę, to nasz Wielki Żupnik:
Bo nikt tyle nie wypił i tak czystej zupy:
Przez pół roku kapuśniak, przez pół roku krupnik,
W których nie było widać listka ani krupy;
Wspomniałbyś Eneidy księgę jedenastą:
A p p a r e n t r a r y n a n t e s i n g u r g i t e v a s t o —
Dość było taką zupą w pokoju zakadzić,
Aby myszy wystraszyć i świerszcze wygładzić.

[2] Teraz mnie na stół lepszy wskazał sąd łaskawy,
Bo nie mogę wziąść w usta chleba ani strawy:
Wiedzą o tem, i teraz nie dają krupniku.

ŻEGOTA, wzruszony.

Bóg ciebie nam zachował, ty nasz męczenniku!

Jeść, mieszkać, źle czy dobrze, skutek przywyknienia.
Pytał raz Litwin, nie wiem, djabła czy Pińczuka:
Dla czego siedzisz w błocie? — siedzę, bom przywykną

JAKÓB.

Ależ przywyknąć bracie!

FREJEND.

Na tem cała sztuka.

JAKÓB.

Ja tu siedzę podobno od ośmiu miesięcy,
A tak tęsknię jak pierwej, nie mniej —

FREJEND.

I nie więcej?
Pan Tomasz tak przywyknął, że mu powiew zdrowy
Zaraz piersi obciąża, robi zawrót głowy.
On odwyknął oddychać, nie wychodzi z celi.
Jeśli go stąd wypędzą, koza się opłaci:
Bo on potem ni grosza na wino nie straci,
Tylko łyknie powietrza, i wnet się podchmieli.

TOMASZ.

Wolałbym być pod ziemią, w głodzie i chorobie
Znosić kije i gorsze niśli kije — śledztwo:
Niż tu w lepszem więzieniu mieć was za sąsiedztwo —
Łotry! — wszystkich nas w jednym chcą zakopać grobie

FREJEND.

Jakto? więc płaczesz po nas? masz kogo żałować!
Czy nie mnie, pytam? Jaka korzyść z mego życia!
Jeszcze w wojnie — mam jakiś talencik do bicia,
I mógłbym kilku Dońcom grzbiety naszpikować:
Ale w pokoju! — Cóż stąd, że lat sto przeżyję,
I będę klął Moskalów, i umrę i zgniję? —
Na wolności wiek cały byłbym mizerakiem,
Jak proch, albo jak wino miernego gatunku:
Dziś, gdy wino zatknięto, proch przybito kłakiem,
W kozie mam całą wartość butli i ładunku.
Wytchnąłbym się jak wino, z otwartej konewki;
Spaliłbym jak proch lekko, z otwartej panewki;
Lecz jeśli mię w łańcuchach stąd na Sybir wyślą,
Obaczą mię Litwini bracia, i pomyślą:

Wszakci to krew szlachecka, to młódź nasza ginie,
Poczekaj zbójco Carze, czekaj Moskwicinie!
Taki jak ja, Tomaszu dałby się powiesić,
Żebyś ty jednę chwilę żył na świecie dłużej.
Taki jak ja, ojczyźnie tylko śmiercią służy:
Umarłbym dziesięć razy, byle cię raz wskrzesić,
Ciebie, lub ponurego poetę Konrada,
Który nam o przyszłości, jak cygan powiada —

(Do Konrada.)

Wierzę, bo Tomasz mówił, żeś ty śpiewak wielki;
Kocham cię, boś podobny także do butelki;
Rozlewasz pieśń uczuciem, zapałem oddychasz,
Pijem, czujem, a ciebie ubywa — usychasz.

(Bierze za rękę Konrada i łzy sobie ociera. Do Tomasza i Konrada.)

Wy wiecie, że was kocham: ale można kochać,
Nie płakać. Otóż bracia, osuszcie łzy wasze;
Bo jak się raz rozczulę i jak zacznę szlochać,
I herbaty nie zrobię i ogień zagaszę:

(Robi herbatę. Chwila milczenia.)

KS. LWOWICZ.

Prawda, źle przyjmujemy nowego przybysza:

(Pokazując Żegotę.)

W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin —
Czy nie dosyć w dzień milczym! he? Jak długa cisza.

JAKÓB.

Czy nie ma nowin z miasta?

WSZYSCY.

Nowin?

KS. LOWICZ.

Żadnych nowin?

ADOLF.

Jan dziś chodził na śledztwo, był godzinę w mieście;
Ale milczy i smutny i jak widać z miny,
Nie ma ochoty gadać.

KILKU Z WIĘŹNIÓW.

No Janie! nowiny?

JAN SOBOLEWSKI, **ponuro.**

Niedobre. Dziś — na Sybir — kibitek dwadzieście
Wywieźli —

ŻEGOTA.

Kogo? — naszych?

JAN.

Studentów ze Żmudzi.

WSZYSCY.

Na Sybir?

JAN.

I paradnie! — było mnóstwo ludzi.

KILKU.

Wywieźli!

JAN.

Sam widziałem.

JACEK.

Widziałeś! — I mego
Brata wywieźli? — wszystkich?

JAN.

Wszystkich do jednego:
Sam widziałem. — Wracając, prosiłem kaprala,
Zatrzymać się; pozwolił chwilkę. Stałem zdala,
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była, ludu zebrało się wiele:
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,
I kościoł tak był pusty, że w głębi widziałem
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębnami, stało we dwa rzędy;
W pośrodku nich kibitki. — Patrzę, z placu sadzi
Policmejster na koniu; z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi:
Tryumf Cara północy, zwycięscy nad dziatwą:
Wkrótce znak dano bębnem i ratusz otwarty.
Widziałem ich, za każdym z bagnetem szły warty:
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami, na nogach okuci.
Biedne chłopcy! Najmłodszy, dziesięć lat, nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może

I pokazywał nogę skrwawioną i nagą;
Policmejster przejeżdża, pyta, czego żądał;
Policmejster człek ludzki, więc łańcuch oglądał:
«Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą» —
Wywiedli Janczewskiego — poznałem: oszpetniał,
Sczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał;
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów cesarz — okiem dumnem, suchem i pogodnem,
To zdawał się pocieszać spólników niewoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim lecz łagodnym,
Jak gdyby im chciał mówić: nie bardzo mię boli.
Wtem, zdało mi się że mnie napotkał oczyma,
I, nie widząc, że kapral za suknię mię trzyma,
Myślił, żem uwolniony: dłoń swą ucałował,
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował;
I wszystkich oczy zwróciły się ku mnie,
A kapral ciagnął gwałtem, ażebym się schował.
Nie chciałem, tylkom stanął bliżej przy kolumnie.
Uważałem na więźnia postawę i ruchy: —
On postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy,
Wstrząsnął więc łańcuch, na znak, że mu niezbyt cięży,
A wtem zacięto konia: kibitka runęła;
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: «Jeszcze Polska nie zginęła!» —
Wpadli w tłum — ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna zdala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza,
I wystaje z czarnego tylu głów natłoku,
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszcza:
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku,
I zostaną w mej myśli, i w drodze żywota
Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota;
Jeśli zapomnę o nich, ty Boże na niebie
Zapomnij o mnie! —

KS. LWOWICZ.

Amen za was.

KAŻDY Z WIĘŹNIÓW.

I za siebie.

JAN SOBOLEWSKI.

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim
Kibitki; ich wsadzano jednego po drugim.
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,
Po wojsku: wszystkie twarze pobladły jak trupie;
A w takim tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łaćcucha.
Dziwna rzecz! wszyscy czuli, jak nieludzka kara:
Lud, wojsko czuje, milczy — tak boją się Cara.
Wywiedli ostatniego: zdało się, że wzbraniał,
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się słaniał,
Zwolna schodził ze schodów, i ledwie na drugi
Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi.
To Wasilewski; siedział tu w naszem sąsiedztwie:
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,
Niósł w kibitkę na ręku, ale ręką drugą
Tajemnie łzy ocierał: niósł powoli, długo.
Wasilewski nie zemdlał, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale jak padł na ziemię prosto, tak otężał;
Niesiony, jak słup sterczał, i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;
Oczy straszne, zbielałe, szeroko rozwarte.
I lud oczy i usta otworzył; i razem
Jedno westchnienie, z piersi tysiąca wydarte
Głębokie i podziemne jęknęło do koła,
Jak gdyby jękły wszystkie groby z pod kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębnem i roskazem:
Do broni, marsz! Ruszono; a środkiem ulicy
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.
Jedna pusta: był więzień, ale niewidomy;
Rękę tylko do ludu wyciągnął z pod słomy,

Siną, rozwartą, trupią:tą zasł nią jakby żegnał!
Kibitka w tłum wjechała. Nim bicz tłumy przegnał,
Stanęli przed kościołem: i właśnie w tej chwili,
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.
Spojrzałem w kościoł pusty, i rękę kapłańską
Widziałem podnoszącą ciało i krew Pańską,
I rzekłem: Panie! Ty, co sądami Piłata
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę z pod sądów Cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą, ni wielką, lecz równie niewinną!

(Długie milczenie.)

JÓZEF.

Czytałem ja o wojnach: w dawnych dzikich czasach,
Piszą, że tak okropne wojny prowadzono,
Że nieprzyjaciel drzewom nie przepuszczał w lasach,
I że z drzewami na pniu zasiewy palono:
Ale Car mędrszy, srożej, głębiej Polskę krwawi;
On nawet ziarna zboża zabiera i dławi;
Sam szatan mu metodę zniszczenia tłumaczy.

KOŁAKOWSKI.

I uczniowi najlepszą nagrodę wyznaczy.

(Chwila milczenia.)

KS. LWOWICZ.

Bracia, kto wie, ów więzień może jeszcze żyje;
Pan Bóg to sam wie tylko i kiedyś odkryje.
Ja, jak ksiądz pomodlę się — i wam radzę szczerze
Zmówić za męczennika spoczynek, pacierze.
Kto wie, jaka nas wszystkich czeka jutro dola.

ADOLF.

Zmówże i po Ksawerym pacierz, jeśli wola;
Wiesz, że on, nim go wzięli, w łeb sobie wystrzelił.

FREJEND.

Łebski! To z nami uczty wesołe on dzielił:
Jak przyszło dzielić biedę, on w nogi ze świata.

KS. LWOWICZ.

Nieźleby i za tego pomodlić się brata.

JANKOWSKI.

Wiesz księże, dalibóg że drwię ja z twojej wiary:
Cóż stąd choćbym był gorszym niż Turki, Tatary,

Choćbym został złodziejem, szpiegiem, rozbójnikiem,
Austryakiem, Prusakiem, Carskim urzędnikiem:
Jeszcze tak prędko bożej nie lękam się kary:
Wasilewski zabity, my tu — a są Cary.

FREJEND.

Toż chciałem mówić; dobrze, żeś ty za mnie zgrzeszył,
Ale pozwól odetchnąć, bom całkiem osłupiał;
Słuchając tych powieści, człek spłakał się, zgłupiał.
Ej Feliksie, żebyś ty nas trochę pocieszył!
Ty, jeśli zechcesz, w piekle djabłabyś rośmieszył.

KILKU WIĘŹNIÓW.

Zgoda, zgoda, Feliksie, musisz gadać, śpiewać!
Feliks ma głos! Hej Frejend! hej, wina nalewać!

ŻEGOTA.

Stójcie na chwilę. Ja też szlachcic sejmikowy,
Choć ostatni przybyłem, nie chcę cicho siedzieć.
Józef nam coś o ziarnkach mówił: na te mowy
Gospodarz winien z miejsca swego odpowiedzieć.
Lubo Car wszystkie ziarna naszego ogrodu,
Chce zabrać i zakopać w ziemię, w swojem carstwie:
Będzie drożyzna, ale nie bójcie się głodu.
Pan Antoni już pisał o tem gospodarstwie.

JEDEN Z WIĘŹNIÓW.

Jaki Antoni?

ŻEGOTA.

Znacie bajkę Goreckiego?
A raczej prawdę —

KILKU.

Jaką? Powiedz nam kolego.

ŻEGOTA.

«Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu:
I roskazał aniołom zboże przysposobić,
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.
Przyszedł Adam; znalazł je, obejrzał z daleka,
I odszedł; bo nie wiedział, co ze zbożem robić.
Aż w nocy przyszedł djabeł mądry i tak rzecze:
Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,

Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość docieczc.
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Naplwał, i ziemią nakrył i przybił kopytem;
Dumny i rad, że boże zamiary przeniknął,
Całem gardłem rozśmiał się i ryknął, i zniknął,
Aż tu wiosną, na wielkie djabła zadziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie! —
O wy! co tylko na świat idziecie z północą,
Chytrość rozumem, a złość nazywacie mocą:
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie.»

JAKÓB.

Brawo Antoni! pewnie Warszawę nawiedzi,
I za tę bajkę znowu z rok w kozie posiedzi.

FREJEND.

Dobre to: lecz ja znowu do Feliksa wracam.
Wasze bajki — i co mi to za poezye;
Gdzie muszę głowę trudzić, niśli sens namacam?
Nasz Feliks z piosenkami niech żyje i pije!
(Nalewa mu wina.)

JANKOWSKI.

A Lwowicz co? — On pacierz po umarłych mówi!
Posłuchajcie: zaśpiewam piosnkę Lwowiczowi.
(Śpiewa.)

Mówcie, jeśli wola czyja,
Jezus Marya:
Nim uwierzę, że nam sprzyja,
Jezus Marya,
Niech wprzód łotrów powybija,
Jezus Marya.

Tam Car jak dzika bestya,
Jezus Marya!
Tu Nowosilców jak żmija,
Jezus Marya!

Póki cała carska szyja,
Jezus Marya!
Póki Nowosilców pija,
Jezus Marya!
Nie uwierzę, że nam sprzyja
Jezus Marya —

KONRAD.

Słuchaj ty! tych mi imion przy kielichach wara!
Dawno nie wiem, gdzie moja podziała się wiara,
Nie mięszam się do wszystkich świętych z litanii:
Lecz nie dozwolę bluźnić imieniu Maryi.

KAPRAL, podchodząc do Konrada.

Dobrze, że panu jedno to zostało imię —
Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci z kalety:
Nie zgrał się, póki jednę ma sztukę monety;
Znajdzie ją w dzień szczęśliwy: więc z kalety wyjmie,
Więc da w handel na procent, Bóg pobłogosławi
I większy skarb przed śmiercią, niśli miał, zostawi.
To imię panie, nie żart. — Więc mnie się zdarzyło
W Hiszpanii, lat temu — o, to dawno było —
Więc byłem w legionach, naprzód pod Dąbrowskim,
A potem wszedłem w sławny pułk Sobolewskiego —

SOBOLEWSKI.

To mój brat!

KAPRAL.

O mój Boże! pokój duszy jego!
Walny żołnierz — tak zginął — od pięciu kul razem;
Nawet podobny panu. — Otóż — więc z roskazem
Brata pana jechałem w miasteczko Lamego —
Jak dziś pamiętam — więc tam byli Francuziska:
Ten gra w kości, ten w karty, ten dziewczęta ściska;
Nuż beczeć — każdy Francuz jak podpije, beczy —
Jak zaczną tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,
Siwobrode wąsale takie pieśni tłuste,
Aż był wstyd mnie młodemu! — Z rozpusty w rozpustę,
Dalej bredzić na świętych. Otóż z większych w większe
Grzechy leżąc, nuż bluźnić na Pannę Najświętszę —
A trzeba wiedzieć, że mam patent sodalisa,

I z powinności bronię Maryi imienia —
Więc ja im perswadować: stulcie pysk do bisa!
Więc umilkli, nie chcąc mieć ze mną do czynienia. —

(Konrad zamyśla się, inni zaczynają rozmowę.)

Ale no pan posłuchaj, co się stąd wyświęci.
Po zwadzie, poszliśmy spać, wszyscy dobrze cięci:
Aż w nocy trąbią na koń, zaczną obóz trwożyć;
Francuzi nuż do czapek — i nie mogą włożyć:
Bo nie było na co wdziać, bo każdego główka
Była ślicznie odcięta nożem, jak makówka:
Szelma gospodarz porżnął jak kury w folwarku.
Patrzę więc, moja głowa została na karku!
W czapce kartka łacińska, pismo nie wiem czyje:
«Vivat Polonus, unus defensor Mariae!»
Otóż, widzisz pan, że ja tem imieniem żyję.

JEDEN Z WIĘŹNIÓW.

Feliksie, musisz śpiewać! Nalać mu herbaty,
Czy wina.

FELIKS.

Jednogłośnie decydują braty,
Że muszę być wesoły. Chociaż serce pęka,
Feliks będzie wesoły i będzie piosenka.

(Śpiewa.)

Nie dbam jaka spadnie kara:
  Mina, Sybir, czy kajdany;
Zawsze ja wierny poddany,
  Pracować będę dla Cara.

W minach, kruszec kując młotem,
  Pomyślę: ta mina szara,
To żelazo — z niego potem
  Zrobi ktoś topór na Cara.

Gdy będę na zaludnieniu,
  Pojmę córeczkę Tatara:
Może w mojem pokoleniu
  Zrodzi się Palen dla Cara.

Gdy w koloniach osiędę,
Ogród zorzę, grzędy skopię,
A na nich co rok siać będę
Same lny, same konopie.

Z konopi ktoś zrobi nici: —
Śrebrem obwita nić szara
Może się kiedyś poszczyci,
Że będzie szarfą dla Cara.

CHÓR ŚPIEWA.

Zrodzi się Palen dla Cara,
Ra — ra — ra — ra — ra — ra —

SUZIN.

Lecz cóż to Konrad cichy, zasępiony siedzi,
Jakby obliczał swoje grzechy do spowiedzi?
Feliksie, on nie słyszał zgoła twoich pieni.
Konradzie! Patrzcie — zbladnął, znowu się czerwieni —
Czy on słaby?

FELIKS.

Stój, cicho! — Zgadłem, że tak będzie.
O, my znamy Konrada, co to znaczy, wiemy; —
Północ jego godzina. Teraz, Feliks niemy;
Teraz bracia, piosenkę lepszą posłyszemy —
Ale muzyki trzeba. — Ty masz flet, Frejendzie:
Graj dawną jego nótę; a my cicho stójmy,
I kiedy trzeba, głosy do chóru nastrójmy.

JÓZEF, patrząc na Konrada.

Bracia! duch jego uszedł i błądzi daleko,
Jeszcze nie wrócił: może przyszłość w gwiazdach czyta
Może się tam z duchami znajomemi wita,
I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką — —
Jak dziwne oczy: błyszczy ogień pod powieką,
A oko nic nie mówi i o nic nie pyta;
Duszy teraz w nich nie ma; błyszczą jak ogniska
Zostawione od wojska, które w nocy cieniu

Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu.
Nim zgasną; wojsko wróci na swe stanowiska.

(Frejend probuje różnych nót.)[1]

KONRAD, śpiewa.

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna;
Krew poczuła: z pod ziemi wygląda,
I jak upiór powstaje krwi głodna,
I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda.
Tak! zemsta, zemsta, na wroga,
Z Bogiem — i choćby mimo Boga!

(Chór powtarza.)

I pieśń mówi: ja pójdę wieczorem;
Najprzód braci rodaków gryźć muszę;
Komu tylko zapuszczę kły w duszę,
Ten jak ja musi zostać upiorem.
Tak! zemsta, zemsta, i t. d.

Potem pójdziem, krew wroga wypijem:
Ciało jego rozrąbiem toporem,
Ręce, nogi gwoździami przybijem:
By nie powstał i nie był upiorem.
Tak! zemsta! zemsta, i t. d.

Z duszą jego do piekła iść musim,
Wszyscy razem na duszy usiędziem,
Póki z niej nieśmiertelność wydusim:
Póki ona czuć będzie, gryźć będziem.
Tak! zemsta: zemsta, i t. d.

KS. LWOWICZ.

Konradzie, stój dla Boga! To jest pieśń pogańska —

KAPRAL.

Jak on okropnie patrzy! To jest pieśń szatańska!

(Przestają śpiewać.)

KONRAD, z towarzyszeniem fletu.

Wznoszę się, lecę, tam! na szczyt opoki! —
Już nad plemieniem człowieczem,
Między proroki!

[1] W rękopisie:
Frejend próbuje różnych nót; nareszcie na notę
Non piú andrai etc.

Stąd ja przyszłości brudne obłoki
Rozcinam moją źrenicą, jak mieczem;
Rękami, jak wichrami, mgły jej rozdzieram —
Już widno, jasno. Z góry na ludy spozieram:
Tak księga sybilińska przyszłych losów świata!

Tam, na dole —
Patrz, patrz — przyszłe wypadki i następne lata,
Jak drobne ptaki, gdy orła postrzegą,
— Mnie orła na niebie! —
Patrz, jak do ziemi przypadają, biegą,
Jak się stado w piasek grzebie —
Za niemi, hej za niemi oczy me sokole!
Oczy błyskawice!
Za niemi szpony moje! Dostrzegę je, schwycę —

Cóż to? Jaki ptak powstał i rostacza pióra,
Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa?
Skrzydła ma czarne jak burzliwa chmura,
A szerokie i długie nakształt tęczy łuku,
I niebo całe zakrywa?

To kruk olbrzymi! — Ktoś ty, ktoś ty kruku?
Ktoś ty! Jam orzeł! — Patrzy kruk — myśl moją plącze.
Ktoś ty? Jam gromowłady! —
Spojrzał na mnie: w oczy mię jak dymem uderzył,
Myśli moje mięsza, plącze —

KILKU WIĘŹNIÓW.

Co on mówi — co — co to? Patrz, jaki blady.
(Porywają Konrada.)
Uspokój się —

KONRAD.

Stój! stójcie! Jam się z krukiem zmierzył —
Stójcie! Myśli rozplączę,
Pieśń skończę — skończę —
(Słania się.)

KS. LWOWICZ.

Dosyć tych pieśni.

INNI.

Dosyć.

KAPRAL.

Dosyć — Pan Bóg z nami —
Dzwonek! słyszycie dzwonek? Ront, ront pod bramami —
Gaście ogień — do siebie!

JEDEN Z WIĘŹNIÓW, patrząc w okno.

Bramę odemknęli —
Konrad osłabł — zostawcie — sam — sam jeden w celi!

(Uciekają wszyscy.)

SCENA II.

IMPROWIZACJA.

KONRAD, po długiem milczeniu.

Samotność! — Cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi!
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie:
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką.
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką,
Gdzie pędzi, czy się domyślą? —

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.
Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie nie dolata;
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy:
Domyśla się, że do słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Wam pieśni, ludzkie oczy, uszy nie potrzebne! —
Płyńcie w duszy mej wnętrznościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.

Ty Boże, ty naturo, dajcie posłuchanie!
Godna to was muzyka i godne śpiewanie:
Ja mistrz!
Ja mistrz wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem,
Kręcę gwiazdy moim duchem;
Milion tonów płynie: w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę, i w akordy — i w strofy plączę,
Rozlewam je w dźwiękach i w błyskawic wstęgach.

Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie,
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie —
Sam śpiewam — słyszę me śpiewy:
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy.
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,
Jęczą żalem, ryczą burzą,
I wieki im głucho wtórzą;
A każdy dźwięk ten razem gra i płonie —
Mam go w uchu, mam go w oku,
Jak wiatr gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie! —
Pieśń to wielka, pieśń — tworzenie,
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność!
Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę:
Cóż Ty większego mogłeś zrobić Boże?
Patrz, ja te myśli dobywam sam z siebie,

Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą —
Już dalekie: czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję:
Kocham was me dzieci wieszcze!
Myśli moje! gwiazdy moje!
Czucia moje! wichry moje!
W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,
Wy wszystkie moje!

Depcę was, wszyscy poeci,
Wszyscy mędrce i proroki,
Których wielbił świat szeroki!
Gdyby chodzili dotąd śród swych dusznych dzieci,
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski
Słyszeli, czuli i za słuszne znali,
I wszystkie sławy każdodziennej blaski,
Promieniami na wieńcach swoich papalali:
Z całą pochwał muzyką i wieńcow ozdobą,
Zebraną z wieków tyla i z pokoleń tyla,
Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,
Jak ja dziś czuję, w tej samotnej nocy,
Kiedy sam śpiewam w sobie,
Śpiewam samemu sobie.
Tak! Czuły jestem, silny jestem i rozumny!
Nigdym nie czuł, jak w tej chwili —
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,
Dziś poznam, czym najwyższy, czylim tylko dumny,
Dziś jest chwila przeznaczenia —
Dziś najsilniej wytężę duszy mej ramiona:
To jest chwila Samsona,
Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny —
Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —
Potrzeba mi lotu!

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
  Tam dojdę, gdzie graniczą stwórca i natura.

I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!
            I zajrzę w uczucia Twoje.
  O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!
Jam tu, jam przybył; widzisz, jaka ma potęga:
  Aż tu moje skrzydło sięga!
Lecz jestem człowiek i tam na ziemi me ciało;
Kochałem tam, w ojczyznie serce me zostało — —

  Ale ta miłość moja na świecie,
  Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
  Jak owad na róży kwiecie —
  Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
  Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
  Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
  Przycisnąłem tu do łona,
  Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
  Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
  Chcę nim cały świat zadziwić —
Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go docieć.
  Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą,
  Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła;
  Mam więcej: tę moc, której ludzie nie nadadzą,
  Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa
  Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa —

I mocy tej nie wziąłem z drzewa Edeńskiego,
Z owocu wiadomości złego i dobrego,
Nie z ksiąg ani z opowiadań,
Ani z rozwiązania zadań,
Ani z czarodziejskich badań:

Jam się twórcą urodził!
Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził:
Masz, nie boisz się stracić — i ja się nie boję.
Czyś Ty mi dał, czy wziąłem skąd i Ty masz, oko
Bystre, potężne: w chwilach mej siły, wysoko
Kiedy na chmur spojrzę szlaki,
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle:
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle —
Stado pieśń żałosną dzwoni:
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spojrzę w kometę z całą mocą duszy,
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy —
Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni,
Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu:
Mnie i Ciebie!
Ja na nich szukam sposobu
Tu, w niebie.
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wywrzeć na ludzkie dusze;
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzę mem skinieniem,
Tak bliźnich rozrządzać muszę:
Nie bronią — broń broń odbije,
Nie pieśniami — długo rosną,
Nie nauką — prędko gnije,
Nie cudami — to zbyt głośno:
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!
Rządzić, jak Ty wszystkiemi zawsze i tajemnie!
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią:
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!
Mówią, że Ty tak władasz! —

Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył:
Jeśli mi nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,
I większe, niśli Ty, zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

Daj mi rząd dusz! — Tak gardzę tą martwą budową,
Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,
Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo
Nie mogłoby jej wnet zwalić;
Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Możebym sto gwiazd zgasił a drugie sto wzniecił!
Bo jestem nieśmiertelny! — I w stworzenia kole
Są inni nieśmiertelni: wyższych nie spotkałem —
Najwyższy na niebiosach: Ciebie tu szukałem,
Ja, najwyższy z czujących na ziemnym padole.
Nie spotkałem Cię dotąd — żeś Ty jest, zgaduję,
Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję —
Ja chcę władzy, daj mi ją, lub wskaż do niej drogę;
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem,
I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę,
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz.

(Długie milczenie. Z ironją.)

Milczysz, milczysz! — Wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,
Zrozumiałem coś Ty jest i jakeś Ty władał.
Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością,
Ty jesteś tylko — mądrością!
Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą,
Myślą, nie sercem, składy broni Twej wyśledzą.
Ten tylko, kto się wrył w księgi,
W metal, w liczbę, w trupie ciało,
Temu się tylko udało
Przywłaszczyć część Twej potęgi:
Znajdzie truciznę, proch, parę,
Znajdzie blaski, dymy, huki,

Znajdzie prawność i złą wiarę
Na mędrki i na nieuki.
Myślom oddałeś świata użycie,
Serca zostawiasz na wiecznej pokucie.
Dałeś mnie najkrótsze życie
I najmocniejsze uczucie —
(Milczenie.)
Czem jest me czucie?
Ach iskrą tylko!
Czem jest me życie?
Ach jedną chwilką!
Lecz te, co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?
Iskrą tylko.
Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?
Jedną chwilką.
Z czego wychodzi cały człowiek, mały światek?
Z iskry tylko.
Czem jest śmierć, co rosproszy myśli mych dostatek?
Jedną chwilką.
Czem był On, póki światy trzymał w swojem łonie?[1]
Iskrą tylko.
Czem będzie wieczność świata, gdy On go pochłonie?
Jedną chwilką.

GŁOS Z LEWEJ STRONY.
Wsiąść muszę
Na duszę
Jak na koń
Goń! goń!
W cwał, w cwał!

GŁOS Z PRAWEJ.
Co za szał!
Brońmy go, brońmy,
Skrzydłem osłońmy
Skroń.

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala:
Stwarza i zwala.
Śmiało, śmiało! tę chwilę rozdłużmy, rozdalmy,
Śmiało, śmiało! tę iskrę rozniećmy, rozpalmy!
Teraz — dobrze — tak. Jeszcze raz Ciebie wyzywam,
Jeszcze po przyjacielsku duszę Ci odkrywam —
Milczysz? — Wszakżeś z Szatanem walczył osobiście?
Wyzywam Cię uroczyście!

[1] W rękopisie:
Czem był świat, póki On go trzymał w swojem łonie?

Nie gardź mną: ja nie jeden. Choć sam tu wzniesiony
Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,
Mam ja za sobą wojska i mocy — i trony:
Jeśli ja będę bluźnierca,
Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niśli Szatan —
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!
Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;
Kiedyś mi wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

GŁOS Z LEWEJ.
Rumaka
Przedzierzgnę w ptaka,
Orlemi pióry!
Do góry!
W lot!

GŁOS Z PRAWEJ.
Gwiazdo spadająca!
Jaki szał
W otchłań cię strąca. —

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna, to jedno;
Nazywam się Milion: bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na Ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpiena narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.

Cierpię, szaleję. — A Ty, mądrze i wesoło,
Zawsze rządzisz,
Zawsze sądzisz,
I mówią, że Ty nie błądzisz!

Słuchaj! Jeśli do prawda, com z wiarą synowską
Słyszał, na ten świat przychodząc:
Że Ty kochasz: jeżeliś Ty kochał świat, rodząc,
Jeśli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską:
Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt,
Któreś Ty w arce zamknął i wyrwał z powodzi;
Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;

Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,
Jeśli w milion ludzi krzyczących «ratunku!»
Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku;
Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną,
I nie jest tylko twoją omyłką liczebną —

GŁOS Z LEWEJ.

Orła w hydrę!
Oczy mu wydrę.
Do szturmu dalej!
Dymi! pali!
Ryk, grzmot!

GŁOS Z PRAWEJ.

Z jasnego słońca
Kometo błędu!
Gdzie koniec twego pędu?
Bez końca, bez końca!

Milczysz! — Jam Ci do głębi serce me otworzył —
Zaklinam, daj mi władzę: jedna część jej licha,
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha:
Z tą jedną cząstką ileż jabym szczęścia stworzył;
Milczysz! — Nie dasz dla serca, dajże dla rozumu!
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu [1],
Że cię znam lepiej, niśli Twoje archanioły,
Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się na poły —
Jeślim nie zgadł, odpowiedz! — Milczysz — ja nie kłamię!
Milczysz i ufasz, że masz silne ramię —
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie —
Widzisz to moje ognisko: uczucie:
Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,
Wbijam w żelazne woli mej okucie,
Jak nabój w burzące działo —

GŁOS Z LEWEJ.

Ognia! pal!

GŁOS Z PRAWEJ.

Litość! żal!

Odezwij się: bo strzelę przeciw Twej naturze!
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
To wstrząsnę, całym państw Twoich obszarem;
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,
Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale —

[1] W rękopisie:
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,
Jam Twoje tajniki wybadał,
Że wiem, co jesteś i jakeś Ty władał,
Że Cię znam lepiej, i t. d.

GŁOS DJABŁA.

Carem!

KONRAD.

(Staje chwilę, słania się i pada.)

(DUCHY Z LEWEJ STRONY.)

PIERWSZY.

Depc, chwytaj!

DRUGI.

Jeszcze dysze.

PIERWSZY.

Omdlał, omdlał, a nim
Przebudzi się — dodusim.

DUCH Z PRAWEJ STRONY.

Precz! — modlą się za nim.

DUCH Z LEWEJ.

Widzisz, odpędzają nas.

PIERWSZY Z LEWEJ.

Ty bestjo głupia!
Nie pomogłeś mu słowo ostatnie wyrzygnąć,
Jeszcze o jeden stopień w dumę go podźwignąć!
Chwila dumy — ta czaszka już byłaby trupia.
Być tak blisko tej czaszki i nie można deptać!
Widzieć krew w jego ustach i nie można chłeptać!
Najgłupszy z djabłów, tyś go wypuścił w pół drogi —

DRUGI.

Wróci się, wróci —

PIERWSZY.

Precz stąd, bo wezmę na rogi,
I będę cię lat tysiąc niósł i w paszczę samą
Szatana wbiję.

DRUGI.

Cha! cha! straszysz ciociu! mamo!
Ja dziecko będę płakać — (płacze) — masz — (uderza rogiem) A co
nie chybił?
Leć i nie wyłaź z piekła! — Aha, do dna przybił! —
Rogi me, brawo, rogi —

PIERWSZY.

Sacrédieu!

DRUGI, uderza.

Masz.

PIERWSZY.

W nogi.

(Słychać sztukanie i klucz we drzwiach.)

DRUGI DUCH.

Pop, klecha! Przyczajmy się i schowajmy rogi.

SCENA III.

Wchodzą: KAPRAL, braciszek bernardyn PIOTR, JEDEN WIĘZIEŃ.

KS. PIOTR.

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha.

WIĘZIEŃ.

On zapewne osłabiał. — Konradzie! — Nie słucha.

KS. PIOTR.

Pokój temu domowi, pokój grzesznikowi.

WIĘZIEŃ.

Dla Boga, on osłabiał; patrz, miota się, dąsa:
To jest wielka choroba; patrz, on usta kąsa.

(KS. PIOTR modli się.)

KAPRAL, do więźnia.

Mój panie, idźcie sobie, a nas tu zostawcie.

WIĘZIEŃ.

Ale dla Boga! próżnych modlitew nie prawcie;
Podejmijcie go z ziemi, połóżmy do łóżka:
Księże Pietrze.

KS. PIOTR.

Tu zostaw.

WIĘZIEŃ.

Oto jest poduszka.

(Kładzie Konrada.)

E, ja wiem, co to znaczy. — Czasem nań napada
Takie szaleństwo: długo śpiewa, potem gada,
A jutro zdrów jak ryba. Lecz kto wam powiedział,
Że on osłabiał?

KAPRAL.

Panie, ot byś cicho siedział.

Niech brat Piotr pomodli się nad waszym kolegą;
Bo ja wiem, że tu było — coś — tu niedobrego.
Gdy ront odszedł, w tej celi hałas posłyszałem;
Spojrzę dziurką od klucza: a co tu widziałem,
To mnie wiedzieć. Pobiegłem do mojego kmotra —
Bo on człowiek pobożny, do braciszka Piotra —
Patrz na tego chorego: nie dobrze się dzieje. —

WIĘZIEŃ.

Dalibóg nie pojmuję nic i oszaleję.

KAPRAL.

Oszaleć? — Ej panowie, strzeżcie się panowie!
U was usta wymowne, wiele nauk w głowie:
A patrzcie, głowa mądra w prochu się taczała,
I z tych ust, tak wymownych, patrzaj — piana biała!
Słyszałem, co on śpiewał: ja słów nie pojąłem,
Lecz było coś u niego w oczach i nad czołem —
Wierz mi, że z tym człowiekiem nie dobrze się dzieje.
Byłem ja w legionach, nim wzięto w rekruty:
Brałem szturmem fortece, klasztory, reduty,
Więcej dusz wychodzących z ciała ja widziałem,
Niśli Waćpan przeczytał książek w życiu całem:
A to jest rzecz niemała widzieć jak człek kona.
Widziałem ja na Pradze księży zarzynanych,
I w Hiszpanii żywcem z wieży wyrzucanych;
Widziałem matek szablą rozrywane łona,
I dzieci konające na kozackich pikach,
I Francuzów na śniegu i Turków na palu;
I wiem co w konających widać męczennikach,
A co w złodzieju, zbójcy, Turku lub Moskalu.
Widziałem rostrzelanych, co patrzyli śmiele
W rurę broni, nie chcieli na oczy zasłony:
A jak padli na ziemię, widziałem w ich ciele
Strach, co za życia wstydem i pychą więziony,
Wyszedł z trupa jak owad i pełzał w około,
Gorszy strach, niż ten, który tchórza w bitwie nęka —
Taki strach, że dość spojrzeć na zamarłe czoło,
Aby wiedzieć, że dusza dąsa się i lęka,
Gardzi bolem i cierpi — i wieczna jej męka —

A więc, mój panie, myślę, że twarz umarłego
Jest jak patent wojskowy do świata przyszłego:
I poznasz zaraz, jak on tam będzie przyjęty,
W jakiej randze i stopniu, święty czy przeklęty —
A więc tego człowieka i pieśń i choroba
I czoło i wzrok wcale mi się nie podoba.
Otoż Waćpan spokojnie idź do swojej celi;
My z bratem Piotrem będziem przy chorym siedzieli.

(Więzień odchodzi.)

KONRAD.

Przepaść — tysiąc lat — pusto — dobrze — jeszcze więcej!
Ja wytrzymam i dziesięć tysiąców tysięcy —
Modlić się — tu moditwa nie przyda się na nic —
I byłaż taka przepaść bez dna i bez granic?
Nie wiedziałem — a była.

KAPRAL.

Słyszysz, jak on szlocha.

KS. PIOTR.

Synu mój, tyś na sercu, które ciebie kocha.

(Do Kaprala.)

Wyjdź stąd i patrz, ażeby nikt tędy nie chodził,
I póki stąd nie wyjdę, nikt mi nie przeszkodził.

(Kapral odchodzi.)

KONRAD, zrywa się.

Nie! — oka mi nie wydarł! Mam to silne oko;
Widzę stąd i stąd nawet, choć ciemno — głęboko —
Widzę ciebie Rollison! [1] — Bracie, cóż to znaczy?
I tyś w więzieniu, zbity, krwią cały zbryzgany,
I ciebie Bóg nie słuchał i tyś już w rozpaczy,
Szukasz noża, probujesz głowę tłuc o ściany:
«Ratunku!» — Bóg nie daje, ja ci dać nie mogę!
Oko mam silne: spojrzę, może cię zabiję — —
Nie — ale ci pokażę okiem śmierci drogę.
Patrz, tam masz okno: wybij, skocz, zleć i złam szyję,
I ze mną tu leć w głębie, w ciemność — lećmy na dół —
Otchłań. — Otchłań ta lepsza niśli ziemi padół,

[1] W rękopisie, wszędzie Mollison. P. W.

Tu nie ma braci, matek, narodów, tyranów —
Pójdź tu. —

KS. PIOTR.

Duchu nieczysty, znam cię po twym jadzie!
Znowuś tu, najchytrzejszy ze wszystkich szatanów,
Znowu w dom opuszczony leziesz brzydki gadzie.
Tyś wpełznął w jego usta, na zgubęś tu wpełznął,
W Imię Pańskie jam ciebie pojmał i ochełznął.
Exorciso —

DUCH.

Stój, nie klnij — stój — odstąp od progu:
Wyjdę. —

KS. PIOTR.

Nie wyjdziesz, aż się upodoba Bogu.
Lew z pokolenia Judy tu Pan: On zwycięża.
Sieć na lwa zastawiłeś i w twym własnym wniku
Złowiłeś się: Bóg ciebie złowił w tym grzeszniku.
W jego ustach chcę tobie najsroższy cios zadać:
Kłamco, ja tobie każę, musisz prawdę gadać.

DUCH.

Parle-moi donc français, mon pauvre capucin!
J'ai pu dans le grand monde oublier mon latin;
Mais étant saint, tu dois avoir le don des langues —
Vielleicht sprechen Sie deutsch? was murmeln Sie so bang?
What is it? — Cavallero, respondere yo. —

KS. PIOTR.

Ty to z ust jego wrzeszczysz stu-języczna żmijo!

DUCH.

C'est juste. Dans ce jeu, nous sommes de moitié;
Il est savant, et moi, diable de mon métier.
J'étais son précepteur et je m'en glorifie;
En sais tu plus que nous, parle — je te défie.

KS. PIOTR.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

DUCH.

Ale stój, stój mój księże, stój, już dosyć tego!
Tylko księżuniu, nie męcz na próżno. — Czyś szatan,
Żeby tak męczyć?

KS. PIOTR.

Ktoś ty?

DUCH.

Lukrecy, Lewiatan,
Voltaire, alter Fritz, Legio sum.

KS. PIOTR.

Coś widział?

DUCH.

Zwierza.

KS. PIOTR.

Gdzie.

DUCH.

W Rzymie.

KS. PIOTR.

Nie słucha mię. Wróćmy do pacierza.

(Modli się.)

DUCH.

Ale słucham.

KS. PIOTR.

Gdzieś widział więźnia?

DUCH.

Mówię w Rzymie.

KS. PIOTR.

Kłamiesz —

DUCH.

Księże, na honor, na kochanki imię —
Mej kochanki czarniutkiej, co tak do mnie wzdycha.
A wiesz ty jak się zowie moja luba? — Pycha.
Jakiś ty nieciekawy!

KS. PIOTR, do siebie.

Przeciwią się duchy;
Upokorzmy się Panu i zróbmy akt skruchy.

(Modli się.)

DUCH.

Ale co tam masz robić, ja sam stąd wyruszę.
Przyznaję się, że wlazłem niezgrabnie w tę duszę.
Tu mnie kole: ta dusza jest jak skóra jeża,
Włożyłem ją na wywrot, kolcami do kiszek.

(Ksiądz modli się.)

Aleś bo i ty majster, choć prosty braciszek;
Osły powinni ciebie obrać za Papieża.
Głupstwo stawią w kościele przodem, jak kolumny,
A ciebie kryją w kątku: świecznik, gwiazdę blasku!

KS. PIOTR.

Tyranie i pochlebco, i podły i dumny,
Żebyś pierś ugryzł, u nóg wleczesz się po piasku!

DUCH, śmiejąc się.

Aha! gniewasz się, pacierz przerwałeś. — Da capo —
Żebyś sam widział, jak ty śmiesznie kręcisz łapą:
Istny niedźwiadek, gdy się broni od komarów —
On trzepie swoje. — No, więc dosyć już tych swarów:
Znam twoją moc i chcę się tobie wyspowiadać,
Będę ci o przeszłości i przyszłości gadać —
A wiesz ty, co o tobie mówią w całem mieście? —

(Ksiądz modli się.)

A wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście? —
A wiesz, dla czego tobie przeor tak nie sprzyja? —
A wiesz w Apokalipsie, co znaczy bestya? —
Milczy i trzepie; oczy aż strach we mnie wlepił —
Powiedz księżuniu, czegoś do mnie się uczepił?
Co ja winien, że takie mam odbierać chłosty?
Czyż ja jestem król djabłów? Wszak ja djabeł prosty!
Zważ: czy to prawnie, sługę ukarać za pana;
Wszakże ja tu przyszedłem z roskazu Szatana:
Trudno mu się tłumaczyć, bo z nim nie brat za brat
Jestem, jako Kreishauptman, Gubernator, Landrat;
Każą duszę brać w areszt: biorę, sadzę w ciemność!
Zdarza się przytem duszy jaka nieprzyjemność:
Ale czyż z mojej winy? Jam ślepe narzędzie —
Tyran szelma da ukaz, pisze: «Niech tak będzie» —
Czyż to mnie miło męczyć? Mnie samemu męka —
Ach, (wzdycha) jak to źle być czułym! Ach, serce mi pęka!
Wierz mi: gdy pazurami grzesznika odzieram,
Nieraz ogonem, ah! ah! łzy sobie ocieram.

(Ksiądz modli się.)

A wiesz, że jutro będziesz bity jako Haman?

KS. PIOTR.

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, Amen.
Ego te exorciso, spiritus immunde — —

DUCH.

Księże, stój! Słucham, gadam. Stój jednę sekundę!

KS. PIOTR.

Gdzie jest nieszczęsny więzień, co chce zgubić duszę? —
Milczysz? — Exorciso te —

DUCH.

Gadam, gadam — muszę.

KS. PIOTR.

Kogo widziałeś?

DUCH.

Więźnia.

KS. PIOTR.

Jakiego?

DUCH.

Grzesznika.

KS. PIOTR.

Gdzie?

DUCH.

Tam, w drugim klasztorze.

KS. PIOTR.

W jakim?

DUCH.

Dominika.
Ten grzesznik już przeklęty, prawem mi należy.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

On już umarły.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Chory leży.

KS. PIOTR.

Exorciso te —

DUCH.

Gadam, gadam, skaczę, śpiewam:
Tylko nie klnij! Jak gadać? Dusisz — ledwie ziewam.

KS. PIOTR.

Mów prawdę.

DUCH.

Grzesznik chory, lata bez pamięci,
I jutro rano szyję niezawodnie skręci.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Poświadczy godny świadek, kmotr Belzebub:
Pytaj go, męcz; niewinnej duszy mojej nie gub.

KS. PIOTR.

Jak ratować grzesznika?

DUCH.

Bodajeś zdechł, klecho!
Nie powiem.

KS. PIOTR.

Exorciso —

DUCH.

Ratować pociechą.

KS. PIOTR.

Dobrze. Gadaj wyraźnie: czego mu potrzeba?

DUCH.

Mam chrypkę, nie wymówię.

KS. PIOTR.

Mów!

DUCH.

Mój Panie! królu!
Daj odpocząć. —

KS. PIOTR.

Mów, czego potrzeba. —

DUCH.

Księżulu!
Ja tego nie wymówię.

KS. PIOTR.

Mów!

DUCH.

He! — Wina — Chleba —

KS. PIOTR.

Rozumiem: chleba Twego i krwi Twojej Panie!
Pójdę — i daj mi spełnić Twoje roskazanie.

(Do ducha.)

A teraz zabierz z sobą twe złości i błędy,
Skąd wszedłeś i jak wszedłeś, idź tam i tamtędy.

(Duch uchodzi.)

KONRAD.

Dźwigasz mię! — Ktoś ty? Strzeż się, sam spadniesz w te doły!
Podaje rękę. — Lećmy! W górę jak ptak lecę,
Mile oddycham wonią, promieniami świecę.
Któż mi dał rękę? — Dobrzy ludzie i anioły! —
Skądże litość, wam do mnie schodzić do tych dołów?
Ludzie? — Ludźmi gardziłem, nie znałem aniołów!

KS. PIOTR.

Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.
Usta, któremiś wieczny Majestat obraził,
Te usta zły duch słowy szkaradnemi skaził;
Słowa głupstwa, najsroższa dla mądrych ust męka,
Oby ci policzone były za pokutę,
Obyś o nich zapomniał. —

KONRAD.

Już są tam — wykute.

KS. PIOTR.

Obyś grzeszniku nigdy sam ich nie wyczytał,
Oby się o znaczenie ich Bóg nie zapytał,
Módl się. Myśl twoja, w brudne obleczona słowa
Jak grzeszna z tronu swego strącona królowa,
Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje,
I większym niśli pierwej blaskiem zajaśnieje —
Usnął. —

(Klęka.)

Twe miłosierdzie Panie jest bez granic!

(Pada krzyżem.)

Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,
Sługa już spracowany i niegodny na nic:
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
A ja, za jego winy, przyjmę wszystkie kary;
On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe Imię.
Módlmy się. Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie!

(Modli się.)

(W bliskim kościele za ścianą, zaczynają śpiewać pieśń Bożego Narodzenia. Nad Księdzem Piotrem chór Aniołów na nótę: «Anioł pasterzom mówił.»)

CHÓR ANIOŁÓW, głosy dziecinne.

Pokój temu domowi,
Spoczynek grzesznikowi.
Sługo, sługo pokorny, cichy!
Wniosłeś pokój w dom pychy:
Pokój temu domowi!

ARCHANIOŁ PIERWSZY, na nótę: «Bóg nasz ucieczką.»

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie, zgrzeszył on bardzo.

ARCHANIOŁ DRUGI.

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim, Twoi Anieli.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

Tych zdepc o Panie, tych złam, o panie, którzy Twe święte sądy pogardzą.

ARCHANIOŁ DRUGI.

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli.

ANIOŁ.

Kiedym z gwiazdą nadziei
Leciał, świecąc Judei,
Hymn Narodzenia śpiewali Anieli:
Mędrcy nas nie widzieli,
Królowie nie słyszeli —

Pastuszkowie postrzegli,
I do Betlejem biegli:
Pierwsi wieczną mądrość witali,
Wieczną władzę uznali,
Biedni, prości i mali.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu Aniołów sług swych obaczył,
Duchom wieczystym, Aniołom czystym, Pan nie przebaczył:
Runęły z niebios, jak deszcz gwiaździsty, Aniołów tłumy.
I deszczem lecą za niemi codzień mędrców rozumy.

CHÓR ANIOŁÓW.

Pan maluczkim objawia,
Czego wielkim odmawia.

Litość! Litość! nad synem ziemi,
On był między wielkimi:
Litość nad synem ziemi!

ARCHANIOŁ DRUGI.

On sądów Twoich nie chodził badać, jako ciekawy,
Nie dla mądrości ludzkiej on badał, ani dla sławy.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

On Cię nie poznał, on Cię nie uczcił, Panie nasz wielki!
On Cię nie kochał, on Cię nie wezwał, nasz Zbawicielu!

ARCHANIOŁ DRUGI.

Lecz on szanował imię Najswiętszej Twej Rodzicielki!
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu!

ANIOŁ.

Krzyż w złoto oprawiony
Zdobi królów korony,
Na piersi mędrców błyszczy jak zorze:
A w duszę wejść nie może
Oświeć, oświeć ich Boże!

CHÓR ANIOŁÓW.

My tak ludzi kochamy,
Tak z nimi być żądamy!
Wygnani od mędrków i króli,
Prostaczek nas przytuli;
Nad nim dzień, noc, śpiewamy.

CHÓR ARCHANIOŁÓW.

Podnieś tę głowę: a wstanie z prochu, niebios dosięże,
I dobrowolnie padnie, i uczci krzyża podnóże!
Wedle niej cały świat u stóp krzyża niechaj polęże,
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy, Pan, nasz, o Boże!

OBADWA CHÓRY.

Pokój! pokój prostocie,
Pokornej, cichej cnocie!
Sługo, sługo pokorny, cichy!
Wniosłeś pokój w dom pychy:
Pokój grzesznemu sierocie!

SCENA IV.

DOM WIEJSKI POD LWOWEM.

Pokój sypialny. — EWA, młoda panienka, wbiega, poprawia kwiaty przed obrazem Najświętszej Panny, klęka i modli się. Wchodzi MARCELINA.

MARCELINA.

Modlisz się jeszcze dotąd? Czas spać, północ biła.

EWA.

Jużem się za ojczyznę moją pomodliła,
Jak nauczono, i za ojca i za mamę.
Zmówmy jeszcze i za nich pacierze też same;
Choć oni tak daleko: ale to są dziatki
Jednej ojczyzny naszej, Polski, jednej matki.
Litwin, co dziś tu przybył, uciekł od Moskali:
Strach słyszeć, co tam oni z nimi wyrabiali;
Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić,
I jak Herod chce całe pokolenie zgładzić.
Litwin ten bardzo ojca naszego zasmucił,
Poszedł w pole, i dotąd z przechadzki nie wrócił.
Mama na mszę posłała i obchód żałobny,
Bo wielu z nich umarło. — Ja, pacierz osobny
Zmówię za tego, co te piosenki ogłosił:
(Pokazując książkę.)
I on także w więzieniu, jak nam gość donosił.
Te piosenki czytałam: niektóre są piękne —
Jeszcze pójdę, przed Matką Najświętszą uklęknę,
Pomodlę się za niego: kto wie, czy w tej chwili
Ma rodziców, żeby się na nim pomodlili. —
(Marcelina odchodzi. Ewa modli się i usypia.)

ANIOŁ.

Lekko i cicho, jak lekkie sny zlećmy.

CHÓR ANIOŁÓW.

Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami, twarz mu oświećmy,
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem,
Nad czystym, nad cichym, naszym kochankiem.
Rączęta liljowe za liście splećmy,
Za róże kwitnące czoła rozniećmy,

Spod wstążek gwiaździstych włos nasz rozwiążmy,
Rozpuśćmy w promienie, rozlejmy w wonie;
Kwitnącym, pachnącym, żyjącym wiankiem,
Kochanka naszego piersi okrążmy,
Kochanka naszego otulmy skronie.
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem.

EWA.

(WIDZENIE.)

Deszczyk tak świeży, miły, cichy jak rosa —
I skąd ten deszczyk? Tak czyste niebiosa,
Jasne niebiosa! —
Krople zielone, kraśne; trawki, równianki,
Róże, lilje, wianki
Obwijają mię w koło. Ach, jaki sen wonny,
Sen lekki, słodki: oby był dozgonny!

Różo błyszcząca, słoneczna,
Liljo przeczysta, mleczna,
Ty nie z ziemi: tam rosłaś, nad białym obłokiem! —
Narcyzie, jakiem śnieżnem patrzysz na mnie okiem?
A te błękitne kwiaty pamiątek,
Jak źrenice niewiniątek,
Poznałam: kwiatki moje — sama polewałam,
W moim ogródku wczoraj nazbierałam,
I uwieńczyłam Matki Boskiej skronie,
Tam nad łóżkiem na obrasku.
Widzę — to Matka Boska. — Cudowny blasku!
Pogląda na mnie, bierze wianek w dłonie,
Podaje Jezusowi; a Jezus dziecię,
Z uśmiechem rzuca na mnie kwiecie!
Jak wypiękniały kwiatki, jak ich wiele, krocie:
A wszystkie w przelocie
Szukają na powietrzu siebie,
— Moje kochanki —
I same plotą się w wianki! —
Jak tu mi miło, jak w niebie;
Jak tu mi dobrze, mój Boże!

Niech mię na zawsze ten wianek otoczy,
Niech zasnę, umrę, patrząc w te róże,
W te białe narcyza oczy!
Róża — ta róża żyje!
Wstąpiła w nią dusza,
Główką lekko rusza,
Jaki ogień z niej bije:
To rumieniec żyjący, jak zorzy wnijście!
Śmieje się, jak na uśmiech rozwija liście,
Roztula między liściem dwoje ust z koralu,
Mówi, coś mówi — jak cicho, jak skromnie —
Co ty różo szepcesz do mnie?
Zbyt cicho, smutnie. — Czy to głos żalu?
Skarżysz się, żeś wyjęta z rodzinnej trawki?
— Nie wzięłam ciebie dla mojej zabawki:
Jam tobą skronie Matki Najświętszej wieńczyła,
Jam po spowiedzi wczora łzami cię poiła. —
A z twoich ust koralu,
Wylatują promieniem
Iskierka po iskierce:
Czy taka światłość jest twojem pieniem?
Czego chcesz różo miła?

RÓŻA.

Weź mię na serce.

ANIOŁOWIE.

Rozwiążmy, rozplećmy anielski wianek.

RÓŻA.

Odwijam me skrzydła, wyplatam czoło.

ANIOŁOWIE.

My w niebo do domu lećmy wesoło.

RÓŻA.

Ja będę ją bawić, nim błyśnie ranek,
Na sennem jej sercu złożę me skronie:
Jak święty apostoł, Pański kochanek,
Na boskiem Chrystusa spoczywał łonie.

SCENA V.

CELA KSIĘDZA PIOTRA.

KSIĄDZ PIOTR.
(Modli się, leżąc krzyżem.)

Panie! czemże ja jestem przed Twojem obliczem
Prochem i niczem!
Ale, gdym Tobie moję nicość wyspowiadał:
Ja, proch, będę z Panem gadał.

(WIDZENIE.)

Tyran wstał — Herod! — Panie, cała Polska młoda
Wydana w ręce Heroda.
Co widzę? — Długie, białe, dróg krzyżowych biegi —
Drogi długie — nie dojrzeć — przez puszcze, przez śniegi:
Wszystkie na północ! Tam, tam w kraj daleki
Płyną jak rzeki.
Płyną: ta droga prosto do żelaznej bramy;
Tamta jak strumień wpadła pod skałę, w te jamy;
A tamtej ujście w morzu — Patrz! po drogach leci
Tłum wozów: jako chmury wiatrami pędzone,
Wszystkie tam w jednę stronę —
Ach Panie! to nasze dzieci,
Tam na północ. — Panie, Panie!
Takiż to los ich — wygnanie!
I dasz ich wszystkich wygubić za młodu,
I pokolenie nasze zatracisz do końca? —
Patrz — Ha! To dziecię uszło — rośnie — to obrońca!
Wskrzesiciel narodu!
Z matki obcej; krew jego dawne bohatery;
A imię jego będzie czterdzieści i cztery.

Panie! Czy przyjścia jego nie raczysz przyśpieszyć?
Lud mój pocieszyć? —
Nie! Lud wycierpi. — Widzę ten motłoch: tyrany,
Zbójce biegą — porwali — mój Naród związany,
Cała Europa wlecze, nad nim się urąga:
«Na trybunał!» Tam zgraja niewinnego wciąga.

Na trybunale gęby, bez serc, bez rąk: sędzie —
To jego sędzie!
Krzyczą: «Gal, Gal sądzić będzie!»
Gal w nim winy nie znalazł i — umywa ręce;
A króle krzyczą: «Potęp i wydaj go męce!
Krew jego spadnie na nas i na syny nasze.
Krzyżuj syna Marji, wypuść Barabasze!
Ukrzyżuj: on cesarza koronę znieważa;
Ukrzyżuj: bo powiemy, żeś ty wróg cesarza!»
Gal wydał: — Już porwali — już niewinne skronie,
Zakrwawione w szyderskiej, cierniowej koronie,
Podnieśli przed świat cały — i ludy się zbiegły —
Gal krzyczy: oto narod wolny, niepodległy!

Ach Panie! już widzę krzyż. — Ach, jak długo, długo
Musi go nosić. — Panie, zlituj się nad sługą:
Daj mu siły: bo w drodze upadnie i skona! —
Krzyż ma długie, na całą Europę ramiona,
Z trzech wyschłych ludów, jak z trzech twardych drzew ukuty —
Już wleką: już mój naród na tronie pokuty;
Rzekł: «pragnę» Rakuz octem, Borus żółcią poi;
A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.
Patrz! Oto żołdak Moskal z kopiją przyskoczył,
I krew niewinną mego narodu wytoczył —
Cóżeś zrobił najgłupszy, najsroższy z siepaczy? —
On jeden poprawi się — i Bóg mu przebaczy!

Mój kochanek! — Już głowę konającą spuścił,
Wołając: Panie! Panie! za coś mie opuścił —
On skonał! —

(Słychać chóry aniołów, daleki śpiew wielkanocnej pieśni. Nakoniec słychać «alleluja! alleluja!»)

Ku niebu, on ku niebu, ku niebu ulata!
I od stóp jego wionęła
Biała jak śnieg szata —
Spadła szeroko — cały świat się w nią obwinął —
Mój kochanek na niebie, z przed oczu nie zginął:

Jako trzy słońca błyszczą jego trzy źrenice,
I ludom pokazuje przebitą prawicę.
Któż ten Mąż? — To namiestnik na ziemskim padole!
Znałem go — gdy był dzieckiem — znałem:
Jak urosł duszą i ciałem!
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pachole.
Mąż straszny — ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła.
Jak baldachim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, osłania lice.
Podnożem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą, gdy on woła;
I słyszę z nieba głosy jak gromy:
To namiestnik wolności na ziemi widomy!
On to na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła!
Nad ludy i nad króle podniesiony —
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcej; krew jego, dawne bohatery:
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! sława! sława!

(Zasypia.)

ANIOŁOWIE, schodzą widomie.

Usnął. — Wyjmijmy z ciała duszę, jak dziecinę
Senną z kolebki złotej, i zmysłów sukienkę
Lekko zwleczmy; ubierzmy w światło jak jutrzenkę,
I lećmy. Jasną duszę nieśmy w niebo trzecie,
Ojcu naszemu złożyć na kolanach dziecię:
Niech uświęci sennego ojcowską pieszczotą;
A przed ranną modlitwą duszę wrócim życiu,
I znowu w czystych zmysłów otulim powiciu,
I znowu złożym w ciało, jak w kolebkę złotą.

SCENA VI.

Pokój sypialny wspaniały. SENATOR obraca się na łożu i wzdycha. Dwóch djabłów nad głową.

DJABEŁ PIERWSZY.

Spił się, a nie chce spać;
Muszę tak długo stać.
Łajdaku cicho leż!
Czy go tam kole jeż?

DJABEŁ DRUGI.

Syp mu na oczy mak.

DJABEŁ PIERWSZY.

Zasnął, wpadnę jak zwierz.

DJABEŁ DRUGI.

Jako na wróbla ptak.

OBADWAJ.

Duszę do piekła wlec,
Wężami smagać, piec.

BELZEBUB.

Wara!

DWAJ DJABŁY.

Cóż to za kmotr?

BELZEBUB.

Belzebub.

DWAJ DJABŁY.

No, i cóż?

BELZEBUB.

Zwierzyny mi nie płosz.

DJABEŁ PIERWSZY.

Ale gdy zaśnie łotr,
Do mnie należy sen?

BELZEBUB.

Jak ujrzy noc i żar,
Srogość i mnogość kar:
Zlęknie się naszych scen,
Przypomni jutro sen,
Może poprawić się;
Jeszcze daleko zgon.

DJABEŁ DRUGI, wyciągając szpony.

Pozwól zabawić się!
Co ty o niego drżysz?
Gdy poprawi się on,
Ja każę święcić się,
I wezmę w ręce krzyż.

BELZEBUB.

Jak zbyt nastraszysz raz,
Gotów przypomnieć sen,
Gotów oszukać nas —
Wypuścisz ptaka z rąk.

JABEŁ PIERWSZY, pokazując sennego.

Ależ braciszek ten,
Ten mój majmilszy syn,
Będźież on spał bez mąk? —
Nie chcesz? — ja męczę sam

BELZEBUB.

Łotrze, a znasz mój czyn?
Od Cara zwierzchność mam!

DJABEŁ PIERWSZY.

Pardon — cóż każesz Waść?

BELZEBUB.

Możesz na duszę wpaść,
Możesz ją w pychę wzdąć,
A potem w hańbę pchnąć;
Możesz w pogardzie wlec,
I szyderstwami siec:
Ale o piekle cyt!
My lećmy — fit, fit, fit.

(Odlatuje.)

DJABEŁ PIERWSZY.

Więc ja za duszę cap:
A ha, łajdaku, drżysz!

DJABEŁ DRUGI.

Tylko ją bierz do łap,
Lekko, jak kotek mysz.

WIDZENIE SENATORA.

SENATOR, przez sen.

Pismo! — to do mnie — reskrypt Jego Carskiej Mości!
Własnoręczny — ha! ha! ha! — rubli sto tysięcy.
Order! — Gdzie lokaj? Przypnij tu! — Tytuł książęcy!
A! a! — Wielki marszałku! — pękną z zazdrości! —

(Przewraca się.)

Do Cesarza! — Przedpokój: oni wszyscy stoją;
Nienawidzą mię wszyscy, kłaniają się, boją.
Marszałek, Grand Controleur — ledwie poznasz, w masce —
Ach, jakie lube szemrania,
Do koła lube szemrania:
Senator w łasce, w łasce, w łasce, w łasce —
Ach, niech umrę, niech umrę śród tego szemrania,
Jak śród nałożnic moich łoskotania! —
Każdy się kłania;
Jestem duszą zebrania —
Patrzą na mnie, zazdroszczą; nos w górę zadzieram.
O roskoszy! Umieram — z roskoszy umieram! —

(Przewraca się.)

Cesarz! — Jego Imperatorska Mość. — A! Cesarz wchodzi,
A! — Co? — Nie patrzy! Zmarszczył brwi, spojrzał ukosem? —
Ach, Najjaśniejszy Panie! Ach! — Nie mogę głosem —
Głos mi zamarł. — Ach! dreszcz, pot — ach! dreszcz ziębi, chłodzi
Ach, Marszałek — co? do mnie odwraca się tyłem,
Tyłem! A! senatory, dworskie urzędniki? —
Ach umieram, umarłem, pochowany, zgniłem,
I toczą mię robaki, szyderstwa, żarciki.
Uciekają odemnie. — Ha! jak pusto, głucho —
Szambelan szelma, szelma; patrz, wyszczerza zęby —
Brrr! ten uśmiech jak pająk, wleciał mi do gęby.

(Spluwa.)

Jaki dźwięk! — To kalembur. — O brzydka mucho!

(Opędza koło nosa.)

Lata mi koło nosa,
Jak osa.
I epigramy, żarciki, przytyki,

Te szmery. — Ach, to świerszcze wlazły mi w ucho;
Moje ucho, moje ucho!
(Wytrząsa palcem ucho.)
Jaki szmer! Kamerjunkry świszczą jak puszczyki,
Damy ogonem skrzeczą jak grzechotniki;
Jaki okropny szmer! śmiechy! wrzaski:
Senator wypadł z łaski, z łaski, z łaski, z łaski!
(Pada z łóżka na ziemię.)

DJABŁY, zstępują widomie.

Teraz duszę ze zmysłów wydrzem, jak z okucia
Psa złego. Lecz nie całkiem, nałożym kaganiec:
Na wpół zostawim w ciele, by nie tracił czucia;
Drugą połowę wleczmy aż na świata kraniec,
Gdzie się doczesność kończy, a wieczność zaczyna,
Gdzie z sumieniem graniczy piekielna kraina;
I złe psisko uwiążem tam na pograniczu:
Tam pracuj ręko moja, tam świstaj, mój biczu.
Nim trzeci kur zapieje, musim z tej męczarni
Wrócić zmordowanego, skalanego ducha,
Znowu przykuć do zmysłów, jako do łańcucha,
I znowu w ciele zamknąć, jako w brudnej psiarni.

SCENA VII.

SALON WARSZAWSKI.

Kilku wielkich urzędników, kilku wielkich literatów, kilka dam wielkiego tonu, kilku jenerałów i sztabsoficerów: wszyscy incognito piją herbatę przy stoliku. Bliżej drzwi kilku młodych ludzi i dwóch starych Polaków. Stojący rozmawiają z żywością. Towarzystwo stolikowe mówi po francusku, przy drzwiach po polsku.

(Przy drzwiach.)

ZENON NIEMOJOWSKI, do Adolfa.

To i u was na Litwie toż samo się dzieje?

ADOLF.

Ach, u nas gorzej jeszcze, u nas krew się leje!

NIEMOJOWSKI.

Krew?

ADOLF.

Nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata,
Nie od miecza, lecz tylko od pałki i bata.

(Rozmawiają ciszej.)

Przy stoliku.

HRABIA.

To bal był taki świetny, i wojskowych wiele?

FRANCUZ.

Ja słyszałem, że było pusto jak w kościele.

DAMA.

Owszem, pełno —

HRABIA.

I świetny?

DAMA.

O tem mówić długo.

KAMMERJUNKER.

Służono najniezgrabniej, choć z liczną usługą;
Nie miałem szklanki wina, ułamku pasztetu:
Tak zawalono całe wejście do bufetu.

DAMA PIERWSZA.

W sali tańców zgoła nic nie ugrupowano,
Jak na raucie angielskim po nogach deptano.

DAMA DRUGA.

Bo to był tylko jeden z prywatnych wieczorów.

SZAMBELAN.

Przepraszam, bal proszony — mam dotąd bilety.

(Wyjmuje zaprosiny i pokazuje; wszyscy przekonanywają się.)

DAMA PIERWSZA.

Tem gorzej; pomięszano grupy, toalety,
Nie można było zgoła ocenić ubiorów.

DAMA DRUGA.

Odtąd jak Nowosilców wyjechał z Warszawy,
Nikt nie umie gustownie urządzić zabawy;
Nie widziałam pięknego balu ani razu:
On umiał ugrupować bal nakształt obrazu.

(Słychać między mężczyznami śmiech.)

DAMA PIERWSZA.

Śmiejcie się Państwo, mówcie co się wam podoba;
A była to potrzebna w Warszawie osoba.

Przy drzwiach.

JEDEN Z MŁODYCH.

Cichowski uwolniony! —

ADOLF.

Ja znam Cichowskiego.
Właśnie byłem, chciałem się dowiedzieć od niego,
Żeby między naszymi na Litwie rozgłosić.

ZENON NIEMOJOWSKI.

My powinniśmy z sobą łączyć się i znosić:
Inaczej, rozdzieleni, wszyscy zginiem marnie.

(Gadają ciszej.)

MŁODA DAMA, przy nich stojąca.

A jakie on okropne wycierpiał męczarnie!

(Rozmawiają.)

Przy stoliku.

JENERAŁ, do literata.

Ale przeczytaj wreszcie — dajże się uprosić:

LITERAT.

Ja nie umiem na pamięć.

JENERAŁ.

Zwykłeś z sobą nosić.
Masz przy sobie pod frakiem — a — widzę okładki;
Damy chcą słyszeć.

LITERAT.

Damy? — a! to literatki!
Więcej wierszy francuskich na pamięć umieją,
Niśli ja.

JENERAŁ, idzie mówić z damami.

Tylko niechaj Panie się nie śmieją.

DAMA.

Macie robić lekturę? — przepraszam — choć umiem
Po polsku, ale polskich wierszy nie rozumiem.

JENERAŁ, do oficera.

Ma racyą po części, bo nudne po trochu.

(Pokazuje na literata.)

Opiewa tysiąc wierszy o sadzeniu grochu.

(Do literata.)

Czytajże. Jeśli ciebie nie będziem słuchali,
To patrz —

(Pokazując na drugiego literata.)

Ten nam gazeciarz swe rymy wypali:
Śliczna byłaby wszystkim słuchaczom przysługa.
Patrz, jak się on zaprasza, jak śmieje się, mruga,
I usta już otworzył jak zdechłą ostrygę,
I oko zwrócił wielkie i słodkie jak figę.

LITERAT, do siebie.

Wychodzą —

(Do Jenerała.)

Długie wiersze, jabym piersi strudził.

JENERAŁ, do oficera.

Dobrze, że nie chce czytać; bo by nas zanudził.

MŁODA DAMA.

(Oddzielając się od grupy młodszej ode drzwi do stolika.)

A to jest rzecz okropna! — Słuchajcie Panowie!

(Do Adolfa.)

Niechaj Pan tym Ichmościom o Cichowskim powie.[1]

OFICER WYŻSZY.

Cichowski wypuszczony?

HRABIA.

Przesiedział lat tyle
W więzieniu —

SZAMBELAN.

Ja myśliłem, że leżał w mogile.

(Do siebie.)

O takich rzeczach słuchać, nie bardzo bespiecznie.
A wyjść w środku powieści, byłoby niegrzecznie.

(Wychodzi.)

HRABIA.

Wypuszczony? — to dziwna.

ADOLF.

Nie znaleźli winy.

MISTRZ CEREMONJI.

Któż tu mówi o winach? Są inne przyczyny —
Kto długo był w więzieniu, widział, słyszał wiele
A rząd ma swe widoki, ma głębokie cele,
Które musi ukrywać. — To jest rzecz rządowa —
Tajniki polityczne — myśl gabinetowa.

[1] W rękopisie, w miejscu Cichowskiego wszędzie Machnicki.
P. W.

To się tak wszędzie dzieje — są tajniki stanu —
Ale Pan z Litwy — a! a! — to jest dziwno Panu.
Panowie na wsi, to tak chcecie o cesarstwie
Wiedzieć wszystko, jak gdyby o swem gospodarstwie.

(Uśmiecha się.)

KAMMERJUNKER.

Pan z Litwy, i po polsku? — Nie pojmuję wcale —
Ja myślałem, że w Litwie, to wszystko Moskale.
O Litwie, dalibóg! że mniej wiem, niż o Chinach:
Constitutionel coś raz pisał o Litwinach;
Ale w innych gazetach francuskich ni słowa.

PANNA, do Adolfa.

Niech Pan opowie: to rzecz ważna, narodowa.

STARY POLAK.

Znałem starych Cichowskich: uczciwa rodzina;
Oni są z Galicyi. Słyszałem, że syna
Wzięli i zamorzyli: mój krewny daleki!
Nie widziałem go dawno. — O ludzie! o wieki!
Trzy pokolenia przeszły, jak nas przemoc dręczy;
Męczyła ojców naszych — dzieci wnuków męczy!

ADOLF.[1]

(Wszyscy zbliżają się i słuchają.)

Znałem go będąc dzieckiem. Był on wtenczas młody,
Żywy, dowcipny, wesół, i sławny z urody;
Był duszą towarzystwa; gdzie się tylko zjawił,
Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił;
Lubił dzieci i często brał mię na kolana,
U dzieci miał on tytuł wesołego pana.
Pamiętam włosy jego: nie raz ręce moje
Plątałem w jasnych włosów kędzierzawe zwoje;

[1] W rękopisie

ADOLF JANUSZKIEWICZ.

Mój ojciec, chociaż z Litwy, ma tu kawał ziemi:
Bywałem tu, i znam się dobrze z Machnickiemi.

STARY POLAK.

Powiedz Pan, jeżeli Machnickiego znalezł:
Gdzie jest? Co się z nim stało? — Czy Pan go widziałeś?

ADOLF JANUSZKIEWICZ.

Znalem go — i t. d. P. W.

Wzrok pamiętam: musiał być wesoły, niewinny,
Bo kiedy patrzył na nas, zdawał się dziecinny;
I patrząc na nas, wabił nas do swej źrenicy —
Patrząc nań, myśleliśmy, żeśmy rówiennicy.
On wtenczas miał się żenić: pomnę, że przynosił
Dzieciom dary swej przyszłej i na ślub nas prosił.
Potem długo nie przyszedł, i mówiono w domu,
Że nie wiedzieć gdzie zniknął, umknął pokryjomu,
Szuka rząd, ale śladu dotąd nie wytropił;
Nakoniec powiedziano, zabił się, utopił.
Policya dowodem stwierdziła domysły:
Znaleziono płaszcz jego nad brzegami Wisły.
Przyniesiono płaszcz żonie; poznała: on zginął;
Trupa nie znaleziono — i tak rok przeminął.
Dlaczegóż on się zabił? Pytano, badano,
Żałowano, płakano: wreszcie — zapomniano.
I minęło dwa lata. — Jednego wieczora,
Więźniów do Belwederu wiedziono z klasztora.
Wieczór ciemny i dżdżysty; nie wiem, czy przypadkiem,
Czy umyślnie ktoś był tej processyi świadkiem:
Może jeden z odważnych Warszawskich młodzieńców,
Którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców.
Warty stały w ulicach, głucho było w mieście —
Wtem, ktoś z za mury krzyknął! więźnie, kto jesteście?
Sto ozwało się imion: śród nich dosłyszano
Jego imię, i żonie nazajutrz znać dano.
Pisała i latała, prosiła, błagała:
Lecz prócz tego imienia nic nie posłyszała.
I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści,
Lecz nie wiedzieć kto szerzył w Warszawie powieści,
Że on żyje, że męczą, że przyznać się wzbrania,
I że dotąd nie złożył żadnego wyznania;
Że mu przez wiele nocy spać nie dozwalano,
Że karmiono śledziami i pić nie dawano;
Że pojono opium, nasyłano strachy,
Larwy; że łaskotano w podeszwy, pod pachy —
Lecz wkrótce innych wzięto, o innych zaczęli
Mówić: żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno, przed domem żony, w nocy dzwonią.
Otworzono: oficer i żandarm pod bronią,
I więzień — on! — Każą dać pióra i papieru;
Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu.
Wzięli podpis, i palcem pogroziwszy: «jeśli
Wydasz —» i nie skończyli; jak weszli, odeszli.
To on był. — Biegę widzieć; przyjaciel ostrzega;
Nie idź dzisiaj, bo spotkasz pod wrotami szpiega.
Idę nazajutrz: w progu policyjskie draby;
Idę w tydzień: on sam mię nie przyjmuje — słaby.

Aż niedawno za miastem w pojeździe spotkałem —
Powiedziano, że to on: bo go nie poznałem.
Utył, ale to była okropna otyłość:
Wydęła go zła strawa i powietrza zgniłość;
Policzki mu nabrzmiały, pożółkły i zbladły,
W czole zmarszczki pół wieka, włosy wszystkie spadły.
Witam: on mnie nie poznał, nie chciał mówić do mnie;
Mówię kto jestem: patrzy na mnie bezprzytomnie.
Gdym dawnej znajomości szczegóły powiadał,
Wtenczas on oczy we mnie utopił i badał —
Ach! Wszystko co przecierpiał w swych męczarniach dziennych,
I wszystko co przemyślił w swych nocach bezsennych:
Wszystko poznałem w jednej chwili z jego oka! —
Bo na tem oku była straszliwa powłoka;
Źrenice miał podobne do kawałków szklannych,
Które zostają w oknach więzień kratowanych,
Których barwa jest szara jak tkanka pajęcza,
A które patrząc z boku, świecą się jak tęcza:
I widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy,
Ale ich okiem na wskroś przebić nie zdołamy;
Straciły przezroczytość, lecz widać po wierzchu,
Że leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierzchu —

W miesiąc poszedłem znowu; myśliłem, że zdoła
Rospatrzyć się na świecie i pamięć przywoła.
Lecz tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą,
Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą,

Tyle lat go badały mękami tyrany,
Tyle lat otaczały słuch mające ściany,
A całą jego było obroną — milczenie,
A całem jego były towarzystwem — cienie:
Że już się nie udało wesołemu miastu
Zgładzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu.
Słońce zda mu się szpiegem, dzień donosicielem,
Domowi jego strażą, gość nieprzyjacielem.
Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić,
No klamki trzask on myśli zaraz: idą śledzić;
Odwraca się i głowę na ręku opiera.
Zdaje się, że przytomność, moc umysłu zbiera,
Ścina usta, by słowa same nie wypadły,
Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co nie zgadły.
Pytany, myśląc zawsze, że jest w swem więzieniu,
Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu,
Krzycząc zawsze dwa słowa: «nic nie wiem, nie powiem.»
I te dwa słowa jego stały się przysłowiem.
I długo przed nim płacze na kolanach żona
I dziecko, nim on bojaźń i wstręt swój pokona.

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie:
Myślałem! że on ją nam najlepiej opowie,
Wyda na jaw z pod ziemi i z pod straży zbirów,
Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów.
Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach:
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach —
I cóż on na pytanie moje odpowiedział?
Że o swoich cierpieniach sam już nic nie wiedział,
Nie pomniał!! Jego pamięć zapisana cała,
Jak księga herkulańska pod ziemią spruchniała:
Sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać.
Rzekł tylko: będę o to Pana Boga pytać,
On to wszystko zapisał, wszystko mi opowie —

(Adolf łzy ociera. — Długie milczenie.)

DAMA MŁODA, do literata.

Czemu to o tem pisać nie chcecie panowie?

HRABIA.

Niech to stary Niemcewicz w Pamiętniki wsadzi;
On tam, słyszałem, różne szpargały gromadzi

LITERAT PIERWSZY.

To historya!

LITERAT DRUGI.

Straszna!

KAMMERJUNKER.

Dalibóg, wyśmienita.

LITERAT TRZECI.

Takich dziejów słuchają, lecz kto je przeczyta?
I proszę, jak opiewać spółczesne wypadki?
Zamiast mitologii, są naoczne świadki —
Potem, jest to wyraźny, święty przepis sztuki:
Że należy poetom czekać — aż — aż —

JEDEN Z MŁODZIEŻY.

Póki? —
Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży,
Jak figa ucukruje, jak tytuń uleży?

LITERAT PIERWSZY.

Nie ma wyraźnych reguł.

LITERAT DRUGI.

Ze sto lat.

LITERAT PIERWSZY.

To mało.

LITERAT TRZECI.

Tysiąc, parę tysięcy —

LITERAT CZWARTY.

A mnie by się zdało,
Że to wcale nie szkodzi, że przedmiot jest nowy:
Szkoda tylko, że nie jest polski, narodowy.
Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;
Śpiewać, naprzykład, wiejskich chłopców zalecanki,
Trzody, cienie — Sławianie, my lubim sielanki.

LITERAT PIERWSZY.

Spodziewam się, że Panu przez myśl nie przejedzie,
Powieść napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie.

Ja mówię, że poezji nie ma bez poloru,
A polor być nie może, tam gdzie nie ma dworu.
Dwór to sądzi o smaku, piękności i sławie:
Ach ginie Polska! dworu nie mamy w Warszawie!

MISTRZ CEREMONJI.

Nie ma dworu! — no, to mię dziwi niepomału.
Przecież ja jestem mistrzem ceremoniału.

HRABIA, cicho do Mistrza.

Gdybyś namiestnikowi wyrzekł za mną słówko,
Moja żona byłaby pierwszą pokojówką.

(Głośno.)

Ale próżno, nie dla nas wysokie urzędy!
Arystokracja tylko ma u dworu względy.

DRUGI HRABIA, niedawno kreowany z mieszczan.

Arystokracja zawsze swobód jest podporą,
Niech Państwo przykład z Wielkiej Brytanii biorą.

(Zaczyna się kłótnia polityczna. Młodzież wychodzi. Za drzwiami.)

PIERWSZY Z MŁODYCH.

A łotry! O, to kija!

A*** G.

O to stryczka, haku!
Ja bym im dwór pokazał, nauczyłbym smaku.

N***.

Patrzcie, cóż my tu poczniem, patrzcie przyjaciele:
Otóż to jacy stoją na narodu czele!

WYSOCKI.

Powiedz raczej: na wierzchu. Nasz naród jak lawa;
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa;
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,
Plwajmy na tę skorupę, i zstąpmy do głębi!

(Odchodzą.)

SCENA VIII.

W Wilnie. Sala przedpokojowa. Na prawo drzwi do komissji śledczej, gdzie prowadzą więźniów i widać ogromne pliki papierów; w głębi drzwi do pokojów Senatora, gdzie słychać muzykę. Czas po obiedzie. U okna siedzi sekretarz nad papierami; dalej nieco na lewo stolik, gdzie grają w wista. Nowosilców pije kawę; koło niego szambelan Bajków, Pelikan i jeden doktor. U drzwi warta i kilku lokajów nieruchomych.

SENATOR, do szambelana.

Diable quelle corvée! przecież po obiedzie! —
La princesse nas zwiodła i dziś nie przyjedzie;
Zresztą, en fait des dames, stare, albo głupie:
Gadać, imaginez-vous, o sprawach przy zupie!
Je jure, tych patryotków nie mieć à ma table,
Avec leur franc parler et leur ton détestable.
Figurez vous, ja gadam o strojach, kasynie:
A moja kompania o ojcu, o synie —
«On stary, on zbyt młody, Panie senatorze;
On kozy znieść nie może, Panie senatorze;
On prosi spowiednika, on chce widzieć żonę;
On —» que sais-je! Piękny dyskurs w obiady proszone.
Il y a de quoi oszaleć! Muszę skończyć sprawę,
I uciec z tego Wilna w kochaną Warszawę.
Monseigneur mi napisał de revenir bientôt;
On się bezemnie nudzi, a ja z tą hołotą
Je n'en puis plus —

DOKTOR, podchodząc.

Mówiłem właśnie Jaśnie Panie,
Że ledwie rzecz zaczęta, i sprawa w tym stanie,
W jakim jest chory, kiedy lekarz go nawiedzi
I zrobi anagnosin. — Mnóstwa uczniów siedzi;
Tyle było śledzenia, żadnego dowodu:
Jeszcześmy nie trafili w samo jądro wrzodu.
Cóż odkryto? wierszyki! Ce sont de maux légers,
Ce sont, można powiedzieć, accidens passagers:
Ale osnowa spisku dotąd jest tajemną,
I —

SENATOR, z urazą.

Tajemną? — To widzę panu w oczach ciemno!
I nie dziw, po obiedzie. — Więc signor Dottore,
Adio, bona notte — dzięki za perorę!
Tajemną! — Sam śledziłem i ma być tajemną?
I vous osez, docteur, mówić tak przedemną? —
Któż kiedy widział u nas formalniejsze śledztwa?

(Pokazuje papiery.)

Wyznania dobrowolne, skargi i świadectwa:
Wszystko jest; i tu cały spisek świętokradzki,
Stoi spisany jasno, jak ukaz senacki.
Tajemną! — Za te nudy, owóż co mam w zysku.

DOKTOR.

Jaśnie Panie, excusez, któż wątpi o spisku!
Właśnie mówię, że —

LOKAJ.

Człowiek kupca Kanissyna
Czeka, i jakiś Panu rejestr przypomina.

SENATOR.

Rejestr? — jaki tam rejestr? kto?

LOKAJ.

Kupiec Kanissyn,
Co mu Pan przyjść rozkazał —

SENATOR.

Idź-że precz sukinsyn!
Widzisz, że ja zajęty.

DOKTOR, do lokajów.

A głupie bestye,
Przychodzić? — Pan senator, widzisz, kawę pije.

SEKRETARZ, wstając od stoliku.

On powiada, że jeśli Pan zapłatę zwleka,
On zrobi proces.

SENATOR.

Napisz grzecznie; niechaj czeka.

(Zamyśla się.)

A propos — ten Kanissyn, trzeba mu wziąść syna
Pod śledztwo. — Oj, to ptaszek!

SEKRETARZ.

To mały chłopczyna.

SENATOR.

Oni to wszyscy mali: ale patrz w ich serce —
Najlepiej ogień zgasić, dopóki w iskierce.

SEKRETARZ.

Syn Kanissyna w Moskwie.

SENATOR.

W Moskwie? A, voyez vous,
Emissaryusz klubów! — Czas zabieżeć temu,
Wielki czas.

SEKRETARZ.

On podobno u kadetów służy.

SENATOR.

U kadetów? — Voyez vous: on tam wojsko burzy.

SEKRETARZ.

Dzieckiem z Wilna wyjechał.

SENATOR.

Oh! cet incendiaire,
Ma tu korespondentów.

(Do sekretarza.)

Ce n'est pas ton affaire,
Rozumiesz! — Hej, dežurny! We dwadzieścia cztery
Godzin, wysłać kibitkę i zabrać papiery.
A zresztą ojciec lękać się nie ma przyczyny,
Jeśli syn dobrowolnie przyzna się do winy.

DOKTOR.

Właśnie jak miałem honor mówić Jaśnie Panu,
Są tam ludzie różnego i wieku i stanu:
To najniebespieczniejsze jest spisku symptoma,
A wszystkiem rusza pewna sprężyna kryjoma,
Którą —

SENATOR, z urazą.

Kryjoma?

DOKTOR.

Mówię, tajemnie skrywana,
Odkryta dzięki przezorności Jaśnie Pana —

(Senator odwraca się. Do siebie.)

To szatan niecierpliwy; z tym człowiekiem bieda!
Mam tyle ważnych rzeczy: wymówić mi nie da.

PELIKAN, do senatora.

Co Pan senator każe z Rollisonem robić?

SENATOR.

Jakim?

PELIKAN.

Co na śledztwie musiano go obić.

SENATOR.

Eh bien?

PELIKAN

On zarochował.

SENATOR

Wieleż kijów dano?

PELIKAN.

Byłem przy śledztwie, ale tam nie rachowano.
Pan Botwinko śledził go.

BAJKOW.

Pan Botwinko! ha, ha!
O, nie prędko on kończy, gdy się raz rozmacha:
Ja zaręczam, że on go opatrzył nieszpetnie —
Parions, że mu wyliczył najmniej ze trzy setnie.

SENATOR, zadziwiony.

Trois cents coups, et vivant! Trois cents coups, le coquin:
Trois cents coups, sans mourir? — quel dos jacobin!
Myślałem, że w Rosji la vertu cutanée
Surpasse tout: ten łotr ma une peau mieux tannée!
Je n'y conçois rien! Ha, ha, ha, mon ami,

(Do grającego w wista, który czeka na swego kompana.)

Polaki nam odbiorą nasz handel skórami!
Un honnête soldat en serait mort dix fois!
Quel rebelle! —

(Podchodzi do stolika.)

Dla Pana mam un homme de bois:
Chłopiec drewniany; dał mu sam Botwinko kije.
Trzysta kijów dziecięciu — figurez-vous? — żyje! —

(Do Pelikana.)

Nic nie wyznał?

PELIKAN.

Prawie nic. Zęby tylko zaciął;
Krzyczy, że nie chce skarżyć niewinnych przyjaciół.

Ale z tych kilku słówek odkrywa się wiele:
Widać, że ci uczniowie — jego przyjaciele.

SENATOR.

C'est juste. Jaki upór!

DOKTOR.

Właśnie powiadałem
Jaśnie Panu, że młodzież zarażają szałem,
Ucząc ich głupstw: naprzykład starożytne dzieje! —
Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje?

SENATOR, wesoło.

Vous n'aimez pas l'histoire? — Ha! ha, un satirique
Aurait dit, że boisz się devenir historique.

DOKTOR.

I owszem, uczyć dziejów: niech się młodzież dowie
Co robili królowie, wielcy ministrowie —

SENATOR.

C'est juste.

DOKTOR, ucieszony.

Właśnie mówię, widzi Pan Dobrodziej,
Że jest sposób wykładać dzieje i dla młodzi:
Lecz po co zawsze prawić o republikanach,
Zawsze o Ateńczych, Spartanach, Rzymianach? —

PELIKAN, do jednego ze swych towarzyszów, pokazując doktora.

Patrz, patrz, jak za nim łazi pochlebca przeklęty.
I wścibi mu się w łaskę. — Co to za wykręty! —
(Podchodzi do doktora.)
Ale cóż o tem mówić, czy to teraz pora?
Zważ no, czy można nudzić Pana senatora?

LOKAJ, do senatora.

Czy Pan rozkaże wspuścić te panie — kobiety —
Pan wie — co wysiadują tu co dzień z karety —
Jedna ślepa, a druga —

SENATOR.

Ślepa, Któż to ona?

LOKAJ.

Pani Rollison.

PELIKAN.

Matka tego Rollisona.

LOKAJ.

Co dzień tu są.

SENATOR.

Odprawić było —

DOKTOR.

Z Panem Bogiem!

LOKAJ.

Odprawiamy: lecz siada i skwierczy pod progiem.
Kazaliśmy brać w areszt: ze ślepą kobietą
Trudno iść; lud się skupił, żołnierza wybito —
Czy mam wpuścić?

SENATOR.

E! rady sobie dać nie umiesz! —
Wpuścić; tylko aż do pół schodów — czy rozumiesz? —
A potem ją sprowadzić — aż w dół: o tak (z giestem) tęgo,
Żeby nas nie nudziła więcej swą włóczęgą. .

(Drugi lokaj wschodzi i oddaje list Bajkowowi.)

No, czegóż stoisz, pójdź-że —

BAJKOW.

Elle porte une lettre.

(Oddaje list.)

SENATOR.

Któżby to za nią pisał?

BAJKOW.

La princesse peut-être —

SENATOR, czyta.

Księżna! — Skąd jej to przyszło? Na kark mi ją wpycha.
Avec quelle chaleur! — Wpuścić ją do licha!

(Wschodzą dwie damy i Ksiądz Piotr.)

PELIKAN, do Bajkowa.

To stara czarownica, mère de ce fripon.

SENATOR, grzecznie.

Witam, witam! Któraż z Pań jest Pani Rollison?

P. ROLLISONOWA, z płaczem.

Ja. — Mój syn! — Panie Dobrodzieju —

SENATOR.

Proszę — chwilę:
Pani masz list; a po cóż przyszło tu Pań tyle?

DRUGA DAMA.

Nas dwie.

SENATOR, do drugiej.

I po cóż Panią mam tu honor witać?

DRUGA.

Pani Rollison trudno drogi się dopytać,
Nie widzi —

SENATOR.

Ha! nie widzi — a to wącha może?
Bo co dzień do mnie trafia.

DRUGA.

Ja tu ją przywożę.
Ona sama i stara i nie bardzo zdrowa.

P. ROLLISONOWA.

Na Boga! —

SENATOR.

Cicho.

(Do drugiej.)

Pani któż jesteś?

DRUGA.

Kmitowa.

SENATOR.

Lepiej siedź w domu i miej o synach staranie.
Jest na nich podejrzenie —

KMITOWA, blednąc.

Jakto, jakto? Panie!

(Senator śmieje się.)

P. ROLLISONOWA.

Panie! Litość! — Ja wdowa, Panie senatorze!
Słyszałam, że zabili. — Czyż można, mój Boże!
Moje dziecko! — Ksiądz mówi, że on jeszcze żyje:
Ale go biją, Panie! — Któż dzieci tak bije! —
Jego zbito — zlituj się — po katowsku zbito.

(Płacze.)

SENATOR.

Gdzie? kogo? — Gadaj przecie po ludzku, kobieto!

P. ROLLISONOWA.

Kogo? — Ach dziecko moje? Mój Panie — ja wdowa —
Ach, wielcż to lat, póki człek dziecko wychowa! —

Mój Jaś już drugich uczył: niech Pan wszystkich spyta,
Jak on uczył się dobrze. — Ja biedna kobieta!
On mię żywił ze swego szczupłego dochodu —
Ślepa, on był mi okiem. — Panie, umrę z głodu.

SENATOR.

Kto poplótł, że go bili, nie wyjdzie na sucho.
Kto mówił?

P. ROLLISONOWA.

Kto mi mówił? — Ja mam matki ucho.
Ja ślepa: teraz w uchu cała moja dusza,
Dusza matki. — Wiedli go wczoraj do ratusza:
Słyszałam —

SENATOR.

Wpuszczono ją? —

P. ROLLISONOWA.

Wypchnęli mię z progu,
I z bramy i z dziedzińca. Siadłam tam na rogu,
Pod murem — mury grube — przyłożyłam ucho —
Tam siedziałam od rana. W północ w mieście głucho:
Słucham — w północ, tam z mura — nie, nie zwodzę siebie,
Słyszałam go, słyszałem, jak Pan Bóg na niebie;
Ja głos jego słyszałam uszami własnemi —
Cichy, jakby z pod ziemi, jak ze środka ziemi —
I mój słuch wszedł w głąb' muru, daleko, głęboko;
Ach, dalej poszedł, niśli najbystrzejsze oko.
Słyszałam — męczono go! —

SENATOR.

Jak w gorączce bredzi!
Ale tam, moja Pani, wielu innych siedzi!

P. ROLLISONOWA.

Jakto? — Czyż to nie był głos mojego dziecięcia?
Niema owca pozna głos swojego jagnięcia
Śród najliczniejszej trzody. — Ach, to był głos taki! —
Ach, dobry Panie, żebyś słyszał raz głos taki,
Tobyś już nigdy w życiu spokojnie nie zasnął! —

SENATOR.

Syn Pani zdrów być musi, gdy tak głośno wrzasnął.

P. ROLLISONOWA, pada na kolana.

Jeśli masz ludzkie serce! —

(Otwierają się drzwi od sali. Słychać muzykę. Wbiega panna, ubrana jak na bal.)

PANNA.

Monsieur le sénateur —
Oh! je vous interromps. — On va chanter le choeur
De Don Juan, et puis le concerto de Herz —

SENATOR.

Herz! choeur! Tu także była mowa około serc —
Vous venez à propos, vous, belle comme un coeur!
Moment sentimental! il pleut ici des coeurs —

(Do Bajkowa.)

Żeby le grand-duc Michel ten kalambur wiedział,
Ma foi, to jużbym dawno w radzie państwa siedział —

(Do Panny.)

J'y suis — dans un moment.

P. ROLLISONOWA.

Panie, nie rzucaj nas
W rozpaczy! Ja nie puszczę —

(Chwyta za zuknię.)

PANNA.

Faites-lui donc grace!

SENATOR.

Diable m'emporte, jeśli wiem, czego chce ta jędza.

P. ROLLISONOWA.

Chcę widzieć syna.

SENATOR, z przyciskiem.

Cesarz nie pozwala.

KS. PIOTR.

Księdza!

PANI ROLLISONOWA.

Księdza przynajmniej poszlij: syn mój prosi księdza,
Może kona! — Gdy ciebie płacz matki nie wzruszy:
Bój się Boga! Dręcz ciało, ale nie gub duszy!

SENATOR.

C'est drole! Kto te po mieście wszystkie plotki nosi!
Kto Waćpani powiedział, że on księdza prosi?

P. ROLLISONOWA, pokazując Księdza Piotra.

Ten ksiądz poczciwy mówił. On tygodni tyle
Biega, błaga; lecz nie chcą wpuścić i na chwilę.
Spytaj księdza, on powie —

SENATOR, patrząc bystro na księdza.

To on wie? — poczciwy —
No zgoda, zgoda — dobrze. — Cesarz sprawiedliwy:
Cesarz księży nie wzbrania; owszem sam posyła,
Aby do moralności młodzież powróciła.
Nikt jak ja religii nie ceni, nie lubi —

(Wzdycha.)

Ach, ach! Brak moralności, to, to młodzież gubi! —
Eh bien, żegnam więc Panie.

P. ROLLISONOWA, do Panny.

Ach, panienko droga!
Wstaw się ty jeszcze za mną, ach, na rany Boga!
Mój syn mały! — rok siedzi o chlebie i wodzie,
W zimnem, zimnem więzieniu, bez odzieży, w chłodzie —

PANNA.

Est-il possible? —

SENATOR, w ambarasie.

Jak to, jak to? on rok siedział?
Jakto? Imaginez-vous — jam o tem nie wiedział!

(Do Pelikana.)

Słuchaj, trzeba tę sprawę najpierwej rozpatrzyć:
Jeśli to prawda, uszy komisarzom natrzeć.

(Do Rollisonowej.)

Soyez tranquille, i przyjdź tu o siódmej godzinie.

P. KMITOWA.

Nie płacz tak. Pan Senator nie wie o twym synie;
Jak się dowie, obaczysz, może oswobodzi.

P. ROLLISONOWA, uradowana.

Nie wie? — chce wiedzieć? — O niech mu Pan Bóg nagrodzi,
Ja to zawsze mówiłam ludziom: być nie może,
Tak okrutny jak mówią on stworzenie boże,
On człowiek, jego matka mlekiem wykarmiła —
Ludzie śmieli się: widzisz, jam prawdę mówiła.

(Do Senatora.)

Tyś nie wiedział! — Te łotry wszystko tobie tają.

Wierz mi, Panie, tyś łotrów otoczony zgrają!
Nie ich pytaj, nas pytaj: my wszystko powiemy,
Całą prawdę —

SENATOR, śmiejąc się.

No, dobrze, o tem pomówiemy;
Dziś nie mam czasu, adieu. — Księżnej powiedz Pani,
Że co można, to wszystko każę zrobić dla niej.

(Grzecznie.)

Adieu Madame Kmite, adieu — co mogę to zrobię.

(Do księdza Piotra.)

Waść księże zostań; parę słów mam szepnąć tobie.

(Do Panny.)

J'y suis dans un moment.

(Wszyscy odchodzą prócz dawnych osób.)

SENATOR, po pauzie do lokajów.

A, szelmy! łajdaki!
Łotry! Stoicie przy drzwiach — i porządek taki? —
Skórę wam zedrę szelmy, służby was nauczę:

(Do jednego lokaja.)

Słuchaj — ty idź za babą —

(Do Pelikana.)

Nie, Panu poruczę:
Skoro wyjdzie od Księżnej, daj jej pozwolenie
Widzieć syna i prowadź aż tam — tam, w więzienie
Potem osobno zamknij — tak, na cztery klucze —
C'en est trop. — A łajdaki! służby was nauczę!

(Rzuca się na krzesło.)

LOKAJ, ze drżeniem.

Pan kazał wpuścić —

SENATOR, schwytując się.

A? co? — Ty śmiesz, ty! mnie gadać? —
Toś wyuczył się w Polsce panu odpowiadać? —
Stój, stój, ja cię oduczę! — Wieść go do kwatery
Policmajstra — sto kijów i tygodni cztery
Na chleb i wodę —

PELIKAN.

Niech Pan Senator uważy,
Iż mimo tajemnicy i czujności straży,
O biciu Rollisona, niechętne osoby
Wieść roznoszą i może wynajdą sposoby,

Oczernić przed cesarzem nasze czyste chęci,
Jeśli się temu śledztwu prędko łeb nie skręci.

DOKTOR.

Właśnie ja rozmyślałem nad tem Jaśnie Panie —
Rollison od dni wielu cierpi pomieszanie;
Chce sobie życie odjąć, do okien się rzuca,
A okna są zamknięte —

PELIKAN.

On chory na płuca;
Nie należy w zamknionem powietrzu go morzyć —
Rozkażę mu więc okna natychmiast otworzyć —
Mieszka na trzeciem piętrze — powietrza użyje —

SENATOR, roztargniony.

Wpuszczać mi na kark babę, gdy ja kawę piję! —
Nie dadzą chwili —

DOKTOR.

Właśnie mówię, Jaśnie Panie,
Że potrzeba mieć większe o zdrowiu staranie.
Po obiedzie, mówiłem zawsze, niechaj Pan te
Sprawy odłoży na czas. — Ça mine la santé.

SENATOR, spokojnie.

Eh mon docteur, przed wszystkiem służba i porządek! —
Potem, to owszem dobrze na słaby żołądek;
To żółć porusza, a żółć fait la digestion.
Po obiedzie, ja mógłbym voir donner la question,
Kiedy tak każe służba. — En prenant son café,
Wiesz co, to chwila właśnie widzieć auto-da-fé —

PELIKAN, odpychając doktora.

Jakże Pan z Rollisonem każe decydować?
Jeżeli on dziś jeszcze — umrze, to? —

SENATOR.

Pochować!
I pozwalam, jeżeli zechcesz, balsamować —
A propose balsamu; Bajkow! tobie by się zdało
Trochę balsamu; bo masz takie trupie ciało,
A żenisz się. Czy wiecie? On ma narzeczonę —

(Drzwi z lewej strony odmykają się. Lokaj wchodzi. Senator pokazując drzwi:)

Tę panienkę, tam, patrzaj, białą i czerwoną —

Fi! pan młody, avec un teint si délabré!
Powinienbyś brać ślub twój, jak Tiber, à Capré.
Nie pojmuję, jak oni mogli pannę zmusić,
Pięknemi usteczkami słowo tak wykrztusić.

BAJKOW.

Zmusić? — Parions, że ja z nią za rok się rozwiodę,
I potem co rok będę brał żoneczki młode,
Bez przymusu. Dość spojrzeć na tę lub na ową:
C'est beau małej szlachciance być jenerałową.
Spytaj księdza, jeżeli zapłacze przy ślubie.

SENATOR.

A propos księdza —

(Do Księdza.)

Pójdźno mój czarny Cherubie!
Patrzcie, quelle figure! — On ma l'air d'un poëte —
Czy ty widziałeś kiedy un regard aussi bête?
Potrzeba go ożywić. — Masz rumu kieliszek.

KS. PIOTR..

Nie piję.

SENATOR.

No kapłanie, pij!

KS. PIOTR.

Jestem braciszek.

SENATOR.

Braciszek czy stryjaszek, skądże to Waszeci
Wiedzieć, co po więzieniach robią cudze dzieci?
Czy to Waszeć chodziłeś z wieściami do matki?

KS. PIOTR.

Ja.

SENATOR, do Sekretarza.

Zapisz to wyznanie — a oto są świadki.

(Do Księdza.)

A skądżeś o tem wiedział; he? — Ptaszek nie lada!
Spostrzegł się, że notują i nie odpowiada —
W jakim klasztorze bractwo twe?

KS. PIOTR.

U Bernardynów.

SENATOR.

A u Dominikanów pewnie masz kuzynów?

Bo u Dominikanów ten Rollison siedział.
No, gadajże: skąd ty wiesz, kto ci to powiedział?
Słyszysz! Ja tobie każę. — Nie szepcz mi po cichu.
Ja w imieniu cesarza każę: słyszysz, mnichu?
Mnichu! Czy ty słyszałeś o ruskim batogu? —

(Do Sekretarza.)

Zapisz, że milczał.

(Do Księdza.)

Wszak ty służysz Panu Bogu —
Znasz ty teologię? — Słuchaj teologu:
Wiesz ty, że wszelka władza od Boga pochodzi?
Gdy władza każe mówić, milczeć się nie godzi.

(Ksiądz milczy.)

A czy wiesz mnichu, że ja mógłbym cię powiesić,
I obaczym, czy przeor potrafi cię wskrzesić.

KS. PIOTR.

Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha:
Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha.

SENATOR.

Jeżeli cię powieszę a cesarz się dowie,
Żem zrobił nieformalnie: a wiesz co on powie?
«Ej senatorze, widzę, że się już ty bisisz.»
A ty mnichu tym czasem jak wisisz tak wisisz! —
Pójdź-no bliżej, ostatni raz będę cię badał:
Wyznaj, kto tobie o tem biciu rozpowiadał?
He? — Milczysz? — Już od Boga ty się nie dowiedział —
Któż mówił! — Co? — Bóg? — anioł? — djabeł?

KS. PIOTR.

Tyś powiedział.

SENATOR, obruszony.

Tyś! — mnie mówić tyś? — tyś — ha! mnich!

DOKTOR.

Ha, kapcanie!
Mówi się Panu, Jaśnie Oświecony Panie,

(Do Pelikana.)

Naucz go tam, jak mówić. Ten mnich widzę z chleba
Daj mu tak —

(Pokazuje ręką.)

PELIKAN, daje księdzu policzek.

Widzisz ośle, senator się gniewa!

KSIĄDZ, do doktora.

Panie, odpuść mu Panie, on nie wie, co zrobił!
Ach bracie, tą złą radą tyś sam się już dobił.
Dziś ty staniesz przed Bogiem.

SENATOR.

Co to?

BAJKOW.

On błaznuje.
Daj mu jeszcze raz w papę, niech nam prorokuje.

(Daje mu szczutkę.)

KS. PIOTR.

Bracie! I ty poszedłeś za jego przykładem!
Policzone dni twoje, pójdziesz jego śladem.

SENATOR.

Hej, posłać po Botwinkę! — Zatrzymać tu klechę —
Ja sam będę przy śledztwie, będziem mieć uciechę:
Obaczym, czy on będzie milczał tak upornie.
Ktoś go namówił —

DOKTOR.

Właśnie przedstawiam pokornie:
To jest rzecz umówiona i te wszystkie spiski
Kieruje, jak wiem pewnie, Książe Czartoryski.

SENATOR, schwytuje się krzesła.

Que me dites vous là, mon cher, o Książęciu?
Impossible —

(Do siebie.)

Kto wie? — eh! — Śledztwo lat dziesięciu
Nim się Książe wyplącze, jeśli ja go splątam —

(Do doktora.)

Skądże wiesz?

DOKTOR.

Dawno, czynnie, sprawą się zaprzątam —

[1] W rękopisie:

DOKTOR.

Właśnie przedstawiam pokornie —

SENATOR, odwraca się.

DOKTOR, do siebie.

Znowu mnie nie chce słuchać! — Niech mnie cobądź spotka
Nie ma rady — chwyćmy się ostatniego środka.

(Do senatora.)

To jest rzecz, i t. d.

SENATOR.

I Pan mi nie mówiłeś:

DOKTOR.

Jaśnie Pan nie słuchał;
Ja mówiłem, że ktoś to ten pożar rozdmuchał.

SENATOR.

Ktoś! ktoś! — Ale czy Książe?

DOKTOR.

Mam ślad oczywisty,
Mam doniesienia, skargi i przejęte listy.

SENATOR.

Listy Księcia? —

DOKTOR.

Przynajmniej jest mowa o Księciu
W tych listach i o całem jego przedsięwzięciu,
I wielu professorów — a głównem ogniskiem
Jest Lelewel. On tajnie kieruje tym spiskiem.

SENATOR, do siebie.

Ach, gdyby jaki dowód choćby podejrzenie,
Ślad dowodu, cień śladu, choćby cieniów cienie!
Nie raz już mi o uszy obiła się mowa:
To Czartoryski wyniósł tak Nowosilcowa.
Obaczym teraz, kto z nas będzie mógł się chwalić:
Czy ten, co umiał wynieść, czy ten, co obalić.

(Do doktora.)

Pójdź, que je vous embrasse! — A! a! to rzecz inna!
Ja wraz zgadnąłem, że to sprawa nie dziecinna;
Ja wraz zgadnąłem, że to jest Książęcia sztuka.

DOKTOR, poufale.

I Pan zgadł? — Zje djabła; kto Pana oszuka —

SENATOR, poważnie.

Choć ja wiem o tem wszystkiem, Panie Radco stanu:
Jeśli odkryć dowody udało się Panu,
Ecoutez, daję Panu senatorskie słowo:
Najprzód pensyę roczną powiększę połową,
I tę skargę za dziesięć lat służby policzę;
Potem może starostwo, dobra kanonicze,
Order — kto wie? Nasz cesarz wspaniale opłaca
Ja go sam będę prosił, już to moja praca.

DOKTOR.

Mnie też to kosztowało nie mało zabiegów:
Ze szczupłej mojej płacy opłacałem szpiegów;
A wszystko z gorliwości o dobro cesarza.

SENATOR, biorąc go pod rękę.

Mon cher, idź zaraz, weźmij mego sekretarza.
Wziąść te wszystkie papiery i opieczętować;

(Do doktora.)

Wieczorem będziem wszystko razem trutynować,

(Do siebie.)

Ja pracowałem, śledztwo prowadziłem całe:
A on z tego odkrycia miałby zysk i chwałę! —

(Zamyśla się. Do sekretarza na ucho.)

Przyaresztuj doktora razem z papierami.

(Do Bajkowa, który wchodzi.)

To ważna sprawa, musim zatrudnić się sami.
Doktor wymknął się z pewnem słówkiem nieumyślnie —
Zbadałem go — a śledztwo ostatek wyciśnie.

(Pelikan, widząc względy senatora, odprowadza doktora i kłania mu się nisko.)

DOKTOR, do siebie.

Niedawno mię odpychał — ho, ho, Pelikanie!
I ja go zepchnę i tak, że już nie powstanie!

(Do senatora.)

Zaraz wracam.

SENATOR, niedbale.

O ósmej ja wyjeżdżam z miasta.

DOKTOR, patrząc na zegarek.

Co to? na mym zegarku godzina dwunasta?

SENATOR.

Już piąta.

DOKTOR.

Bo, już piąta? — Ledwie oczom wierzę?
Mój index na dwunastej, na-samym numerze
Stanął i na dwunastej sam indeksu nosek;
Żeby choć, o sekundę ruszył, choć o włosek!

KS. PIOTR.

Bracie! I twój już zegar stanął i nie ruszy
Do drugiego południa. — Bracie, myśl o duszy!

DOKTOR.

Czego ty chcesz?

PELIKAN.

Proroctwo tobie jakieś burczy.
Patrz, jak oczy mu błyszczą: istny wzrok jaszczurczy!

KS. PIOTR.

Bracie, Pan Bóg różnemi znakami ostrzega —

PELIKAN.

Ten braciszek coś bardzo wygląda na szpiega —

(Otwierają się drzwi z lewej strony. Wchodzi mnóstwo dam wystrojonych. urzędników, gości. Za niemi muzyka.)

P. GUBERNATOROWA.

Czy można?

P. SOWIETNIKOWA.

C'est indigne!

P. JENERAŁOWA.

Ah! mon cher sénateur,
Czekamy, posyłamy —

P. SOWIETNIKOWA.

Vraiment, c'est un malheur.

WSZYSTKIE, razem.

Wreszcie przyszłyśmy szukać —

SENATOR.

Cóż to? — Jaka gala!

DAMA.

I tu możemy tańczyć; dość obszerna sala.

(Stają i szykują się do tańca.)

SENATOR.

Pardon, mille pardons, j'étais très occupé.
Que vois-je, un menuet? — Parfaitement groupé!
Cela m'a rappelé les jours de ma jeunesse!

KSIĘŻNA.

Ce n'est qu'une surprise.

SENATOR.

Est-ce vous, ma déesse!
Que j'aime cette danse! Une surprise? Ah! dieux!

KSIĘŻNA.

Vous danserez, j'espère.

SENATOR.

Certes, et de mon mieux.

(Muzyka gra menueta z Don Juana. Z lewej strony stoją czynownicy, czyli urzędnicy i urzędniczki; z prawej kilku z młodzieży, kilku młodych oficerów rossyjskich, kilku starych ubranych po polsku i kilka młodych dam. Na środku menuet. Senator tańczy z narzeczoną Bajkowa; Bajkow z Księżną.

BAL.

SCENA ŚPIEWANA.

DAMA, z prawej strony.

Patrz, patrz starego: jak się wije,
Jak sapie. Oby skręcił szyję!

(Do senatora.)

Jak ślicznie, lekko tańczysz Pan!

(Na stronę.)

Il crèvera dans l'instant.

MŁODY CZŁOWIEK.

Patrz, jak on łasi się i liże.
Wczoraj mordował, tańczy dziś!
Patrz, patrz, jak on oczyma strzyże,
Skacze jak w klatce ryś.

DAMA.

Wczoraj mordował i katował,
I tyle krwi niewinnej wylał;
Patrz, dzisiaj on pazury schował,
I będzie się przymilał.

(Z lewej strony.)

KOLLESKI REGISTRATOR, do sowietnika.

Tańczy senator czy widzicie?
Ej sowietniku, pójdźmy w tan.

SOWIETNIK.

Uważaj czy to przyzwoicie,
Byś ze mną tańczył Pan.

REGISTRATOR.

Ale tu znajdziem kilka dam.

SOWIETNIK.

Ale nie o to idzie rzecz:
Ja sobie wolę tańczyć sam,
Niż z tobą — pójdź-że precz.

REGISTRATOR.

Skądże to?

SOWIETNIK.

Jestem sowietnikiem.

REGISTRATOR.

Ja jestem oficerski syn.

SOWIETNIK.

Mój Panie, ja nie tańczę z nikim,
Kto ma tak niski czyn.

(Do pułkownika.)

Pójdź Pułkowniku, pójdź-że w tanicc:
Widzisz, że tańczy sam senator.

PUŁKOWNIK.

Jaki kam gadał oszarpaniec?

(Pokazując registratora.)

SOWIETNIK.

Kolleski registrator!

PUŁKOWNIK.

Ta szuja istne jakubiny!

DAMA, do Senatora.

Jak ślicznie, lekko tańczysz Pan.

SOWIETNIK, z gniewem.

Jak tu pomięszały się czyny!

DAMA.

Il crèvera dans l'instant.

LEWA STRONA, chórem.

DAMA.

Ah quelle beauté, quelle grâce!

MĘŻCZYZNI.

Jaka to świetność, przepych jaki!

PRAWA STRONA, chórem.

MĘŻCZYZNI.

A łotry, szelmy, ah łajdaki!
Żeby ich piorun trzasł!

SENATOR, tańcząc, do gubernatorowej.

Chcę zrobić znajomość starosty.
On piękną żonę, córkę ma:
Ale zazdrosny —

GUBERNATOR, biegąc za Senatorem.

To człek prosty:
Niech Pan to na nas zda.

(Podchodzi do Starosty.)

A żona Pańska?

STAROSTA.

W domu siedzi.

GUBERNATOR.

A córki?

STAROSTA.

Jednę tylko mam.

GUBERNATOROWA.

I córka balu nie odwiedzi?

STAROSTA.

Nie.

GUBERNATOROWA.

Pan tu sam?

STAROSTA.

Ja sam.

GUBERNATOR.

I żona nie zna senatora?

STAROSTA.

Dla siebie tylko żonę mam.

GUBERNATOROWA.

Chciałam wziąć córkę pańską wczora.

STAROSTA.

Usłużność Pani znam.

GUBERNATOR.

Tu w menuecie para zbywa:
Senator potrzebuje dam.

STAROSTA.

Moja córka w parach nie bywa:
Jej parę znajdę sam.

GUBERNATOROWA.

Mówiono, że tańczy i grywa:
Senator chciał zaprosić sam.

STAROSTA.

Widzę, że pan senator wzywa
Naraz po kilka dam.

LEWA STRONA. chórem.

Jaka muzyka, jaki śpiew!
Jak pięknie meblowany dom!

PRAWA STRONA, chórem.

Te szelmy zrana piją krew,
A po obiedzie rum.

SOWIETNIK, pakazując Senatora.

Drze ich, to prawda, lecz zaprasza:
Takiemu dać się drzeć nie żal.

STAROSTA.

Po turmach siedzi młodzież nasza:
Nam każą iść na bal.

OFICER ROSSYJSKI, do Bestużewa.

Nie dziw, że nas tu przeklinają:
Wszak to już mija wiek,
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają,
Samych łajdaków stek.

STUDENT, do oficera. [1]

Patrz, jak się Bajkow, Bajkow rucha:
Co to za mina, co za ruch?
Skacze, jak po śmieciach ropucha.
Patrz, patrz, jak nadął brzuch,
Wyszczerzył zęby; nazbyt łyknął.
Patrz, jak otwiera gębę on.
Słuchaj, ach słuchaj: Bajkow ryknął.

(Bajkow nuci. Student do Bajkowa.)

Mon général, quelle chanson!

BAJKÓW, śpiewa pieśń Berangera.

Quel honneur, quel bonheur!
Ah! monsieur le sénateur!
Je suis votre humble serviteur, etc. etc.

STUDENT.

Général, ce sont vos paroles?

BAJKÓW.

Oui.

STUDENT.

Je vous en fais mon compliment.

[1] W rękopisie: Lachnicki do oficera. P. W.

JEDEN Z OFICERÓW, śmiejąc się.

Ces couplets sont vraiment fort droles;
Quel ton satirique et plaisant!

MŁODY CZŁOWIEK.[1]

Pour votre muse sans rivale,
Je vous ferais académicien.

BAJKÓW, na ucho, pokazując Księżnę.

Senator dziś będzie rogal.

SENATOR, na ucho, pokazując narzeczoną Bajkowa.

Va, va, je te coifferai bien.

PANNA, tańcząca, do matki.

Nazbyt ohydni, nazbyt starzy.

MATKA, z prawej strony.

Jeśli ci zbrzydnął, to go rzuć.

SOWIETNIKOWA, z lewej strony.

Jak mojej córeczce do twarzy!

STAROSTA.

Jak od nich rumem czuć!

SOWIETNIKOWA DRUGA, do córki, stojącej obok.

Tylko, Tosieńku, podnieś wzrok;
Może senator cię obaczy.

STAROSTA.

Jeżeli o mnie się zahaczy,
Dam rękojeścią (biorąc za karabelę) — w bok

LEWA STRONA, chórem.

Ach jaka świetność, przepych jaki!
Ah quelle beauté quelle grace!

PRAWA STRONA.

Ach szelmy, łotry, ach łajdaki!
Żeby ich piorun trzasł!

(Z prawej strony między młodzieżą.)

JUSTYN POL, do Bestużewa, pokazując na Senatora.

Chcę mu scyzoryk mój w brzuch wsadzić,
Lub zamalować w pysk.

BESTUŻEW.

Cóż stąd? Jednego łotra zgładzić,
Lub obić: co za zysk?

[1] W rękopisie: Gorecki. P. W.

Oni wyszukają przyczyny,
By uniwersytety znieść —
Krzyknąć, że ucznie jakubiny,
I waszą młodzież zjeść.

JUSTYN POL.

Lecz on zapłaci za męczarnie,
Za tyle krwi i łez.

BESTUŻEW.

Cesarz ma u nas liczne psiarnie;
Cóż, że ten zdechnie pies?

JUSTYN POL.

Nóż świerzbi w ręku: pozwól ubić.

BESTUŻEW.

Ostrzegam jeszcze raz!

JUSTYN POL.

Pozwól przynajmniej go wyczubić.

BESTUŻEW.

A zgubić wszystkich was!

JUSTYN POL.

Ach szelmy, łotry, ach zbrodniarze!

BESTUŻEW.

Muszę ciebie wywieść za próg.

JUSTYN POL.

Czyż go to za nas nikt nie skarze?
Nikt się nie pomści! —

(Odchodzą ku drzwiom.)

KS. PIOTR.

Bóg!

(Nagle muzyka się zmienia i gra arję kommandora.)

TAŃCZĄCY.

Co to jest? — Co to?

GOŚCIE.

Jaka muzyka ponura!

JEDEN, patrząc w okna.

Jak ciemno. Patrz-no, jaka zebrała się chmura.

(Zamyka okno. Słychać zdaleka grzmot.)

SENATOR.

Cóż to? Czemu nie grają?

DYREKTOR MUZYKI.

Zmylili się.

SENATOR.

Pałki!!

DYREKTOR.

Bo to miano grać różne z opery kawałki:
Oni nie zrozumieli, i stąd zamięszanie.

SENATOR.

No, no, no. — Arrangez donc. — No Panowie, Panie —

(Słychać krzyk wielki za drzwiami.)

PANI ROLLISON, za drzwiami, okropnym głosem.

Puszczaj mię! puszczaj! —

SEKRETARZ

Ślepa?

LOKAJ, strwożony.

Widzi — patrz, jak sadzi
Po schodach. Zatrzymajcie!

DRUDZY LOKAJE.

Kto jej co poradzi!

PANI ROLLISON.

Ja go znajdę tu, tego pijaka, tyrana!

LOKAJ, chce zatrzymywać; ona obala jednego z nich.

A! patrz, jak obaliła! — A! a! opętana!

(Uciekają.)

PANI ROLLISON.

Gdzie ty! — Znajdę cię, mózgi na bruku rozbiję,
Jak mój syn! — Ha tyranie! — Syn mój! syn nie żyje!
Wyrzucili go oknem! — Czy ty masz sumienie?
Syna mego, tam z góry, na bruk, na kamienie! —
Ha, ty pijaku stary, zbryzgany krwią tylu
Niewiniątek, pójdź! — gdzie ty, gdzie ty krokodylu?
Ja ciebie tu rozedrę, jak mój Jaś, na sztuki —
Syn! — Wyrzucili z okna, z klasztoru, na bruki —
Me dziecię, mój jedynak, mój ojciec żywiciel —
A ten żyje, i Pan Bóg jest, i jest Zbawiciel!

KS. PIOTR.

Nie bluźń, kobieto! Syn twój zraniony, lecz żyje.

P. ROLLISON.

Żyje? Syn żyje? — Czyje to są słowa, czyje? —
Czy to prawda, mój księże? — Ja zaraz pobiegłam:
«Spadł» krzyczą! — Biegę — wzięli — i zwłok nie dostrzegłam:
Zwłok mego jedynaka! — Ja biedna sierota!
Zwłok syna nie widziałam! Widzisz: — ta ślepota! —
Lecz krew na bruku czułam. — Przez Boga żywego,
Tu czuję! krew tę samę! — Tu krew syna mego,
Tu jest ktoś krwią zbryzgany — tu, tu jest kat jego!

(Idzie prosto do Senatora. Senator umyka się; Pani Rollison pada zemdlona na ziemię; Ks. Piotr jeden podchodzi do niej ze Starostą. Słychać uderzenie piorunu.)

WSZYSCY, zlęknieni.

Słowo stało się ciałem! — To tu!

INNI.

Tu! tu!

KS. PIOTR.

Nie tu.

JEDEN, patrząc w okno.

Jak blisko: — w sam róg domu uniwersytetu.

SENATOR, podchodzi do okna.

Okna doktora! —

KTOŚ Z WIDZÓW.

Słyszysz w domu krzyk kobiety?

KTOŚ NA ULICY, śmiejąc się.

Ha, ha, ha, djabli wzięli!

PELIKAN, wbiega zmieszany.

SENATOR.

Nasz doktor? —

PELIKAN.

— Zabity
Od piorunu. Fenomen ten godzien rozbiorów:
Około domu stało dziesięć konduktorów,
A piorun go w ostatnim pokoju wytropił,
Nic nie zepsuł i tylko ruble srebrne stopił.

Srebro leżało w biurku, tuż u głów doktora.
I zapewne służyło dziś za konduktora.

STAROSTA.

Ruble rossyjskie widzę bardzo niebespieczne,

SENATOR, do dam.

Panie zmięszały taniec — jak Panie niegrzeczne.
(Widząc, że ratują Panią Rollison.)
Wynieście ją, wynieście — pomóż tej kobiecie.
Wynieście ją —

KS. PIOTR.

Do syna?

SENATOR.

Wynieście, gdzie chcecie.

KS. PIOTR.

Syn jej jeszcze nie umarł, on jeszcze oddycha:
Pozwól mi iść do niego.

SENATOR.

Idź gdzie chcesz do licha!
(Do siebie.)
Doktor zabity. — Ah! ah! ah! c'est inconcevable!
Ten ksiądz mu przepowiedział. — Ah! ah! ah! c'est diable!
(Do kompanji.)
No, i cóż w tem strasznego? — Wiosną idą chmury,
Z chmury piorun wypada: — taki bieg natury.

SOWIETNIKOWA, do męża.

Już gadajcie co chcecie, a strach zawsze strachem:
Ja nie chcę dłużej z wami być pod jednym dachem.
Mówiłam: mężu, nie leź do tych spraw dziecinnych;
Pókiś knutował żydów, chociaż i niewinnych,
Milczałam: ale dzieci — a widzisz doktora?

SOWIETNIK.

Głupia jesteś.

SOWIETNIKOWA.

Do domu powracam, bom chora.[1]
(Słychać znowu grzmot. Wszyscy uciekają: naprzód lewa, potem prawa strona. Zostają: Senator, Pelikan, Ks. Piotr.)

[1] W rękopisie:

SOWIETNIKOWA.

Do domu powracam, jestem chora.

SENATOR, patrząc za uciekającymi.

Przeklęty doktor! Żyjąc nudził mię do mdłości,
A jak zdechł, patrzaj, jeszcze rozpędza mi gości.

(Do Pelikana.)

Voyez, jak ten ksiądz patrzy — voyez quel oeil hagard;
To jest dziwny przypadek, un singulier hasard —

SENATOR, wstawszy.

He, Dyrektor! Cóż? — Grajcie znowu menueta!

PUŁKOWNIK, do Sowietnikowej.

I pani tak się boisz? —

SOWIETNIKOWA.

Ja jestem kobieta.

PUŁKOWNIK.

Harmaty równie huczą i częściej trafiają:
A my idziemy w ogień —

SENATOR, do muzyki.

Cóż oni tam grają? —

DYREKTOR.

Panie, wielkie nieszczęście! Pomięszali noty —

SENATOR.

Zmięszali? — Pałki!!

(Słychać grzmoty.)

WSZYSCY.

Grzmoty!

JEDEN GŁOS.

Księżna mdleje!

WSZYSCY.

Grzmoty!

(Uciekają różnemi drzwiami.)

SOWIETNIKOWA, do Pułkownika.

Ach, jak drzwi zawalili —

PUŁKOWNIK, uciekając.

Nie róbmy hałasu —

SOWIETNIKOWA, trzymając go.

Zrób mi Pan przejście, proszę —

PUŁKOWNIK.

Pardon, nie mam czasu.

SOWIETNIKOWA.

I Pan zląkł się? Uciekasz? —

PUŁKOWNIK.

Do kwatery jadę:
Służba przed wszystkiem. — Adieu. — Jutro mam paradę.

(Wszyscy uciekają: najprzód lewa, potem prawa strona. Zostają: Senator, Pelikan, Ks. Piotr.) i t. d. P. W.

Powiedz no, mój księżuniu, czy znasz jakie czary?
Skąd przewidziałeś piorun? — Może boskie kary?

(Ksiądz milczy.)

Prawdę mówiąc, ten doktor troszeczkę przewinił;
Prawdę mówiąc, ten doktor nad powinność czynił,
On aurait fort à dire — kto wie, są przestrogi —
Mój Boże, czemu prostej nie trzymać się drogi!
No i cóż księże? — Milczy! — milczy i zwiesił nos.
Ale go puszczę wolno: — on dirait bien des choses! —

(Zamyśla się.)

PELIKAN.

Ha! ha! ha! jeśli śledztwo jest niebespieczeństwem:
Toćby nas przecie piorun zaszczycił pierwszeństwem.

KS. PIOTR.

Opowiem wam dwie dawne, ale pełne treści —

SENATOR, ciekawy.

O piorunie? — doktorze? Mów!

KS. PIOTR.

— Dwie przypowieści.
Onego czasu, w upał przyszli ludzie różni
Zasnąć pod cieniem muru: byli to podróżni.
Między nimi był zbójca; a gdy inni spali,
Anioł pański zbudził go: wstań, bo mur się wali.
On zbójca był ze wszystkich innych najzłośliwszy:
Wstał, a mur inne pobił. On ręce złożywszy
Bogu dziękował, że mu ocalono zdrowie;
A pański anioł stanął przed nim i tak powie:
Ty najwięcej zgrzeszyłeś! kary nie wyminiesz;
Lecz ostatni, najgłośniej, najhaniebniej zginiesz.

A druga powieść taka. Za czasu dawnego,
Pewny wódz rzymski pobił króla potężnego;
I kazał na śmierć zabić wszystkie niewolniki,
Wszystkie rotmistrze pułków i wszystkie setniki:
Ale króla samego przy życiu zostawił,
Tudzież starosty, tudzież pułkowniki zbawił.

I mówili do siebie głupi więźnie owi:
Będziem żyć, podziękujmy za życie wodzowi.
Aż jeden żołnierz rzymski, co im posługował,
Rzekł im: zaprawdę, wódz was przy życiu zachował,
Bo was przykuje przy swym tryumfalnym wozie,
I będzie oprowadzał po całym obozie,
I do miasta powiedzie; bo wy z tych jesteście,
Których wodzą po Rzymie, onem sławnem mieście,
Aby lud rzymski krzyknął: patrzcie; co wódz zrobił,
On takie króle, takie pułkowniki pobił!
Potem, gdy was w łańcuchach złotych oprowadzi,
Odda was w ręce kata, a kat was osadzi
Na głębokie, podziemne i ciemne wygnanie,
Kędy będzie płacz wieczny i zębów zgrzytanie.
Tak mówił żołnierz rzymski. To żołnierza tego
Król gromiąc rzekł: twe słowa są słowa głupiego;
Czyś ty kiedy na ucztach z twoim wodzem siedział,
Ażebyś jego rady, jego myśli wiedział?
Zgromiwszy, pił i śmiał się z zwymi współwięźniami,
Ze swymi hetmanami i pułkownikami.

SENATOR, znudzony.

Il bat la campagne. Księże, gdzie chcesz, ruszaj sobie.
Jeśli cię jeszcze złowię, tak skórę oskrobię,
Że cię potem nie pozna twa matka rodzona,
I będziesz mi wyglądał jak syn Rollisona.

(Senator odchodzi do swoich pokojów z Pelikanem. Ks. Piotr idzie ku drzwiom i spotyka Konrada, który, prowadzony na śledztwo przez dwóch żołnierzy, ujrzawszy księdza, wstrzymuje się i patrzy nań długo.)

KONRAD.

Dziwna rzecz! — Nie widziałem nigdy tej postaci:
A znam go jak jednego z mych rodzonych braci.
Czy to we śnie? — Tak, we śnie; teraz przypomniałem —
Taż sama twarz, te oczy — we śnie go widziałem.
On to, zdało się, że mię wyrywał z otchłani —

(Do Księdza.)

Mój księże, choć jesteśmy mało sobie znani,
— Przynajmniej ksiądz mię nie znasz — przymij dziękczynienie
Za łaskę, którą tylko zna moje sumienie.

Drodzy są i widziani we śnie przyjaciele,
Gdy prawdziwych na jawie widzim tak nie wiele.
Weź proszę ten pierścionek, przedaj; daj połowę
Ubogim, drugą na mszę, za dusze czyszcowe:
Wiem co cierpią, jeżeli czyściec jest niewolą —
Mnie, kto wie, czy już kiedy słuchać mszy pozwolą.

KS. PIOTR.

Pozwolą. — Za pierścionek ja ci dam przestrogę:
Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie:
Szukaj męża, co więcej niśli oni umie.
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże [1] —
Słuchaj co powie —

KONRAD, wpatrując się.

Cóż to, tyżeś? — czy być może?
Stój na chwilę — dla Boga —

KS. PIOTR.

Bywaj zdrów! nie mogę.

KONRAD.

Jedno słowo —

ŻOŁNIERZ.

Niewolno! każdy w swoją drogę —

SCENA IX.

NOC DZIADÓW.

(Opodal widać kaplicę; smętarz. GUŚLARZ i KOBIETA w żałobie.)

GUŚLARZ.

Już idą w cerkiew gromady,
I wkrótce zaczną się Dziady.
Iść nam pora, już noc głucha.

KOBIETA.

Ja tam nie pójdę, guślarzu;
Ja chcę zostać na smętarzu,

[1] W rękopisie scena kończy się na tych dwóch wierszach:

Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże;
Słuchaj co powie; on ci wiele dopomoże.

P. W.

Chcę jednego widzieć ducha:
Tego, co przed laty wielu,
Zjawił się po mem weselu,
Co pośród duchów gromady,
Stanął nagle krwawy, blady,
I mnie dzikiem okiem łowił
I ani słowa nie mówił.

GUŚLARZ.

On żył może, gdym go badał:
Dla tego nie odpowiadał.
Bo na duchów zgromadzenie,
W tajemniczą noc na Dziady,
Można wzywać żywych cienie.
Ciała będą u biesiady,
Albo u gry, albo w boju,
I zostaną tam w pokoju:
Dusza zwana po imieniu
Objawia się w lekkim cieniu;
Lecz póki żyje, ust nie ma,
Stoi biała, głucha, niema.

KOBIETA.

Cóż znaczyła w piersiach rana?

GUŚLARZ.

Widać, że w duszę zadana.

KOBIETA.

Ja tu sama zgubię drogę.

GUŚLARZ.

Ja tu z tobą zostać mogę.
Tam bezemnie zrobią czary,
Jest tam inny guślarz stary —
Czy słyszysz te śpiewy w dali?
Już się tam ludzie zebrali.
Pierwszą klątwę już zaklęli;
Klątwę wianka ı kądzieli;
Wezwali powietrznych duchów.
Widzisz tych świateł tysiące,
Jakby gwiazdy spadające?

Ten ognistych ciąg łańcuchów?
To powietrznych roje duchów.
Patrz, już nad kaplicą świecą
Pod czarnym niebios obszarem:
Jak gołębie, kiedy lecą
W nocy nad miasta pożarem;
Gdy białemi skrzydeł puchy
Odbijając żar ogniska,
Ptastwo jak stado gwiazd błyska.

KOBIETA.

On nie będzie z temi duchy!

GUŚLARZ.

Widzisz — blask z kaplicy bucha
Teraz klęli ognia władzą:
Ciała w mocy złego ducha,
Z pustyń, z mogił wyprowadzą.
Tędy będą ciągnąć duchy.
Poznasz go, jeśli pamiętasz.
Ukryj się ze mną w dąb suchy.
W ten dąb suchy i wygniły.
Tu się niegdyś wróżki kryły.
Już rusza się cały smętarz:
Rozwierają się mogiły,
Wybuchnął płomyk niebieski,
Podskakują w górę deski,
Wysuwają potępieńce
Blade głowy, długie ręce.
Widzisz oczy jak żarzewie? —
Schowaj oczy, skryj się w drzewie;
Upiór zdala wzrokiem piecze,
Lecz guślarza nie urzecze.
Ha! —

KOBIETA.

Co widzisz?

GUŚLARZ.

Trup to świeży!
W niezgniłej jeszcze odzieży.

Dymem siarki trąci wkoło,
Czarne ma jak węgiel czoło.
Zamiast oczu w jamach czaszki
Żarzą się dwie złote blaszki,
A w środku każdego kółka
Siedzi djablik, jak w źrenicy,
I wywraca wciąż koziołka,
Miga lotem błyskawicy.
Trup tu bieży; zębem zgrzyta;
Z ręki przelewa do ręki,
Jak gdyby z sita do sita,
Wrzące srebro. — Słyszysz jęki?

WIDMO.

Gdzie kościół? — gdzie kościół? — gdzie Boga lud chwali,
Gdzie kościół, ach pokaż człowiecze!
Ach widzisz, jak we łbie ten dukat mnie pali,
Jak srebro stopione dłoń piecze.
Ach, wylej człowieku dla biednej sieroty,
Dla więźnia jakiego, dla wdowy,
Ach, wylej mi z ręki żar srebrny i złoty,
I dukat ten wyłup mi z głowy.

Ty nie chcesz! — Ha, kruszec przelewać ja muszę,
Aż kiedyś ten dzieci pożerca
Wyzionie łakomą, bezdenną swą duszę:
Ten kruszec mu wleję do serca.
A potem przez oczy, przez uszy wyleję
I znowu tem wleję korytem,
I będę tym trupem obracać jak sitem:
Naleję, wyleję, przesieję!
Ach, kiedyż przez niego ten kruszec przesieję!
Ach, czekać tak długo! — goreję! goreję!

(Ucieka.)

GUŚLARZ.

Ha! —

KOBIETA.

Co widzisz?

GUŚLARZ.

Ha, jak blisko!

Drugi wylazł, ku nam bieży:
Jakie obrzydłe trupisko!
Blade, tłuste! Trup to świeży,
I strój świeży ma na ciele,
Ubrany jak na wesele;
I gad niedawno go toczy,
Ledwie mu w pół wygryzł oczy.

Od kaplicy w stronę skoczył:
Czart go uwiódł, czart zamroczył,
Nie puści go do kaplicy.
Czart przybrał postać dziewicy:
I na trupa rączką kiwa,
Okiem mruga, śmiechem wzywa.
Skacze ku niej trup zwiedziony,
Z grobu na grób, jak szalony,
I rękami i nogami
Wije, jak wiatrak skrzydłami —
Już pada do jej uścisków:
Wtem z pod nóg jego wytryska
Dziesięć długich czarnych pysków;
Wyskakują czarne psiska,
Od nóg lubej go porwały,
I targają na kawały,
Członki krwawym piskiem trzęsą,
Po polu roznoszą mięso.

Psy zniknęły. — Nowe dziwo!
Każda część trupa jest żywą:
Wszystkie, jak oddzielne trupy,
Biegą zebrać się do kupy.
Głowa skacze jak ropucha
I nozdrzami ogień bucha;
Czołgają się piersi trupa,
Jak wielka żółwia skorupa —
Już zrosła się głowa z ciałem,
Jak krokodyl bieży cwałem;

Oderwanej ręki palce
Drżą, wiją się jak padalce:
Dłoń za piasek chwyta, grzebie,
I ciągnie rękę pod siebie;
I nogi się przyczołgały.
I znowu trup wstaje cały,
Znowu wabi ulubiona,
Znowu pada w jej ramiona,
Znowu go porwały czarty
I znowu w sztuki rozdarty —
Ha! niech go więcej nię widzę!

KOBIETA.

Tak się boisz?

GUŚLARZ.

Tak się brzydzę!
Żółwie, padalce, ropuchy:
W jednym trupie tyle gadów!

KOBIETA.

On nie będzie z temi duchy!

GUŚLARZ.

Wkrótce, wkrótce koniec Dziadów —
Słyszysz? trzeci kur już pieje;
Tam śpiewają ojców dzieje,
I rozchodzą się gromady.

KOBIETA.

I nie przyszedł on na Dziady!

GUŚLARZ.

Jeśli duch ten jeszcze w ciele,
Wymów teraz jego imię;
Ja na czarodziejskie ziele,
W tajemniczym zaklnę rymie:
I duch ciało swe zostawi,
I przed tobą się objawi.

KOBIETA.

Wymówiłam.

GUŚLARZ.

On nie słucha —
Ja zakląłem.

KOBIETA.

Nie ma ducha!

GUŚLARZ.

O kobieto! Twój kochanek
Albo zmienił ojców wiarę,
Albo zmienił imię stare.
Widzisz, już zbliża się ranek,
Gusła nasze moc straciły,
Nie pokaże się twój miły.

(Wychodzą z drzewa.)

Cóż to? cóż to? — Patrz, z zachodu,
Tam od Giedymina grodu,
Śród gęstych kłębów zamieci,
Kilkadziesiąt wozów leci!
Wszystkie lecą ku północy,
Lecą, ile w koniach mocy.
Widzisz, jeden tam na przedzie
W czarnym stroju —

KOBIETA.

On!

GUŚLARZ.

Tu jedzie.

KOBIETA.

I znowu nazad zawrócił,
I tylko raz okiem rzucił,
Ach raz tylko — jakie oko!

GUŚLARZ.

Pierś miał zbroczoną posoką,
Bo w tej piersi jest ran wiele:
Straszne cierpi on katusze,
Tysiąc mieczów miał on w ciele,
A wszystkie przeszły — aż w duszę.
Śmierć go chyba z ran uleczy.

KOBIETA.

Któż weń wraził tyle mieczy?

GUŚLARZ.

Narodu nieprzyjaciele.

KOBIETA.

Jednę ranę miał na czole,
Jednę tylko i nie wielką,
Zda się być czarną kropelką.

GUŚLARZ.

Ta największe sprawia bole:
Jam ją widział, jam ją zbadał;
Tę ranę sam sobie zadał:
Śmierć z niej uleczyć nie może.

KOBIETA.

Ach, ulecz go, wielki Boże!

Koniec aktu pierwszego. [1]

[1] Z rękopisu widać, że ta Część Dziadów miała się składać z trzech aktów. P. W.

USTĘP.

(PETERSBURG.)

TEN USTĘP

PRZYJACIOŁOM

MOSKALOM

POŚWIĘCA

AUTOR.

DO PRZYJACIÓŁ MOSKALI.

Wy, czy mnie wspominacie? — Ja ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach:
I o was myślę; wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Gdzież wy teraz? — Szlachetna szyja Rylejewa,
Którąm jak bratnią ściskał, carskiemi wyroki
Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa — —
Klątwa ludom, co swoje mordują proroki!

Ta ręka, którą do mnie Bestużew wyciągnął,
— Wieszcz i żołnierz — ta ręka, od pióra i broni
Oderwana, i car ją do taczki zaprzągnął,
Dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni.

Innych może dotknęła sroższa niebios kara —
Może kto z was, urzędem, orderem shańbiony,
Duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara,
I dziś na progach jego wybija pokłony.

Może płatnym językiem tryumf jego sławi,
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa;
Może w ojczyznie mojej moją krwią się krwawi,
I przed carem jak z zasług, chlubi się z przekleństwa.

Jeśli do was, z daleka, od wolnych narodów
Aż na północ zalecą te pieśni żałosne,
I odezwą się z góry nad krainą lodów:
Niech wam zwiastują wolność, jak żórawie wiosnę!

Poznacie mię po głosie! — Pókim był w okuciach,
Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę:
Lecz wam odkryłem tajnie zamknięte w uczuciach,
I dla was miałem zawsze gołębia prostotę.

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny —
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy:
Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny;
Niech żre i pali — nie was, lecz wasze okowy.

Kto z was podniesie skargę — dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kąsać — rękę, co ją targa.

DROGA DO ROSSJI.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie
Leci kibitka, jako wiatr w pustynie;
I oczy moje, jako dwa sokoły
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą,
Porwane burzą, do lądu nie zdążą —
A widzą obce pod sobą żywioły[1],
Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,
W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników, ludzi, ni natury;
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczoraj wieczorem stworzona.
A przecież, nie raz mamut z tych ziem wstaje,
Żeglarz przybyły z falami potopu,
I mową obcą moskiewskiemu chłopu
Głosi, że dawno stworzone te kraje,
I w czasach wielkiej Noego żeglugi,
Ląd ten handlował z azyjskiemi smugi.
A przecież, nie raz książka ukradziona,
Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu
Mówi, że ziemia ta niezaludniona
Już niejednego jest matką narodu.

[1] W rękopisie:
A widzą obce przed sobą żywioły,
Choć jeszcze silne, już piórem źle władną,
Nie mają kędy i t. d. P. W.

Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyzny,
Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,
I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,
Nie zostawiwszy śladów swego życia;
I gdzieś daleko na alpejskiej skale
Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,
I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach,
O stąd przybyłych mówią rozbójnikach.

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta —
Czyż na niej pisać będzie palec Boski[1],
I ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są: ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciel stary
Przyjdzie, i w księdze tej wyryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,
Że trofeami ludzkości są: knuty? —

Po polach białych, pustych, wiatr szaleje,
Bryły zamieci odrywa i ciska;
Lecz morze śniegów, wzdęte, nie czernieje,
Wyzwane wichrem, powstaje z łożyska,
I znowu jakby nagle skamieniałe,
Pada ogromne, jednostajne, białe.
Czasem ogromny huragan wylata
Prosto z biegunów; nie wstrzymany w biegu,
Aż do Euxinu równinę zamiata,
Po całej drodze miecąc chmury śniegu;
Często podróżne kibitki zakopie,
Jak Symum błędnych Libów przy Kanopie.

[1] W rękopisie:

Czyliż Bóg na niej wypisze przykłady
Miłości swojej? czy szatan swe zdrady? —
— — — — — — — — — — — — — — —

P. W.

Powierzchnie białych, jednostajnych śniegów,
Gdzieniegdzie ściany czarniawe przebodły,
I sterczą nakształt wyspu i ląd brzegów:
To są północne świerki, sosny, jodły. [1]

Gdzieniegdzie drzewa, siekierą zrąbane,
Odarte i w stos złożone poziomy,
Tworzą kształt dziwny, jakby dach i ścianę,
I ludzi kryją i zowią się: domy.
Dalej tych stosów rzucone tysiące
Na wielkiem polu, wszystkie jednej miary:
Jak kitki czapek dmą z kominów pary,
Jak ładownice, okienka błyszczące;
Tam, domy rzędem szykowane w pary,
Tam czworobokiem, tam kształtnym obwodem;
I taki domów pułk zowie się: grodem.

Spotykam ludzi: z rozrosłemi barki,
Z piersią szeroką, z otyłemi karki;
Jako zwierzęta i drzewa północy,
Pełni czerstwości i zdrowia i mocy.
Lecz twarz każdego jest jak ich kraina,
Pusta, otwarta i dzika równina;
I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych;
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy,
Ani się w ustach rozognionych żarzy,
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych —
Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,

[1] W rękopisie następuje wypuszczona strofa:
Burza w las wpada. Las lodem pobity,
I śnieżystemi obwisły konary,
Drzewa tam stare, twarde jak granity,
Spokojnie wichru wytrzymują szały:
Bo ich wierzchołek świstu nie powtórzy,
Z ich głębi echo nie gada do burzy.
Wicher, wdarłszy się do cichego boru,
Po bryłach lodu i po śniegów puchu,
Jak Napoleon biega bez oporu:
W końcu zdrętwiały, upada bez ducha.

Przez które przeszło tyle po kolei
Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.
Tu, oczy ludzi, jak miasta tej ziemi,
Wielkie i czyste; i nigdy zgiełk duszy
Niezwykłym rzutem źrenic nie poruszy,
Nigdy i długa żałość nie zacieni.
Z daleka patrząc — wspaniałe, przecudne;
Wszedłszy do środka — puste i bezludne.
Ciało tych ludzi, jak gruba tkanica,
W której zimuje dusza gąsiennica,
Nim sobie piersi do lotu wyrobi,
Skrzydła wyprzędzie, wytka i ozdobi —
Ale gdy słońce wolności zaświeci,
Jakiż z powłoki tej owad wyleci?
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?

Na wskroś pustyni krzyżują się drogi.
Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił,
Nie wydeptały ich karawan nogi:
Car ze stolicy palcem je nakreślił.
Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,
Jeżeli trafił w polskich zamków ściany:
Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany,
I car ruiny ich zasypał — drogą.
Dróg tych nie dojrzeć w polu między śniegi,
Ale śród puszczy dośledzi je oko:
Proste i długie na północ się włoką,
Świecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.

I po tych drogach któż jeździ? Tu cwałem
Konnica wali przypruszona śniegiem,
A stamtąd czarnym piechota szeregiem
Między dział, wozów i kibitek wałem.
Te pułki, podług carskiego ukazu,
Ciągną ze wschodu, by walczyć z północą;
Tamte z północy idą do Kaukazu:

Żaden z nich nie wie, gdzie idzie i po co,
Żaden nie pyta. Tu widzisz Mogoła
Z nabrzmiałem licem, małem krzywem okiem;
A tam chłop biedny z litewskiego sioła,
Wybladły, tęskny, idzie chorym krokiem.
Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki,
I zmarłą niosą cięciwę Kałmuki.
Ich oficery? Tu Niemiec w karecie,
Nucąc Szyllera pieśń sentymentalną,
Wali spotkanych żołnierzy po grzbiecie;
Tam Francus, gwiżdżąc w nos pieśń liberalną,
Błędny filozof, karyery szuka,
I gada teraz z dowódcą Kałmuka,
Jakby najtaniej wojsku żywność kupić.
Cóż, że połowę wymorzą tej zgrai?
Kassy połowę będą mogli złupić,
I jeśli zręcznie dzieło się utai,
Minister wzniesie ich do wyższej klassy.
A car da order za oszczędność kassy.

A wtem kibitka leci. Przednie straże,
I dział lawety, i chorych obozy,
Pryskają z drogi, kędy się ukaże;
Nawet dowódców ustępują wozy.
Leci kibitka: żandarm powoźnika
Wali kułakiem, powoźnik żołnierzy
Wali biczyskiem: wszystko z drogi zmyka;
Kto się nie umknął, kibitka nań wbieży.
Gdzie? Kto w niej jedzie? Nikt nie śmie zapytać.
Żandarm tam jechał, pędzi do stolicy:
Zapewne cesarz kazał kogoś chwytać.
«Może ten żandarm jedzie z za granicy?»
— Mówi jenerał. — «Kto wie, kogo złowił?
Może król pruski, francuski, lub saski,
Lub inny Niemiec wypadł z cara łaski,
I car go w turmie zamknąć postanowił;
Może ważniejsza pochwycona głowa,
Może samego wiozą Jermołowa.

Kto wie! Ten więzień, chociaż w słomie siedzi,
Jak dziko patrzy! jaki to wzrok dumy:
Wielka osoba! Za nim wozów tłumy:
To pewnie orszak nadwornej gawiedzi;
A wszyscy, patrz-no, jakie oczy śmiałe!
Myślałem, że to pierwsze carstwa pany,
Że jenerały, albo szambelany:
Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe.
Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?
Jakiegoś króla podejrzane dzieci.»
Tak z sobą cicho dowódcy gadali.
Kibitka prosto do stolicy wali.

PRZEDMIEŚCIA STOLICY.

Zdala, już zdala widno, że stolica.
Po obu stronach wielkiej, pysznej drogi,
Rzędy pałaców. Tu, niby kaplica
Z kopułą, z krzyżem; tam, jak siana stogi
Posągi stoją pod słomą i śniegiem;
Owdzie, za kolumn korynckich szeregiem,
Gmach z płaskim dachem, pałac letni, włoski;
Obok japońskie, mandaryńskie kioski,
Albo z klasycznych czasów Katarzyny,
Swieżo małpione klasyczne ruiny.
Różnych porządków, różnych kształtów domy,
Jako zwierzęta z różnych krańców ziemi,
Za parkanami stoją żelaznemi —
W osobnych klatkach — jeden niewidomy
Pałac krajowej ich architektury,
Wymysł ich głowy, dziecko ich natury —
Jakże tych gmachów cudowna robota:
Tyle kamieni na kępach śród błota!
W Rzymie, by dźwignąć teatr dla cezarów,

Musiano niegdyś wylać rzekę złota:
Na tem przemieściu, podłe sługi carów,
By swe roskoszne zamtuzy dźwignęli,
Ocean naszej krwi i łez wylełi.

Żeby zwieźć głazy do tych obelisków:
Ileż wymyślić trzeba było spisków,
Ilu niewinnych wygnać albo zabić,
Ile ziem naszych okraść i zagrabić,
Póki krwią Litwy, łzami Ukrainy,
I złotem Polski hojnie zakupiono
Wszystko, co mają Paryże, Londyny,
I po modnemu gmachy wystrojono,
Szampanem zmyto podłogi bufetów,
I wydeptano krokiem menuetów.

Teraz tu pusto. Dwór w mieście zimuje,
I dworskie muchy, ciągnące za wonią
Carskiego ścierwa, za niem w miasto gonią.
Teraz w tych gmachach wiatr tylko tańcuje:
Panowie w mieście, car w mieście. Do miasta
Leci kibitka. Zimno, śniczno było,
Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,
A słońce już się na zachód chyliło —
Niebios sklepienie otwarte szeroko,
Bez żadnej chmurki, czcze, ciche i czyste,
Bez żadnej barwy, blado-przeźroczyste,
Jako zmarzłego podróżnika oko.

Przed nami miasto. Nad miasto do góry,
Wznoszą się dziwnie, jak podniebne grody,
Słupy i ściany, krużganki i mury,
Jak babilońskie wiszące ogrody:
To dymy z dwiestu tysięcy kominów
Prosto i gęsto kolumnami lecą;
Te, jak marmury kararyjskie świecą,
Tamte się żarzą iskrami rubinów;

W górze wierzchołki zginają i łączą,
Kręcą w krużganki i łukami plączą
I ścian i dachów malują widziadła:
Jak owe miasto, co nagle powstanie,
Ze śródziemnego czystych wód zwierciadła,
Lub na libijskim wybuchnie tumanie,
I wabi oko podróżnych z daleka,
I wiecznie stoi, i wiecznie ucieka.
Już zdjęto łańcuch, bramy otwierają;
Trzęsą, badają, pytają — wpuszczają.

PETERSBURG.

Za dawnych greckich i italskich czasów
Lud się budował pod przybytkiem Boga;
Nad źródłem nimfy, pośród świętych lasów,
Albo na górach chronił się od wroga:
Tak zbudowano Ateny, Rzym, Spartę.
W wieku gotyckim, pod wieżą barona,
Gdzie była całych okolic obrona,
Stawały chaty do wałów przyparte;
Albo pilnując spławnej rzeki cieków,
Rosły powoli z postępami wieków.
Wszystkie te miasta jakieś bóstwo wzniosło,
Jakiś obrońca, lub jakieś rzemiosło.

Ruskiej stolicy jakież są początki?
Skąd się zachciało sławiańskim tysiącom
Leźć w te ostatnie swoich dzierżaw kątki,
Wydarte świeżo morzu i Czuchońcom?
Tu grunt nie daje owoców ni chleba,
Wiatry przynoszą tylko śnieg i słoty:
Tu zbyt gorące lub zbyt zimne nieba,
Srogie i zmienne jak humor despoty!

Nie chcieli ludzie: błotne okolice
Car upodobał, i stawić rozkazał,
Nie miasto ludziom, lecz — sobie stolicę:
Car tu wszechmocność woli swej pokazał.

W głąb ciekłych piasków i błotnych zatopów,
Rozkazał wpędzić sto tysięcy palów,
I wdeptać ciała stu tysięcy chłopów.
Potem, na palach i ciałach Moskalów
Grunt założywszy, inne pokolenia
Zaprzągł do taczek, do wozów, okrętów,
Sprowadzać drzewa i sztuki kamienia,
Z dalekich lądów i z morskich odmętów.

Przypomniał Paryż: wnet paryskie place
Kazał budować. Widział Amsterdamy:
Wnet wodę wpuścił i porobił tamy.
Słyszał, że w Rzymie są wielkie pałace:
Pałace stają. Wenecka stolica,
Co wpół na ziemi, a do pasa w wodzie
Pływa, jak piękna syrena-dziewica,
Uderza cara: i zaraz w swym grodzie
Porżnął błotniste kanałami pole,
Zawiesił mosty i puścił gondole.
Ma Wenecyę, Paryż, London drugi: —
Prócz ich piękności, poloru, żeglugi.
U architektów słowne jest przysłowie:
Że ludzi ręką był Rzym budowany,
A Wenecyę stawili bogowie;
Ale kto widział Petersburg, ten powie:
Że budowały go chyba szatany.

Ulice wszystkie ku rzece pobiegły:
Szerokie, długie; jak wąwozy w górach.
Domy ogromne: tu głazy, tam cegły,
Marmur na glinie, glina na marmurach;
A wszystkie równe i dachy i ściany,
Jak korpus wojska na nowo ubrany

Na domach pełno tablic i napisów:
Śród pism tak różnych, języków tak wielu,
Wzrok, ucho błądzi, jak w wieży Babelu.
Napis: Tu mieszka Achmet Han Kirgizów
Rządzący polskich spraw departamentem,
Senator, napis: Tu mieszka Monsieur Zoko
Lekcye daje paryskim akcentem,
Jest kuchtą dworskim, wódczanym poborcą,
Basem w orkiestrze, przytem szkół dozorcą.
Napis: Tu mieszka Włoch Piacere Gioco.
Robił dla frejlin carskich salcesony,
Teraz panieński pensyon otwiera;
Napis: Mieszkanie pastora Dienera,
Wielu orderów carskich kawalera.
Dziś na kazanie wykłada z ambony,
Że Car jest Papież, z Boskiego ramienia
Pan samowładny wiary i sumienia.
I wzywa przytem braci kalwinistów,
Socynianów i anabaptystów,
Aby, jak każe imperator ruski
I jego wierny Aliant król Pruski,
Przyjąwszy nową wiarę i sumienie,
Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie;
Napis: Tu stroje damskie; dalej: Nuty;
Tam robią: Dzieciom zabawki; tam «Knuty».

W ulicach kocze, karety, landary,
Mimo ogromu i bystrego lotu
Ma łyżwach błysną, znikną bez łoskotu,
Jak w panorama czarodziejskie mary.
Na kozłach koczów angielskich brodaty
Siedzi woźnica: szron mu okrył szaty,
Brodę i wąsy i brwi; biczem wali.
Przodem na koniach lecą chłopcy mali
W kożuchach, istne dzieci Boreasza.
Świszczą piskliwie, i gmin się rozprasza,
Pierzcha przed koczem saneczek gromada,
Jak przed okrętem białych kaczek stada.

Tu ludzie biegą, każdego mróz goni,
Żaden nie stanie, nie patrzy, nie gada;
Każdego oczy zmrużone, twarz blada,
Każdy trze ręce i zębami dzwoni,
I z ust każdego wyzioniona para
Wychodzi słupem, prosta, długa, szara:
Widząc te dymem buchające gminy,
Myślisz, że chodzą po mieście kominy.
Po bokach gminnej cisnącej się trzody,
Ciągną poważnie dwa ogromne rzędy,
Jak processye w kościelne obrzędy,
Lub jak nadbrzeżne bystrej rzeki lody.
I gdzież ta zgraja wlecze się powoli,
Na mróz nieczuła jak trzoda soboli?
Przechadzka modna jest o tej godzinie:
Zimno i wietrzno; ale któż dba o to?
Wszak Cesarz tędy zwykł chodzić piechotą,
I Cesarzowa i dworu mistrzynie!
Idą marszałki, damy, urzędniki,
W równych abcugach: pierwszy, drugi, czwarty,
Jako rzucane z rąk szulera karty,
Króle, wyżniki, damy i niżniki,
Starki i młódki, czarne i czerwone
Padają na tę i na ową stronę,
Po obu stronach wspaniałej ulicy,
Po mostkach lśniącym wysłanych granitem.
A najprzód idą dworscy urzędnicy:
Ten w futrze ciepłem, lecz na pół odkrytem,
Aby widziano jego krzyżów cztery —
Zmarznie, lecz wszystkim pokaże ordery;
Wyniosłem okiem równych sobie szuka,
I gruby, pełznie wolnym chodem żuka.
Dalej, gwardyjskie, modniejsze młokosy,
Proste i cienkie jak ruchome piki,
Wpół ciała tęgo związane, jak osy.
Dalej, z pochyłym karkiem czynowniki,
Z podełba patrzą komu się pokłonić,
Kogo nadeptać a od kogo stronić;

A każdy giętki, we dwoje skurczony:
Tuląc się pełzną, jako skorpiony.
Po środku damy, jako pstre motyle —
Tak różne płaszcze, kapeluszów tyle.
Każda w paryskim świeci się stroiku
I nóżką miga w futrzanym trzewiku[1]:
Białe jak śniegi, rumiane jak raki.
Wtem dwór odjeżdża. Stanęły orszaki;
Podbiegły wozy, ciągnące jak statki
Obok pływaczów w głębokiej kąpieli.
Już pierwsi w wozy wsiedli i zniknęli;
Za nimi pierzchły piechotne ostatki.
Nie jeden kaszlem suchotniczym stęknie,
A przecież mówi: jak tam chodzić pięknie!
Cara widziałem i przed jenerałem
Nisko kłaniałem i z paziem gadałem!

Szło kilku ludzi między tym natłokiem.
Różni od innych twarzą i odzieniem,
Na przechodzących ledwo rzucą okiem,
Ale na miasto patrzą z zadumieniem.
Po fundamentach, po ścianach, po szczytach,
Po tych żelazach i po tych granitach
Czepiają oczy: jakby próbowali,
Czy mocno każda cegła osadzona;
I opuścili z rozpaczą ramiona,
Jak gdyby myśląc: człowiek ich nie zwali!
Dumali, poszli. Został z jedenastu
Pielgrzym sam jeden. Zaśmiał się złośliwie,
Wzniósł rękę, ścisnął i uderzył mściwie
W głaz: jakby groził temu głazów miastu;
Potem na piersiach założył ramiona
I stał dumając i w cesarskim dworze

[1] W rękopisie:
I nóżka w futrzanym trzewiku.
Te Salamandry północne wiatr piją,
Słotamy dyszą i od zimy tyją:
Białe jak śniegi i t. d.

Utkwił źrenice dwie, jako dwa noże
I był podobny wtenczas do Samsona,
Gdy zdradą wzięty i skuty więzami,
Pod Filistynów dumał kolumnami.
Na czoło jego, nieruchome, dumne,
Nagły cień opadł, jak całun na trumnę,
Twarz blada strasznie zaczęła się mroczyć:
Rzekłbyś, że wieczór, co już z niebios spadał,
Najprzód na jego oblicze osiadał,
I stamtąd dalej miał swój cień roztoczyć.

Po prawej stronie już pustej ulicy
Stał drugi człowiek. Nie był to podróżny;
Zdał się być dawnym mieszkańcem stolicy:
Bo rozdawając między lud jałmużny,
Każdego z biednych po imieniu witał,
Tamtych o żony, tych o dzieci pytał.
Odprawił wszystkich, wsparł się na granicie
Brzeżnych kanałów i wodził oczyma
Po ścianach gmachów i po dworca szczycie;
Lecz nie miał oczu owego pielgrzyma,
I wzrok wnet spuszczał, kiedy szedł z daleka
Biedny żebrzący żołnierz, lub kaleka.
Wzniósł w niebo ręce, stał i dumał długo.
W twarzy miał wyraz niebieskiej rozpaczy —
Patrzył jak anioł, gdy z niebios posługą
Między czyszcowe dusze zstąpić raczy,
I widzi całe w męczarniach narody —
Czuje co cierpią, mają cierpieć wieki,
I przewiduje, jak jest kres daleki
Tylu pokoleń zbawienia — swobody.
Oparł się płacząc na kanałów brzegu —
Łzy gorzkie biegły i ginęły w śniegu:
Lecz Bóg je wszystkie zbierze i policzy,
Za każdą odda ocean słodyczy.

Późno już było, oni dwaj zostali,
Oba samotni i chociaż odlegli,

Nakoniec jeden drugiego postrzegli,
I długo siebie nawzajem zważali.
Pierwszy postąpił człowiek z prawej strony:
«Bracie, rzekł, widzę żeś tu zostawiony
Sam jeden, smutny, cudzoziemiec może.
Co ci potrzeba, rozkaż w Imię Boże;
Chrześcijaninem jestem i Polakiem,
Witam cię krzyża i pogoni znakiem.»

Pielgrzym zbyt swemi myślami zajęty,
Otrząsnął głową i uciekł z wybrzeża;
Ale nazajutrz, gdy myśli swych męty
Zwolna rozjaśnia i pamięć odświeża,
Nieraz żałuje owego natręta.
Jeśli go spotka, pozna go, zatrzyma;
Choć rysów jego twarzy nie pamięta,
Lecz w głosie jego i w słowach coś było
Znanego uszom i duszy pielgrzyma.
Może się o nim pielgrzymowi śniło.

POMNIK PIOTRA WIELKIEGO.

Z wieczora, na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wziąwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi, był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.
Znali się z sobą nie długo lecz wiele:
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze, wyższe nad ziemne przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozerwał nurt wody:
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciołki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.

Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rossyjski tak rzekł cichym głosem:

Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiętnik stawiała.
Już car odlany w kształcie wielkoluda
Siadł na bronzowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno;
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyznie jemu nie dosyć przestronno:
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten na Pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada na wznak przed carową.
Już wzgórek gotów: leci car miedziany,
Car knuto-władny w todze Rzymianina;
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tem najprzód rozsławił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli;
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu,
Hordy najeźdzców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu.
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby w koło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: Cesarz, ojciec nasz powraca!
Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem:

Koń wzdyma grzywę, żarem z oczy świeci,
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,
Że wiezie ojca milionom dzieci,
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyjść blisko, ojca widzieć mogą,
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą —
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności!

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,
Widać, że leciał tratując po drodze,
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta,
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta —
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze — lecz nie spada:
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie —
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie,
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa —
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?

PRZEGLĄD WOJSKA.

Jest plac ogromny. Jedni zowią szczwalnią:
Tam car psy wtrawia, nim puści na zwierza;
Drudzy plac zowią grzeczniej, gotowalnią:
Tam car swe stroje probuje, przymierza,
Nim w rury, w piki, w działa ustrojony,
Wyjdzie odbierać monarchów pokłony.
Kokietka idąc na bal do pałacu,
Nie tyle trawi przed źwierciadłem czasów,
Nie robi tyle umizgów, grymasów,
Ile car codzień na tym swoim placu. —
Inni w tym placu widzą szarańczarnię:
Mówią, że car tam hoduje nasiona

Chmury szarańczy, która wypasiona
Wyleci kiedyś i ziemię ogarnie.
Są, co plac zowią toczydłem chirurga:
Bo tu car najprzód lancety szlifuje,
Nim, wyciągnąwszy rękę z Petersburga,
Tnie tak, że cała Europa czuje;
Lecz nim wyśledzi, jak głęboka rana,
Nim plastr obmyśli od nagłej krwi straty,
Już car puls przetnie Szacha i Sułtana,
I krew wypuści z pod serca Sarmaty.
Plac różnych imion; lecz w języku rządów,
Zowie się placem wojskowych przeglądów.

Dziesiąta, ranek: już przeglądów pora.
Już plac okrąża ludu zgraja cicha,
Jako brzeg czarny białego jeziora;
Każdy się tłoczy, na środek popycha.
Po placu, jako rybitwy nad wodą,
Zwija się kilku dońców i dragonów,
Ciekawsze głowy tylcem piki bodą,
Na bliższe karki sypią grad bizunów.
Kto wylazł naprzód, jak żaba z bagniska,
Ze łbem się cofa i kark w tłumy wciska.
Słychać grzmot zdala, głuchy, jednostajny,
Jak kucie młotów, lub młócenie cepów!
To bęben, pułków przewodnik zwyczajny.
Za nim szeregi ciągną się wzdłuż stepów,
Mnogie i różne, lecz w jednym ubiorze
— Zielone — w śniegu czernią się z daleka;
I płynie każda kolumna jak rzeka,
I wszystkie w placu toną jak w jeziorze.

Tu mi daj, Muzo, usta stu Homerów,
W każde wsadź ze sto paryskich języków,
I daj mi pióra wszystkich buchhalterów:
Bym mógł wymienić owych pułkowników,
I oficerów i podoficerów,
I szeregowych zliczyć bohaterów.

Lecz bohatery tak podobne sobie!
Tak jednostajne! Stoi chłop przy chłopie,
Jako rzęd koni żujących brzy żłobie,
Jak kłosy w jednym uwiązane snopie;
Jako zielone na polu konopie,
Jak wiersze książki, jak skiby zagonów,
Jak petersburskich rozmowy salonów. —
Tyle dostrzegłem: że jedni z Moskalów,
Wyżsi od drugich na pięć lub sześć calów
Mieli na czapkach mosiężne litery
Jakby łysinki — to grenadyery:
I było takich trzy zgraje wąsalów.
Za nimi, niżsi stali w mnogich rzędach,
Jak pod liściami ogórki na grzędach.
Żeby rozróżnić pułki w tej piechocie,
Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,
Który przegląda wykopane w błocie,
I gatunkuje i nazywa glisty.

Zagrzmiały trąby: to konne orszaki,
I rozmaitsze ułanów, huzarów,
Dragonów czapki, kirysy, kołpaki;
Myślałbyś, że tu kapelusznik jaki
Rozłożył składy swych różnych towarów.
W końcu pułk wjechał: chłopy gdyby hlaki,
Okute miedzią, jak rząd samowarów,
A spodem pyski końskie jako haki.
Pułki w tak różnych ubiorach i broniach
Najlepiej będzie rozróżnić po koniach:
Bo tak i nowa taktyka doradza,
I z obyczajem ruskim to się zgadza.
Napisał wielki jenerał Żomini,
Że koń nie człowiek dobrą jazdę czyni;
Dawno już o tem wiedzieli Rusini:
Bo za dobrego konia gwardyaka,
Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy;
Oficerskiego cena jest czworaka,
I za takiego konia dać należy

Lutnistę, skoczka, albo też pisarza,
A w czasach drogich nawet i kucharza.
Skarbowe chude, poderwane klacze,
Nawet te, które wożą łazarety,
Jeśli je stawią w faraona gracze,
Liczą się zawsze: klacz za dwie kobiety.

Wróćmy do pułków. Pierwszy wjechał kary,
Drugi też kary lecz anglizowany;
Dwa były gniade, a piąty bułany,
Siódmy znów gniady, ósmy jak mysz szary,
Dziewiąty rosły, dziesiąty mierzyna,
A potem znowu kary bez ogona —
U dwunastego na czole łysina,
A zaś ostatni wyglądał jak wrona.
Harmat wjechało czterdzieści i osiem.
Jaszczyków więcej niśli drugie tyle;
Wszystkiego dwieście, jak po wierzchu wnosim.
Bo żeby dobrze zliczyć w jedną chwilę
Śród mnóstwa koni i ludzi motłochu,
Trzeba mieć oko twe, Napoleonie,
Lub twoje, ruski intendencie prochu!
Ty, nie zważając na ludzie i konie,
Jaszczyków patrzysz, wnet liczbę ich zgadłeś:
Wiesz, ile w każdym ładunków ukradłeś.

Już plac okryły zielone mundury
Jak trawy, w które ubiera się łąka;
Gdzieniegdzie tylko wznosi się do góry
Jaszczyk podobny do błotnego bąka,
Lub polnej pluskwy z zielonawym grzbietem,
A przy nim działo ze swoim lawetem,
Usiadło nakształt czarnego pająka.

Każdy ten pająk ma nóg przednich cztery,
I cztery tylnych: zowią się te nogi
Kanoniery i bombardiery.
Jeżeli siedzi spokojnie śród drogi,

Noga się każda gdzieś daleko rucha:
Myślisz, że całkiem oddzielne od brzucha,
I brzuch jak balon w powietrzu ulata —
Lecz skoro cicha, drzemiąca harmata,
Nagle się zbudzi rozkazem wyzwana,
Jak tarantala, gdy jej kto w nos dmuchnie;
Wnet ściągnie nogi, podchyla kolana,
I nim się nadmie, nim jady wybuchnie,
Zrazu przednimi kanonierami,
Około pyska długo, szybko wije:
Jak mucha co się w arszeniku splami;
Siadłszy swój czarny pyszczek długo myje,
Potem dwie przednie nogi wtył wywróci,
Tylnemi kręci, potem kiwa zadem,
Nareszcie wszystkie nogi w bok rozrzuci,
Chwilę spoczywa — wkońcu buchnie jadem.

Pułki stanęły. Patrzą: car, car jedzie,
Tuż kilku starych, konnych admirałów,
Tłum adjutantów i ćma jenerałów,
Z tyłu i z przodu, a car sam na przedzie.
Orszak dziwacznie pstry i centkowany,
Jak arlekiny: pełno na nich wstążek;
Kluczyków, cyfer, portrecików, sprzążek;
Ten sino, tamten żółto przepasany,
Na każdym gwiazdek, kółek i krzyżyków
Z przodu i z tyłu więcej niż guzików.
Świecą się wszyscy, lecz nie światłem własnem:
Promienie na nich idą z oczu pańskich.
Każdy jenerał jest robaczkiem jasnym,
Co błyszczy pięknie w nocach świętojańskich:
Lecz skoro przejdzie wiosna carskiej łaski,
Nędzne robaczki tracą swoje blaski.
Żyją, do cudzych krajów nie ucieką,
Ale nikt nie wie, gdzie się w błocie wleką.
Jenerał w ogień śmiałym idzie krokiem:
Kula go trafi, car się doń uśmiechnie;

Lecz gdy car strzeli niełaskawem okiem,
Jenerał bladnie, słabnie, często — zdechnie.
Śród dworzan prędzej znalazłbyś stoików:
Wspaniałe dusze. — Choć gniew cara czują,
Ani się zarżną, ani zachorują;
Wyjadą na wieś do swych pałacyków,
I piszą stamtąd: ten do szambelana,
Ów do metresy, ów do damy dworu,
Liberalniejsi piszą do furmana,
I znowu zwolna wrócą do faworu.
Tak z domu oknem zrzucony pies zdycha:
Kot miauknie tylko, lecz stanie na nogi,
I znowa szuka do powrotu drogi,
I jakąś dziurą znowu wnijdzie z cicha.
Nim stoik w służbę wróci tryumfalnie,
Na wsi rozprawia cicho — liberalnie.

Car był w mundurze zielonym, z kołnierzem
Złotym. Car nigdy nie zrzuca mundura;
Mundur wojskowy jest to carska skóra:
Car rośnie, żyje i — gnije żołnierzem.
Ledwie z kolebki dziecko wyjdzie carskie,
Zaraz do tronu zrodzony paniczyk,
Ma za strój kurtki kozackie, huzarskie,
A za zabawkę szabelkę i — biczyk.
Sylabizując szabelką wywija,
I nią wskazuje na książce litery;
Kiedy go tańczyć uczą guwernery,
Biczykiem takty muzyki wybija.
Dorosłszy, całą jest jego zabawą
Zbierać żołnierzy do swojej komnaty,
Komenderować na lewo, na prawo,
I wprawiać pułki w musztrę — i pod baty.
Tak się car każdy do tronu sposobił,
Stąd ich Europa boi się i chwali.
Słusznie z Krasickim starzy powiadali:
Mądry przegadał, ale głupi pobił.

Piotra wielkiego niechaj pamięć żyje:
Pierwszy on odkrył tę Caropedyę.
Piotr wskazał carom do wielkości drogę:
Widział on mądre Europy narody,
I rzekł: Rossyę zeuropejczyć mogę,
Obetnę suknie i ogolę brody.
Rzekł — i wnet poły bojarów, kniazików
Ścięto, jak szpaler francuskiego sadu;
Rzekł — i wnet brody kupców i mużyków
Sypią się chmurą, jak liście od gradu.
Piotr zaprowadził bębny i bagnety,
Postawił turmy, urządził kadety,
Kazał na dworze tańczyć menuety,
I do towarzystw gwałtem wwiódł kobiety;
I na granicach poosadzał straże,
I łańcuchami pozamykał porty;
Utworzył senat, szpiegi, dygnitarze,
Odkupy wódek, czyny i paszporty;
Ogolił, umył i ustroił chłopa,
Dał mu broń w ręce, kieszeń narublował,
I zadziwiona krzyknęła Europa:
Car Piotr Rossyę ucywilizował!
Zostało tylko dla następnych carów:
Przylewać kłamstwa w brudne gabinety,
Przysyłać w pomoc despotom bagnety,
Wyprawić kilka rzezi i pożarów,
Zagrabiać cudze do koła dzierżawy,
Skradać poddanych, płacić cudzoziemców,
By zyskać oklask Francusów i Niemców,
Ujść za rząd silny, mądry i łaskawy.

Niemcy, Francuzi! zaczekajcie nieco!
Bo gdy wam w uszy zabrzmi huk ukazów,
Gdy knutów grady na karki wam zlecą,
Gdy was pożary waszych miast oświecą,
A wam natenczas zabraknie wyrazów:
Gdy car rozkaże ubóstwiać i sławić —
Sybir, kibitki, ukazy i knuty:

Chyba będziecie cara pieśnią bawić.
Waryowaną na dzisiejsze nuty.[1]
  Car, jak kręgielna kula, między szyki
Wleciał i spytał o zdrowie gawiedzi.
«Zrowia ci życzym» szepcą wojowniki.
Ich szepty były jak mruk stu niedźwiedzi.
Dał rozkaz. Rozkaz wymknął się przez zęby,
I wpadł jak piłka w usta komendanta,
I potem gnany od gęby do gęby
Na ostatniego upada sierżanta.[2]
Jęknęły bronie, szczęknęły pałasze,
I wszystko było zmięszane w odmęcie.
Na liniowym kto widział okręcie
Ogromny kocioł, w którym robią kaszę,
Kiedy weń woda z pompy jako z rzeczki
Bucha, a w wodę sypie majtków rzesza
Za jednym razem krup ze cztery beczki,
Potem dziesiątkiem wioseł w kotle miesza —

[1] W rękopisie następuje wypuszczona strofa:
  Pan Chateaubriand, mówca i poeta,
Był w Jeruzalem, na Golgocie siadał,
Chwalił Chrystusa w państwie Mahometa,
O męczennikach bardzo pięknie gadał.
Lecz gdy go wielkim ministrem zrobiono,
Kiedy się wcisnął między królów grono,
Wnet Aleksandra pokochał szalenie:
Już go i z gazet i z trybuny wieńczy,
Już męczenników puścił w zapomnienie.
I będzie sławił cara co nas dręczy.
  Niemcy skromniejsi i nie dbają wcale
O ministerstwa i o przyjaźń królów:
Dość, że im przyszlą orderzyk Moskale
I dadzą tytuł poważny konsulów,
I profesora, co był szewca synem,
Zrobią szlachcicem, ruskim dworzaninem.
On przez dzień cały chodzi po spacerach,
Albo przy piwie zasiada w orderach,
A w wieczór pisze, cara sławiąc, póki
Wystarczą lipskie bibuły i druki.

[2] W rękopisie:
  Na ostatniego upada sierżanta,
A jak głaz z góry i z większym pośpiechem
I z częstszem coraz odzywa się echem
Jęknęły bronie i t. d.

P. W.

Kto zna francuską izbę deputatów,
Większą i stokroć burzliwszą od kotła,
Kiedy w nię projekt komissya wmiotła,
I już nadchodzi godzina debatów;
Cała Europa czując zdawna głody,
Myśli, że dla niej tam warzą swobody;
Już liberalizm z ust jako z pomp bucha,
Ktoś tam o wierze wspomniał na początku,
Izba się burzy, szumi i nie słucha —
Ktoś wspomniał wolność, lecz nie zrobił wrzątku;
Ktoś wreszcie wspomniał o królów zamiarach,
O biednych ludach, o despotach, carach:
Izba znudzona krzyczy: «do porządku!»
Aż tu, minister skarbu, jakby z drągiem,
Wbiega z ogromnym budżetu wyciągiem,
Zaczyna mięszać mową o procentach,
O cłach, opłatach, stęplach, remanentach;
Izba wre, huczy i kipi i pryska,
I szumowiny aż pod niebo ciska;
Ludy się cieszą, gabinety straszą:
Aż się dowiedzą wszyscy na ostatku,
Że była mowa tylko — o podatku. —
Kto tedy widział owy kocieł z kaszą,
Lub ową izbę: ten łatwo zrozumie,
Jaki gwar powstał w tylu pułków tłumie,
Gdy rozkaz carski wleciał w środek kupy.
Wtem, trzystu bębnów ozwały się huki.
I jak lód Newy gdy pryśnie na sztuki,
Piechota w długie porżnęła się słupy;
Kolumny jedne za drugiemi dążą,
Przed każdą bęben i komendant woła.
Car stał jak słońce, a pułki do koła
Jako planety toczą się i krążą.
Wtem car wypuścił stado adjutantów,
Jak wróble z klatki, albo psy ze smyczy:
Każdy z nich leci, jak szalony krzyczy —
Wrzask jenerałów, majorów, sierżantów,
Huk tarabanów, piski muzykantów —

Nagle piechota, jak lina kotwicy
Z kłębów rozwita, wyciąga się sznurem;
Ściany idącej pułkami konnicy
Łączą się, wiążą, jednym stają murem. —

Jakie zaś dalej były tam obroty:
Jak jazda rącza i niezwyciężona,
Leciała obces na karki piechoty —
Jak kundlów psiarnia trąbą poduszczona
Na związanego niedźwiedzia uderza,
Widząc, że w kluby ujęto pysk zwierza —
Jak się piechota kupi, ściska, kurczy,
Nadstawia bronie jako igły jeża,
Który poczuje, że pies nad nim burczy;
Jak wreszcie jazda w ostatnim poskoku
Targniona smyczą powściągnęła kroku,
I jak harmaty w przód i w tył ciągano —
Jak po francusku, po rusku łajano,
Jak w areszt brano, po karkach trzepano,
Jak tam marzniono i z koni spadano,
I jak carowi w końcu winszowano:
Czuję tę wielkość, bogactwo przedmiotu —
Gdybym mógł opiać, wsławiłbym me imię!
Lecz Muza moja, jak bomba w pół lotu
Spada i gaśnie w prozaicznym rymie,
I śród głównego manewrów obrotu,
Jak Homer w walce bogów, ja — ach, drzemię —

[1] W rękopisie następuje wypuszczona strofa:

Wam to zostawiam opiewać, Francuzy!
Wyście przybyli aż do Moskwy grodu,
Na wyłamane waszą ręką gruzy,
Po świeżych trupach waszego narodu,
Byście koronę cara opiewali,
Sławili mądrość i łaskawość rządów —
Których nie sławił jeszcze nikt z Moskali! —
Wy urodzeni wieszcze uczt, namaszczeń,
Rzezi, rabunków, niewoli, przywłaszczeń,
Wy narodowych nie znacie przesądów:
Wam być wieszczami wojskowych przeglądów!

Już przerobiono wojskiem wszystkie ruchy,
O których tylko car czytał lub słyszał:
Śród zgrai widzów już się gwar uciszał:
Już i sukmany, delie, kożuchy,
Co się czerniły gęsto w koło placu,
Rozpełzały się każda w swoją stronę,
I wszystko było zmarzłe i znudzone;
Już zastawiano śniadanie w pałacu.
Ambassadory zagranicznych rządów,
Którzy pomimo i mrozu i nudy,
Dla łaski carskiej nie chybią przeglądów,
I co dzień krzyczą: o dziwy! o cudy!
Już powtórzyli raz tysiączny drugi
Z nowym zapałem dawne komplementy:
Że car jest taktyk w planach niepojęty,
Że wielkich wodzów ma na swe usługi —
Że kto nie widział, nigdy nie uwierzy,
Jaki tu zapał i męstwo żołnierzy.
Nakoniec była rozmowa skończona,
Zwyczajnym śmiechem z głupstw Napoleona;
I na zegarek już każdy spozierał,
Bojąc się dalszych galopów i kłusów:
Bo mróz dociskał dwudziestu gradusów,
Dusiła nuda i głód już doskwierał.
Lecz car stał jeszcze i dawał rozkazy.
Swe pułki siwe, kare i bułane,
Puszcza, wstrzymuje po dwadzieścia razy;
Znowu piechotę przedłuża jak ścianę,
Znowu ją ściska w czworobok zawarty,
I znowu nakształt wachlarza roztacza:
Jak stary szuler, choć już nie ma gracza,
Mięsza i zbiera i znów mięsza karty;
Choć towarzystwo samego zostawi,
On się sam z sobą kartami zabawi.
Aż sam się znudził, konia nagle zwrócił
I w jenerałów ukrył się natłoku.
Wojsko tak stało, jak je car porzucił,
I długo z miejsca nie ruszyło kroku:

Aż trąby, bębny dały znak nareszcie.
Jazda, piechota, długich kolumn dwieście
Płyną i toną w głębi ulic miejskich.
Jakże zmienione, niepodobne wcale
Do owych bystrych potoków alpejskich,
Co ryczące mętne walą się po skale,
Aż w jezior jasnem spotkają się łonie,
I tam odpoczną i oczyszczą wody —
A potem z lekka nowemi wychody,
Błyskają, tocząc szmaragdowe tonie:
Tu, pułki weszły czerstwe, czyste, białe —
Wyszły zziajane i oblane potem,
Roztopionemi śniegi poczerniałe,
Brudne z pod lodu wydeptanem błotem.

Wszyscy odeszli, widze i aktory.
Na placu pustym, samotnym, zostało
Dwadzieścia trupów, ten ubrany biało,
Żołnierz od jazdy; tamtego ubiory
Nie zgadniesz jakie, tak do śniegu wbity,
I stratowany końskiemi kopyty;
Ci zmarzli, stojąc przed frontem jak słupy,
Wskazując pułkom drogę i cel biegu;
Ten się zmyliwszy w piechoty szeregu,
Dostał w łeb kolbą i padł między trupy.
Biorą ich z ziemi policejskie sługi
I niosą chować; martwych, rannych społem,
Jeden miał żebra złamane, a drugi
Był wpół harmatnem przejechany kołem;
Wnętrzności ze krwią wypadły mu z brzucha,
Trzykroć okropnie z pod harmaty krzyknął,
Lecz major woła: milcz! bo car nas słucha;
Żołnierz tak słuchać majora przywyknął,
Że zęby zaciął. Nakryto co żywo
Rannego płaszczem. Bo gdy car przypadkiem
Z rana jest takiej nagłej śmierci świadkiem,
I widzi na czczo skrwawione mięsiwo,

Dworzanie czują w nim zmianę humoru:
Zły, opryskliwy powraca do dworu;
Tam go czekają z śniadaniem nakrytem,
A jeść nie może mięsa z apetytem.

Ostatni ranny wszystkich bardzo zdziwił:
Grożono, bito; próżna groźba, kara,
Jenerałowi nawet się sprzeciwił,
I jęczał głośno — klął samego cara!
Ludzie, niezwykłym przerażeni krzykiem,
Zbiegli się nad tym parad męczennikiem.
Mówią, że jechał z dowódcy roskazem,
Wtem koń mu stanął jak gdyby zaklęty,
A z tyłu wleciał cały szwadron razem;
Złamano konia i żołnierz zepchnięty
Leżał pod jazdą płynącą korytem.
Ale od ludzi litościwsze konie:
Skakał przez niego szwadron po szwadronie,
Jeden koń tylko trafił weń kopytem,
I złamał ramię. Kość na pół rozpadła
Przedarła mundur, i ostrzem sterczała
Z zielonej sukni, strasznie, trupio biała;
I twarz żołnierza równie jak kość zbladła.
Lecz sił nie stracił: wznosił drugą rękę
To ku niebiosom, to widzów gromady
Zdawał się wzywać, i mimo swą mękę
Dawał im głośno, długo, jakieś rady.
Jakie? nikt nie wie, nie mówią przed nikim,
Bojąc się szpiegów — słuchacze uciekli,
I tyle tylko pytającym rzekli,
Że ranny mówił złym ruskim językiem;
Kiedy niekiedy słychać było w gwarze,
Car, cara, caru — coś mówił o carze.
Chodziły wieści, że żołnierz zdeptany,
Był młodym chłopcem, rekrutem, Litwinem,
Wielkiego rodu, księcia, grafa synem;
Że ze szkół gwałtem w rekruty oddany,

I że dowódca nie lubiąc Polaka,
Dał mu umyślnie dzikiego rumaka,
Mówiąc: niech skręci szyję Lach, sobaka. —
Kto był, nie wiedzą, i po tem zdarzeniu
Nikt nie posłyszał o jego imieniu,
Ach! kiedyś tego imienia, o carze!
Będą szukali po twojem sumieniu;
Djabeł je pośród tysiąców ukaże,
Któreś ty w minach podziemnych osadził,
Wrzucił pod konie, myśląc, żeś je zgładził.

Nazajutrz, zdala za placem słyszano
Psa głuche wycie. — Czerni się coś w śniegu:
Przybiegli ludzie, trupa wygrzebano;
On po paradzie został na noclegu.
Trup na pół chłopski, na poły wojskowy,
Z głową strzyżoną, ale z brodą długą,
Miał czapkę z futrem i płaszcz mundurowy,
I był zapewne oficerskim sługą.
Siedział na wielkiem futrze swego pana.
Tu zostawiony, tu roskazu czekał,
I zmarzł, i śniegu już miał za kolana;
Tu go pies wierny znalazł i oszczekał:
Zmarznął — a w futro nie okrył się ciepłe!
Jedna źrenica śniegiem zasypana;
Lecz drugie oko, otwarte choć skrzepłe;
Na plac obrócił, czekał stamtąd pana!
Pan kazał siedzieć i sługa usiądzie;
Kazał nie ruszać z miejsca, on nie ruszy,
I nie powstanie aż na strasznym sądzie.
I dotąd wierny panu, choć bez duszy:
Bo dotąd ręką trzyma pańską szubę
Pilnując, żeby jej nie ukradziono.
Drugą chciał rękę ogrzać, ukryć w łono,
Lecz już nie weszły pod płaszcz palce grube.
I pan go dotąd nie szukał, nie pytał:
Czy mało dbały, czy nadto ostrożny —

Zgadują, że to oficer podróżny,
Że do stolicy niedawno zawitał,
Nie z powinności chodził na parady,
Lecz by pokazać świeże epolety;
Może z przeglądów poszedł na obiady,
Może na niego mrugnęły kobiety,
Może gdzie wstąpił do kolegi gracza,
I nad kartami — zapomniał brodacza;
Może się wyrzekł i futra i sługi,
By nie rozgłosić, że miał szubę z sobą,
Że nie mógł zimna wytrzymać jak drugi,
Gdy je car carską wytrzymał osobą;
Boby mówiono: jeździ nieformalnie
Na przegląd z szubą — myśli liberalnie! —

O biedny chłopie! Heroizm, śmierć taka,
Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem!
Jak cię nagrodzą? Pan powie z uśmiechem,
Żeś był do zgonu wierny jak sobaka —
O biedny chłopie! Za cóż mi łza płynie,
I serce bije, myśląc o twym czynie? —
Ach! żal mi ciebie, biedny Sławianinie!
Biedny narodzie! żal mi twojej doli:
Jeden znasz tylko heroizm — niewoli!

OLESZKIEWICZ.

DZIEŃ PRZED POWODZIĄ PETERSBURSKĄ 1824.

Gdy się najtęższym mrozem niebo żarzy,
Nagle zsiniało, plamami czernieje,
Podobne zmarzłej nieboszczyka twarzy,
Która się w izbie przed piecem rozgrzeje,
Ale nabrawszy ciepła a nie życia,
Zamiast oddechu, zionie parą gnicia.

Wiatr zawiał ciepły. Owe słupy dymów,
Ów gmach powietrzny jak miasto olbrzymów,
Niknąc pod niebem jak czarów widziadło,
Runęło w gruzy i na ziemię spadło,
I dym rzekami po ulicach płynął,
Zmięszany z parą ciepłą i wilgotną.
Śnieg zaczął topnieć, i nim wieczór minął,
Oblewał bruki rzeką Stygu błotną.
Sanki uciekły, kocze i landary
Zerwano z płozów: grzmią po bruku koła;
Lecz pośród mroku i dymu i pary
Oko pojazdów rozróżnić nie zdoła;
Widać je tylko po latarek błyskach,
Jako płomyki błędne na bagniskach.

Szli owi młodzi podróżni nad brzegiem
Ogromnej Newy. Lubią iść o zmroku;
Bo czynowników unikną widoku,
I w pustem miejscu nie zejdą się z szpiegiem.
Szli obcym z sobą gadając językiem;
Czasem pieśń jakąś obcą z cicha nucą,
Czasami staną i oczy obrócą:
Czy kto nie słucha? Nie zeszli się z nikim.
Nucąc błądzili nad Newy korytem,
Które się ciągnie jak alpejska ściana,
Aż się wstrzymali, gdzie między granitem
Ku rzece droga spada wyrąbana.
Stamtąd, na dole, ujrzeli z daleka
Nad brzegiem wody z latarką człowieka.
Nie szpieg: bo tylko śledził czegoś w wodzie,
Ani przewoźnik: któż pływa po lodzie?
Nie jest rybakiem; bo nic nie miał w ręku
Oprócz latarki i papierów pęku.
Podeszli bliżej; on nie zwrócił oka,
Wyciągał powróz, który w wodę zwisał,
Wyciągnął, węzły zliczył i zapisał;
Zdawał się mierzyć, jak woda głęboka.

Odblask latarki odbity od lodu,
Oblewa jego księgi tajemnicze,
I pochylone nad świecą oblicze
Żółte, jak obłok nad słońcem zachodu;
Oblicze piękne, szlachetne, surowe.
Okiem tak pilnie w swojej księdze czytał
Że słysząc obcych kroki i rozmowę
Tuż po nad sobą, kto są, nie zapytał;
I tylko z ręki lekkiego skinienia
Widać, że prosi, wymaga milczenia.
Coś tak dziwnego było w ręki ruchu,
Że choć podróżni tuż nad nim stanęli,
Patrząc i szepcąc i śmiejąc się w duchu,
Umilkli wszyscy, przerwać mu nie śmieli.
Jeden w twarz spojrzał i poznał i krzyknął:
To on! — I któż on? — Polak, jest malarzem,
Lecz go właściwiej nazywać guślarzem;
Bo dawno od farb i pędzla odwyknął,
Biblię tylko i kabałę bada,
I mówią nawet, że z duchami gada.

Malarz tymczasem wstał, pisma swe złożył,
I rzekł jak gdyby rozmawiając z sobą:
Kto jutra dożył, wielkich cudów dożył,
Będzie to drugą, nie ostatnią próbą,
Pan wstrząśnie szczeble assurskiego tronu,
Pan wstrząśnie grunty miasta Babylonu;
Lecz trzecią widzieć, Panie! nie daj czasu! —
Rzekł, i podróżnych zostawił u wody,
A sam z latarką wolno szedł przez schody,
I zniknął wkrótce za parkan terasu.
Nikt nie zrozumiał, co ta mowa znaczy.
Jedni zdumieni, drudzy rozśmieszeni,
Wszyscy krzyknęli: nasz guślarz dziwaczy!
I chwilę jeszcze stojąc pośród cieni,
Widząc noc późną, chłodną i burzliwą,
Każdy do domu powracał co żywo.

Jeden nie wrócił, lecz na schody skoczył,
I biegł terasem. Nie widział człowieka,
Tylko latarkę jego zdala zoczył,
Jak błędna gwiazda świeciła zdaleka.
Chociaż w malarza nie zajrzał oblicze,
Choć nie dosłyszał, co o nim mówili,
Ale dźwięk głosu, słowa tajemnicze
Tak nim wstrząsnęły! — Przypomniał po chwili,
Że głos ten słyszał, i biegł, co miał mocy
Nieznaną drogą, śród słoty, śród nocy.
Latarka prędko niesiona mignęła,
Coraz mniejszała, zakryta mgły mrokiem
Zdała się gasnąć; wtem nagle stanęła
W pośrodku pustek na placu szerokim.
Podróżny kroki podwoił, dobiega.
Na placu leżał wielki stos kamieni,
Na jednym głazie malarza spostrzega.

Stał nieruchomy pośród nocnych cieni;
Głowa odkryta, odsłonione barki,
A prawa ręka wzniesiona do góry,
I widać było z kierunku latarki,
Że patrzył w dworca cesarskiego mury.
I w murach jedno okno w samym rogu
Błyszczało światłem: to światło on badał,
Szeptał ku niebu, jak modląc się Bogu,
Potem głos podniósł i sam z sobą gadał.

«Ty nie śpisz carze! Noc już w koło głucha,
Śpią już dworzanie: a ty nie śpisz carze.
Jeszcze Bóg łaskaw posłał na cię ducha,
On cię w przeczuciach ostrzega o karze.
Lecz car chce zasnąć, gwałtem oczy zmruża.
Zaśnie głęboko. — Dawniej, ileż razy
Był ostrzegany od anioła stróża,
Mocniej, dobitniej, sennemi obrazy —
On tak zły nie był: dawniej był człowiekiem;
Powoli wreszcie zszedł aż na tyrana,

Anioły pańskie uszły, a on z wiekiem
Coraz to głębiej wpadał w moc szatana.
Ostatnią radę, to przeczucie ciche
Wybije z głowy jak marzenie liche;
Nazajutrz w dumę wzbiją go pochlebce
Wyżej i wyżej, aż go szatan zdepce —
Ci w niskich domkach nikczemni poddani,
Najprzód za niego będą ukarani.
Bo piorun w martwe gdy bije żywioły,
Zaczyna z wierzchu, od góry i wieży:
Lecz między ludźmi najprzód bije w doły,
I najmniej winnych najpierwej uderzy. —
Usnęli w pjaństwie, w swarach lub w roskoszy:
Zbudzą się jutro — biedne czaszki trupie!
Śpijcie spokojnie, jak zwierzęta głupie,
Nim was gniew pański jak myśliwiec spłoszy,
Tępiący wszystko co w kniei spotyka,
Aż dojdzie w końcu do legowisk dzika!
Słyszę! — tam! — wichry — już wytknęły głowy
Z polarnych lodów, jak morskie straszydła;
Już sobie z chmury porobiły skrzydła;
Wsiadły na falę, zdjęły jej okowy.
Słyszę! — już morska otchłań rozkiełznana
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła.
Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma;
Już! — jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma —
Wkrótce rozkują — słyszę młotów kucie.» —

Rzekł, i spostrzegłszy że ktoś słucha z boku,
Zadmuchnął świecę i przepadł w pomroku.
Błysnął i zniknął jak nieszczęść przeczucie,
Które uderzy w serce, niespodziane,
I przejdzie straszne — lecz niezrozumiane.

OBJAŚNIENIA.

DO TRZECIEJ CZĘŚCI DZIADÓW.

Wyrazy czyn, czynownik, często są tu użyte w znaczeniu rossyjskiem, dla Litwinów tylko zrozumiałem. W Rossji, ażeby nie być chłopem albo kupcem, słowem, aby mieć przywilej uwalniający od kary knuta, trzeba wejść w służbę rządową i pozyskać tak nazwanę klassę albo czyn. Służba dzieli się na czternaście klass; potrzeba kilka lat służby dla przejścia z jednej klassy w drugą. Są przepisane czynownikom różne egzamina, podobne do formalności zachowujących się w hierarchji mandaryńskiej w Chinach, skąd, zdaje się, że ten wyraz Mongoły do Rossji przenieśli, a Piotr pierwszy znaczenie tego wyrazu odgadnął. Czynownik często nie jest urzędnikiem, czeka tylko urzędu i starać się oń ma prawo. Każda klassa albo czyn odpowiada pewnej randze wojskowej: i tak, doktor filozofji albo medecyny liczy się w klassie ósmej i ma stopień majora, czyli assesora kolleskiego; stopień kapitański ma frejlina, czyli panna dworu cesarskiego; biskup lub archijerej jest jenerałem. Między czynownikami wyższymi i niższymi, stosunki uległości i posłuszeństwa przestrzegają się z równą prawie ścisłością jak w wojsku.

Str. 113. w. 16. Myśląc, ze już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.

Feldjegry, czyli strzelcy polni cesarscy, są rodzajem żandarmów; polują szczególnie na osoby rządowi podejrzane,

jeżdżą pospolicie w **kibitkach**, to jest wózkach drewnianych bez resorów i żelaza, wąskich, płaskich i z przodu wyższych niż z tyłu. Byron wspomina o tych wozach w swoim Don Juanie. Feldjegier przybywa pospolicie w nocy, porywa podejrzaną osobę, nie mówiąc nigdy, gdzie ją powiezie. Kibitka opatrzona jest dzwonkiem pocztowym. Kto nie był w Litwie, z trudnością wystawi sobie przestrach, jaki panuje w każdym domu, u którego wrót odezwie się dzwonek pocztowy.

Str. 117. w. 2. Pytał raz Litwin, nie wiem djabła czy Pińczuka.

Nazywa lud w Litwie Pińczukami obywateli błotnistych okolic Pińska.

Str. 117. w. 18. Tylko łyknie powietrza, i wnet się podchmieli.

Więźniowie, którzy długo byli w zamknięciu, wychodząc na świeże powietrze, doświadczają pewnego rodzaju upojenia.

Str. 118. w. 23. W Litwie zły to znak, płakać w dniu inkrutowin.

Nazywają inkrutowinami uroczystość, którą gospodarz obchodzi, wnosząc się do nowego mieszkania.

Str. 171. w. 11. Stoi spisany jasno, jak ukaz senacki.

Przysłowiem stała się w Rossji ciemność ukazów senackich. Szczególnie ukazy sądowe, czyli wyroki, umyślnie tak bywają układane, aby je różnie tłumaczyć i stąd nową sprawę toczyć można było. Jest to interesem kancelarji senackich, ciągnących niezmierne zyski z procesów.

Str. 188. w. 25. Kolleski registrator do sowietnika.

Kolleski registrator, jest to jeden z najniższych czynów. Sowietników, czyli radzców, różne są rodzaje i gatunki, jako to: radcy honorowi, kollescy, tajni, rzeczywiści. Pewny dowcipny Rossjanin mawiał, iż Rzeczywisty Tajny Radca, jest trojakiem kłamstwem; bo nie radzi, nie wie o żadnej tajemnicy, i często jest najniedorzeczniejszem stworzeniem. Mówiono raz o jakimś czynowniku i nazywano go dobrym człowiekiem. «Nazwij raczej dobrym chłopcem — odezwał się ów żartowniś — jak czynownik może być człowiekiem, póki jest tylko registratorem? W Rossji, ażeby być człowiekiem, trzeba być przynajmniej radcą stanu.»

Str. 191. w. 12. Nam każą iść na bal.

Zaproszenie urzędowe na bal jest w Rossji roskazem; szczególniej jeśli bal daje się z okoliczności urodzin, imienin, zaślubin i t. d. cesarza lub osób familji panującech, albo też jakiego wielkiego urzędnika. W takich razach osoba podejrzana lub źle widziana od rządu, nie idąc na bal, naraża się na niemałe niebespieczeństwo. Były przykłady w Rossji, że rodzina osob uwięzionych i wskazanych na szubienicę, znajdowały się na balach dworu. W Litwie, Dybicz ciągnąc przeciwko Polakom, a Chrapowicki więżąc i tępiąc powstańców, zapraszali publiczność polską na bale i uroczystości zwycięskie. Takowe bale opisują się potem w gazetach, jako dobrowolne wynurzenia nieograniczonej miłości poddanych ku najlepszemu i najłaskawszemu z monarchów.

Str. 219. w. 37. Może samego wiozą Jermołowa.

W Rossji między ludem jest przekonanie, iż car może każdego innego króla wziąść w kibitkę. I w istocie, nie wiemy, co by odpowiedziano w niektórych państwach feldjegrowi, któryby przyjechał w podobnym celu. To pewna, iż Nowosilcow często powtarzał: «Nie będzie pokoju, póki nie zaprowadzimy w Europie takiego porządku, iżby nasz feldjeger mógł też same rozkazy w Wilnie, w Paryżu i w Stambule, z tąż samą łatwością wykonywać.» Odebranie rządów Gruzji jenerałowi Jermołowowi, którego imię u Rossjan było bardzo popularne, uważano za rzecz ważniejszą, niż zwycięstwo nad jakim królikiem europejskim. Temu mniemaniu Rossjan dziwić się nie należy. Przypomnijmy, iż Jego Królewiczowska Mość książe Wirtemberski, oblegając z wojskami sprzymierzonemi Gdańsk, pisał do jenerała Rapp: iż jenerał rossyjski równy jest co do stopnia królowi, i mógłby nosić ten tytuł, jeżeliby taka była wola cesarska. (Ob. Pamiętniki jenerał Rapp.)

Str. 221. w. 1. Musianc n e dyś wylać rzekę złota.

Te słowa wyrzekł król Gotów, ujrzawszy po raz pierwszy Kolizeum w Rzymie.

Str. 221. w. 21. 22. Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,
A słońce już się na zachód chyliło.

W dniach zimowych w Petersburgu około godziny trzeciej już mrok pada.

Str. 222. w. 8. I wiecznie stoi i wiecznie ucieka.

Dymy miast północnych, w czasie mroźnym wznoszące się pod niebo w kształtach fantastycznych, tworzą widowisko podobne do fenomenu zwanego mirage, który zwodzi żeglarzy na morzach i podróżnych na piaskach Arabji. Mirage zdaje się być już miastem, już wsią, już jeziorem albo oazą; przedmioty wszystkie widać bardzo wyraźnie, ale zbliżyć się do nich niepodobna; zawsze w równej od podróżnego znajdują się odległości i nakoniec nikną.

Str. 222. w. 27. Wydarte świeżo morzu i Czuchońcom.

Finnowie, po rossyjsku zwani Czuchońcami albo Czuchnami, mieszkali na brzegach błotnistych Newy, gdzie potem założono Petersburg.

Str. 223. w. 12. Z dalekich lądów i z morskich odmętów.

U wielu historyków znaleść można opisanie założenia i budowania Petersburga. Wiadomo, iż mieszkańców do tej stolicy gwałtem spędzano i że ich więcej niż sto tysięcy w czasie budowania wymarło. Granit i marmur zwożono morzem ze stron dalekich.

Str. 224. w. 23. Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie.

Wyznania, które się odłączyły od Kościoła katolickiego, są szczególniej protegowane w Rossji: najprzód stąd, iż zwolennicy tych wyznań z łatwością przechodzą na wiarę grecką, za przykładem niemieckich księżniczek i książąt; potem, że pastorowie są najlepszą podporą despotyzmu, wmawiając ludowi ślepe posłuszeństwo dla władzy świeckiej, nawet w rzeczach sumienia, w których katolicy odwołują się do decyzji kościoła. Wiadomo, iż wyznania augsburskie i genewskie na rozkaz króla pruskiego połączyły się w jeden Kościoł.

Str. 225. w. 8. Myślisz, że chodzą po mieście kominy.

Para z ust wychodząca w czasie tęgich mrozów, daje się widzieć w kształcie słupa, długiego częstokroć na kilka łokci.

Str. 229. w. 4. Druga carowa pamiętnik stawiała.

Na pomniku Piotra jest napis: Petro primo Catharina secunda.

Str. 229. w. 14. I w mieście pada na wznak przed carową.

Ten wiersz jest tłumaczony z rossyjskiego poety, którego nazwiska nie pomnę.

Str. 230. w. 7. Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Pomnik konny kolosalny Piotra, roboty Falconneta, i posąg Marka Aureljusza, stojący teraz w Rzymie w Kapitolu, są tu wiernie opisane.

Str. 232. w. 35. Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy.

Konie jazdy rossyjskiej piękne są i drogo kosztują. Koń żołnierski gwardyjski płaci się często kilka tysięcy franków. Człowieka rosłego, miary przepisanej, można kupić za tysiąc franków. Kobietę, w czasie głodu na Białorusi, sprzedawano w Petersburgu za dwieście franków. Ze wstydem wyznać należy, iż panowie niektórzy polscy z Białorusi tego towaru dostarczali.

Str. 234. w. 6. Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie.

Tarantule: rodzaj wielkich, jadowitych pająków, gnieżdżących się na stepach południowej Rossji i Polski.

Str. 234. w. 22. Jak arlekiny pełno na nich wstążek.

Orderów rossyjskich, licząc w to różne ich klassy, tudzież cyfry cesarskie i tak nazwane sprzążki z liczbą lat służby, jest około sześćdziesięciu. Zdarza się, że na jednym mundurze świeci dwadzieścia znaków honorowych.

Str. 235. w. 5. Ani się zarżną, ani zachorują.

Przed niewielu laty jeden z dworkich urzędników zarżnął się dla tego, że na jakimś obchodzie dworskim naznaczono mu niższe miejsce, niż podług hierarchji należało. Był to Werter czynownictwa.

Str. 235. w. 27. **Kiedy go uczą tańczyć guwernery.**

Portret carewicza następcy tronu można widzieć w galerji obrazów petersburskiej Ermitażu. Malarz, anglik Dow, wystawił go w postaci dziecka w mundurze huzarskim z biczem w ręku.

Str. 244. Oleszkiewicz.

Oleszkiewicz, malarz znany w Petersburgu ze swoich cnót, głębokiej nauki i mistycznych przepowiedni. (Obacz nekrolog jego w gazetach petersburskich z roku 1830.)

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.